I- 23197/3 (1977)

POEZJA
PROZA
ESEJE

ZAPIS

Nr 3 lipiec 1977

NIEZALEŻNA
OFICYNA
WYDAWNICZA

ZAPIS

Nr 3

Tadeusz Konwicki

KOMPLEKS POLSKI

Copyright by TADEUSZ KONWICKI

Stoję w ogonku przed sklepem państwowej firmy "Jubiler" i jestem dwudziesty trzeci. Niedługo kuranty warszawskie oznajmią godzinę jedenastą przed południem. Wtedy zaszczękną zamki wielkich metalowo-szklanych drzwi i my, zakatarzeni klienci, wtargniemy do wytwornego wnętrza, oczywiście wtargniemy w pełnej dyscyplinie, nie burząc kolejności ogonka utrwalonego przez długie kwadranse oczekiwania.

Jest lekko mroźny dzień wigilijny. Dzień na pograniczu spóźnionej jesieni i spóźnionej zimy. Dzień też jakby spóźniony. Nie rozświetlony do końca, mglisty, ślamazarny. Zabłąkane płatki śniegu żeglują w ledowatym powietrzu jak znamienie tępoli. Tramwaje zbijają się w stada na tej szerokiej magistrali i dzwonią żałośnie. Znany powszechnie wrzawowany żebrak rozsiadł się na trotuarze koło malowniczo-filmowego. Wyciągnął przed siebie nogi, rozkraczył je w płaszczu kiwowym śniegu i straszy nimi wrażliwych przechodniów. Ale ja wiem, że te plastykowo-niklowe protezy są puste w środku i choćby przymarzły do chodnika, nasz żebrak nie zazna chłodu. Tłumy przechodniów suną nieprzerwanie wzdłuż ścian. Zdarzy się, że kogoś na kogoś wpadnie i odejdzie bez przeproszenia zaabsorbowany w swoich myślach. Czasem ktoś kogo potrąci krzyknie obelżywie i bluźgnie nieprzystojnym słowem, czasem znów ktoś podobnie potrącony uśmiechnie się na jezdnię, ale szybko powstanie i rusza w drogę. Zwykły, wigilijny dzień.

Ten dzień pełznie przez niedużą planetę małego układu słonecznego. Planeta nazywa się Ziemia. Jest jajem skalnym wypełnionym płynną lawą a pokrytym z wierzchu cienkimi warstwami wody oraz powietrza czyli lotnej mieszanki tlenu, wodoru, azotu i kilku jeszcze pierwiastków, które kiedyś mogą zagrozić jej istnieniu. Na tej planecie zbiegiem wielu szczęśliwych okoliczności powstało życie na podstawie białka i to życie po milionach lat wykreowało istoty rozumne, które nazywają siebie ludźmi i do których ja, piszący te słowa, mam zaszczyt należeć. Ludzkość, czyli suma rozumnych mieszkańców ziemi stworzyła cywilizację, co nam pozwala rozumieć przeszłość a właściwie nie rozumieć go kompletnie, co pomaga zwalczać stare nieszczęścia ludzkiej egzystencji a nawet tworzy coraz

groźniejsze nowe, co wypłoszyła człowieka na krótciutkie spacerki w kosmos i odebrała mu nadzieję na wielkie podróże do jądra tego kosmosu. Trzeba też dodać informację najistotniejszą: życie na Ziemi podlega dziwnej pulsacji, jej rytm wyznaczają tak niezwykłe formy przemiany energii jak narodziny i śmierć, jak dojrzewanie i starzenie się, jak istnienia i nieistnienia.

Jestem zmuszony do tych kilku pobieżnych objaśnień, ponieważ spodziewam się, że jakiś egzemplarz książki, którą mozolnie piszę, trafi do rąk, oczu albo komputerów innych stworzeń rozumnych, co trafią przypadkiem do naszej galaktyki, stworzeń rozumnych z centralnych regionów wszechświata, z eleganckich dzielnic metropolii Pana Boga, istot mądrzejszych i lepszych od nas, szlachetnych nadludzi wymyślonych i wymarzonych przez człowieka. A piszę z takim ambitnym, właściwie nazbyt niezwykłym zamiarem tylko dlatego, że znudziło mnie już porozumiewanie się z bliźnimi, braćmi-mędrcami i idiotami, braćmi-prorokami i szubrawcami, braćmi-dręczycielami i ofiarami.

Ten dzień wigilijny przynosi nam, ziemianom, co roku jakąś magiczną nadzieję, budzi w nas dziwne i podniosające przeczucie, ożywia w nas tęsknotę za nieznaną przojczyzną. W ten dzień rozpoczynający zimę albo lato urodził się dwa tysiące lat temu pewien człowiek, którego uznaliśmy za Boga, to znaczy za współtwórcę niezrozumiałej budowli wszechświata, człowiek, który, wedle naszych wierzeń, pośredniczy między nami a budzącą grozę tajemniczą nadrzędnością. Tego dnia stoję otulony w ciepły kożuch pod sklepem z wyrobami jubilerskimi nazwanym bez szczególnej finezji "Jubilerem". Jestem dwudziesty trzeci w ogonku, a za mną przytupuje skostniałymi nogami jeszcze ze dwadzieścia osób. Ja również drżę lecіutko, choć okrywa mnie suto futro barania. Ale ja drżę z emocji. Drżę w oczekiwaniu tego dnia, tych kilkunastu niezwykłych godzin, które przyniosą - być może - dla mnie i dla nas wszystkich decydujące rozwiązanie.

- Patrz pan, jaki zdrowuch - mamrocze mi w kołnierz kożucha gęstą parą stojący za mną jegomość. Pokazuje zaparowanymi od chłodu oczami wystawową szybę. - Aż grzech patrzeć.

Rzeczywiście przez zakurzone szkło widać zarys kobiecej twarzy. Ciemnowłosa dziewczyna o trochę nieprzyzwoitych ustach patrzy śpiewnym spojrzeniem na niewidzialną ulicę.

- W sam raz, ale nie dla nas - powiadam melancholijnie.

– A co to, my gorsi od innych?

Spod futrzanej czapeczki u mego rozmówcy sterczą długie mocno siwe włosy, młodzieżową modą opadając aż na kołnierz granatowej kurtki z pomarańczowymi wypustkami.

– Może i nie gorsi – wzdycham. – Metryka, metryka tylko powoli ekspiruje.

– Ja, panie, czuję się młody.

– Ale jakoś nie chodzi.

– Pan mnie nie pamięta, a ja pana znam.

– Coś jakbym sobie przypominał.

– Nie męcz się pan. Znam i już. Przyjdzie pora, to powiem.

Już zaczynam żałować kłopotliwego sąsiedztwa. A pan w futrzanej czapeczce uśmiecha się dwuznacznie. Z jego dłoni zwisa płaska torba skórzana, żak zwana pederastką. Ni to mapnik oficerski, ni to saszetka z kosmetykami.

– Zapali pan?

– Dziękuję.

– Dziękuję: tak, czy dziękuję: nie?

– Dziękuję: tak.

Przypalamy nozolnie papierosy zerkając na szybę. Dziewczyna ciągle patrzy przed siebie. A tam, na skrzyżowaniu, chmara ludzi przepycha tramwaj w bezpieczne miejsce, bo zabrakło prądu. Nawet dobrze jedzie, aż przybija na złączach szyn jak prawdziwy pociąg.

– Wszystko czytam, co pan napisze – powiada sąsiad z cieniem nieprzyjemnego uśmiechu.

– Może nie warto czytać – bąkam skromny i zażenowany.

– Przyjdzie pora, to opowiem.

Do ozdobnej kolejki zbliża się staruszka w wytartym, ciemnym płaszczyku. I ona ma na zasiniałych policzkach srebrzyste łzy wyciśnięte przez przymrozek.

– Ja jestem inwalidka – zaczyna płaczliwie, ale ogonek milczy wzgardliwie. Więc ociera dziurawą rękawiczką łzy. – Tak mnie bolą nogi, tak bolą, że ledwie chodzę.

Przestępuje z nogi na nogę i rzeczywiście te nogi wyglądają jak dwie wierzbowe kłody. Ale ogonek to ignoruje. Tylko pani w za dużej peliśie w za dużym kapeluszu i w za dużych kozaczkach rzecze ironicznie:

– Ja też nie jestem już młoda, a stoję w kolejności.

Staruszka ociera łzy.

– Mąż umarł w zeszłym roku. Sama z dziećmi zostałam. A renta taka mała, że wyżyć nie sposób.

– Ludzie, wpuśćcie panią bez kolejki – odzywa się młody człowiek o wyglądzie studenta, a drugi, pewnie kolega, wielki grubas w rozchełstanej skórzanej wiatrówce pożałuje z aprobatą. Ogonek zwiera się ciaśniej, broni dostępu do eleganckich drzwi spowitych leniwą warszawską rdzą. Stara kobieta podlipując przesuwa się nieznacznie w naszą stronę. Zajmuje dobre strategiczne miejsce obok litościwych studentów.

– Pan to wyszedł na ludzi – mruczy sąsiad ogarnięty swoją maniakską myślą. – Kto by się spodziewał.

– Panie, nie ma czego zazdrościć – odpowiadam z przykrością.

– Duszek, poznaj pana Konwickiego – sąsiad kiwa dłonią na swego sąsiada.

Wymieniam uścisk prawicy z facetem odzianym gwałtownie w elegancję lat pięćdziesiątych. Pan Duszek liczy sobie około dwóch metrów wzrostu, a i ręka jego skryłaby z łatwością pięciokilowy odważnik.

– No to i ja się przedstawię. Kojran jestem – uchyla futrzanej czapeczki, dotychczas emoniowy sąsiad. – Nie panu moje nazwisko nie mówi – stwierdza bez rozczarowania.

– Coś jakbym skądś pamiętał.

– Pan tak mówi z grzeczności, panie K. – Uśmiecha się pobłażliwie Kojran.

– Dobrze byłoby coś wprowadzić do organizmu – wtrąca pan Duszek.

– Najpierw trzeba oswoić kolejkę. Patrz pan, panie K., ona chyba zasnęła – Kojran fioletowym uchem wskazuje wystawę.

Dziewczyna ciągle jeszcze patrzy na ulicę, choć wznowiono już ruch i tramwaje, znowu w stadach, mkną ulicą w stronę Dworca Centralnego.

– Zapadła w letarg. Ja to znam – powiada kaszląc pan Duszek. Wielkie kłęby pary z jego ust lecą ponad głowami ogonka. – Ona ma wyrzuty sumienia.

Na wielkim rondzie przy skrzyżowaniu szerokich ulic śnieżny wiatr miota ogromnym świerkiem przybranym na choinkę. Leśne drzewo szarpie się na wszystkie boki jakby kłaniając się dziewiętnastowiecznym stronom świata, jakby chcąc się urwać z uwięzi, z tej karnawałowej niewoli. Czerwone szklane bombki sypią się obficie na tory tramwajowe niczym zmarznięte owoce jarzębiny.

– Mój kolega to Francuz – powiada uczęstem student, a ten rudy, grubas w rozpiętej kurtce skórzanej chyli uprzejmie głowę.

– Bon jour, monsieur – w odkłania się Kojran. – Ça va?

– Bardzo dziękuję – rzecze po polsku Francuz z silnym akcentem.

– Co pan tu u nas porabia?

– On jest anarchistą – wyjaśnia student. – Policja już mu deptała po piętach. Uciekł więc do Polski.

– Witamy w naszym pięknym kraju.

Francuz wygłasza krótkie przemówienie w ojczystym przemówieniu

– On mówi – tłumaczy student – że dawniej każdy młody Europejczyk powinien był jechać do Paryża. Dziś jeździ się do Warszawy.

– Wielki to dla nas zaszczyt – kłania się jeszcze raz Kojran, anarchista również składa ceremonialny ukłon.

– Warto strzelić dzioba – wzdycha pan Dunajek.

– Przyjdzie pora, to strzelimy. Coś pan tak zdrętwiał, panie K.?

– Niech pan spojrzy: czerwony śnieg pada.

– Jaki tam czerwony. Od nocnu nabrał koloru. Na cud pan czeka?

Pod kamienną tablicą, gdzie podczas wojny rozstrzelano pięćdziesięciu zapomnianych ludzi, przygasa i rozpala się od nowa parafinowy znicz w zielonym słoiku.

– Tak, ma pan rację. Czekam na cud.

Jeśliby spojrzeć na naszą planetę, kontynent z głębi wszechświata, to poprzez gąszcz Drogi Mlecznej zobaczy się z trudem skromne słońce i osiem czy dziewięć – nie mogę mi się sprawdzać w atlasie – a więc osiem czy dziewięć planet, niektóre z księżycami, kilkanaście małych planet towarzyszących słońcu, tak ważnemu dla nas, a tak obojętnemu dżungli kosmosu. Jedna z tych planet to nasza ziemia, na której się zdarzył niezrozumiały fenomen życia utopionego w tlenie, a więc w najbardziej piekielnym, zabójczym pierwiastku. Ta ziemia podobna jest porcelanowej niebiesko zielonej gruszce smażonej dmuchniętym kurzem pudru. Ów biały strzępiasty melot to obłoki ozonu przez poetów, to chmury zapowiadające cyklony i potopy, straszne jesienne nisze, kiedy ludziom pękają serca, kiedy z mgieł wyłażą upiory obezwładniających przeczuć, kiedy życie zastyga w letargu, w corocznej próbie wiecznego snu.

Na tej gruszkowatej ziemi mrowi się spełniając nakazy natury prawie pięć miliardów istot rozumnych, na pierwszy rzut oka, albo fali elektromagnetycznej, stworów dwunożnych o postawie wyprostnej. W zawiłym procesie ewolucji podzieliliśmy się na wielkie lub mniejsze zgrupowania społeczne zwane narodami, co być może ułatwia nam proces wegetacji. Te wielkie i małe narody nieustannie pożerają się nawzajem w walce o byt, o przetrwanie, o sprostanie prawom selucji. Oczywiście absurdem byłoby twierdzić, że małe formacje społeczne pochłaniają wielkie, ale jeśli się weźmie pod uwagę, że te stada zwane narodami puchną i kurczą się raptownie, rozdymają się i tężnią, mnożą się przez pączkowanie i kalecznią przez amputacje - to można powiedzieć, że w ostatecznym rachunku pożerają się nawzajem, choć czasem się zdarza, że i zwymiotują niestrawionymi szczątkami sąsiada.

Dziwaczny podział na narody jest źródłem wielu naszych cierpień, bólów, nieszczęść, im bliższy jest rozpad narodów, jako struktur przestarzałych, hamujących zagadkową i przerażającą ewolucję, tym intensywniejsze zachodzą procesy jonizacji wewnątrz narodów, tym wyższe rodzą się temperatury wewnętrzne i zewnętrzne, tym tragiczniejsze stają się zderzenia oraz tarcia tych cząstek zwane przez nas wojnami, rewolucjami albo powstaniami.

Skłonność literatów, opisujących fikcyjne lub prawdziwe perypetie między poszczególnymi osobnikami i między całymi formacjami społecznymi, a więc skłonność literacka do odrywania się od ziemi i spoglądania na nią z odległości stratosfery czy przestrzeni międzygwiezdnej, ta maniera jest już wytropiona przez badaczy i nazwana jako objaw szczególnej dewiacji. Ale i opisywanie fenomenu życia z wysokości kamienia polnego, albo hydrantu w mieście też jest nagannym zboczeniem. Ponieważ w ogóle literatura to nienormalność, transcedencja i zboczenie.

- Patrz pan, panie K., jej już nie ma.
- Kogo? - pytam machinalnie.
- Iwony.

Szyba wystawowa zapociła się skrywając mroczne wnętrze salonu jubilerskiego.

- Pan ją zna?
- Jeszcze nie - powiada Kojran.
- To skąd pan wie, jak na na imię?
- Iwona - powtarza z uporem. - Założymy się?

– Nie lubię zakładów.

– Nie lubi pan hazardu?

– Czy ja lubię hazard? Czasem lubię.

– Tylko na całą stawkę?

– Właśnie. Na cały bank.

Wybucha mały niepokój na początku kolejki. Uboga kobieta zręcznie umieszcza się przed studentami. Słychać łoskot żelaza, brzęk szyb i podniesione krzyki klientów. Kierowniczka salonu otwiera drzwi. Do środka wciska się w karnym ordynku kolejka. Teraz stoimy luksusowo wzdłuż kryształowej lady wypełnionej radzieckimi zegarkami ręcznymi i enerdowskimi budzikami. Lodowate nasze stopy spoczywają na płytach z czarnego marmuru. Nad nami lśni ogromny ceramiczny żyrandol. Lśni, ale nie płonie elektrycznym światłem, bo nie ma chwilowo prądu. Kierowniczka wynosi z zaplecza dwie świece przypieczone stearyną do etui po bransoletach chińskich. Wesołe płomyki zabobonią już we wszystkich lustrach.

– Jest? – szepcze poufnie Kojran.

– Kto?

– Iwona. Tam, koło palmy.

Obok zakurzonego drzewka siedzi na wyściełanym krzesełku – w stylu fałszywe Księstwo Warszawskie – nasza znajoma zza szyby. Czyta książkę z gniewnym znudzeniem. Odkrywam pełen dziwnego niepokoju, że włosy jej są prawie czarne, a i w oczach jest coś kreolskiego, pierwiastek śródziemnomorski zmamuje z nieznanej dziewczyny, i to mnie trochę zniechęca. W tych południowych narodach jest jakaś łatwość urody, jakaś pochopność natury i brak powściągliwości.

– Proszę państwa – odzywa się donośnym głosem kierowniczka salonu.

A kiedy tak się odzywa wysoko stapirowana, złote jej włosy podlegają raptownej drżączce. – Proszę państwa, dzisiaj jeszcze nie przywieziono towaru. Może przywiozą za godzinę, a może i przed zamknięciem sklepu. Ostrzegam, żeby nie było reklamacji. Książka skarg i zażaleń jest chwilowo u introligatora.

Jęk zawodu, gwałtowne zafalowanie ogonka. Dwaj mężczyźni w poplamionych cementem ubraniach roboczych głośno złorzeczą. Baba wiejska z wielkim tłumokiem okrytym chustą związaną na piersiach zaczyna płakać.

– Trudno. Poczekamy – dudni nad głowami ludzi pan Duszek.

– Ech te kolejki, kolejki – wzdycha Kojran.

Pani w za dużej pelisie oraz w za dużym kapeluszu odwraca się ku niemu i rzecze z naciskiem:

– W Anglii też są kolejki.

A ja sięgam dłonią za pazuchę, pod gorące wnętrze kożucha, i macam palcami kieszeń marynarki. W porządku jest gotówka. Pięć tysiączłotowych banknotów.

– Panie K., pan naprawdę wierzy w cuda? – zapytuje Kojran.

– Może to pierwszy objaw starości, ale jakby zaczynam wierzyć.

– Przyjdzie pora, to uzgodnimy. Pani Iwanko, nie szkoda oczu?

Śródziemnomorska dziewczyna unosi głowę znad książki, spogląda wyniośle na Kojrana, który posyła jej całusa dwoma palcami o zmiażdżonych paznokciach. Okazuje się powoli, że w salonie jubilerskim jest nie tylko ciemno, ale i chłodno. Stąd te serdaki na sztuczego futra na kibicach ekspedientek. Iwona wraca do książki. Płomyki świec, jak listki jesiennej brzozy, chcą zerwać się z szarych knotów miotane gwałtownymi przeciągami.

– Chłopcy – powiada Duszek – trzeba huknąć po lornecie, bo dostaniemy pneumonii.

– Przyjdzie pora. Oswajajmy kolejkę.

– Jakby co, to proszę i o mnie pamiętać – kłania się uprzejmie facet cały spowity w dżinsowe płótna i zajmujący pozycję dwudziestą szóstą, a po przyłączeniu się ubogiej starowiny – dwudziestą siódmą. Wygląda on na jakiegoś rozkapryszonego paniczа z paryskiego Faubourg'a, albo wręcz z Time Square na Brodwayu.

Kojran i Duszek przyjmują jego propozycję z ostentacyjnym chłodem. Potem Duszek szepcze chrapliwym basem:

– Uważajcie, to kapusta.

Nieopodal salonu jubilerskiego zatrzymuje się ciężarówka. Strażnik w wacniaku opuszcza klapę. Na chodnik zeskakują więźniowie w takich samych wacniakach, tyle że okrytych pomarańczowymi kamizelkami. Każdy z nich jest uzbrojony w szuflę do śniegu. Ale śniegu jeszcze mało. Może będzie dosyć koło pierwszej gwiazdki.

Łapie mnie raptowny strach. Mam idiotyczną ochotę wyprysnąć na ulicę razem z kryształową szybą wystawy, razem z palcha-skimi szkatułkami i babami w babach. Leon sięgam tylko ponownie w zamadrze, gdzie kości mostka zaciska straszny, złowróżbny ból.

Rozcieram żebra nad sercem, normuję oddech. Ból jednak nie ustępuje. Ból, który poznałem przed kilku dniami.

- Może to i dobrze byłoby tak od razu, na miejscu, bez apelacji? - pytam sam siebie. - To nie czasy powolnego, mieszczańskiego konania. Dziś nawet sklepikarze, a kto wie, czy i nie ministrowie, dziś wszyscy modlą się o nagłą i niespodziewaną.

Później, uspokojony słucham z miłą satysfakcją, jak ten nowopoznany ból zaniska jeszcze bezwzględniej szczęki na zapleciu moich żeber. Kożuch wonieje mumią barana i salonem praliniczym "Alba".

- Oż wy w mordę łeshtani - warczy Kojran - dwadzieścia po jedenastej, a towaru jak nie ma, tak nie ma.

- We Francji też godzinami czekają na towar - powiada suchopani w za dużej pelisie, w za dużym kapeluszu i w za dużych kozakach. Nawet w uszach ma za duże złote klipsy ze szmaragdami.

- Pani pewnie z dyplomacji - stwierdza Kojran.

- Dlaczego z dyplomacji? - pyta trochę dotknięta pani w za dużej zewnętrzności.

- No bo taka bywała.

- Ja tylko jestem obiektywna.

- Polak jak musi czekać, to wpada w złość - rzecze Duszek.

- Włosi są bardziej nerwowi.

- Nie obchodzą mnie Anglicy, Francuzi, Włosi - denerwuje się pan Duszek. - Obchodzą mnie Polacy. Pani rozumie, co mam na myśli?

- Nie będę z panem dyskutować o polityce.

Wiejska baba z tłumpkiem przemieściła się niezauważenie w naszą stronę. Korzysta teraz z kłopotliwej ciszy i pyta poufnie.

- Może ktoś z państwa potrzebuje cielęciny? Mam ładną, świeżutką.

- Ale babcia tu nie stała - stwierdza z gniewem Kojran.

- Toż i nie stoję, tylko pytam.

- Pani pokaże tę cielęcinę - wtrąca Duszek.

Baba zaczyna rozsupływać tobół. Na marmur posadzki sypią się przemarznięte ziarna zboża.

- Po co ci cielęcina? - pyta Kojran.

- Zobaczymy, pomyślimy, cielęcina to najzdrowsze mięso.

Kierowniczka wychyla się zniecierpliwiona przez kryształową ladę.

- Pani pozwoli do mnie na zaplecze.

Baba zastyga w niepewności z dwoma udźcami cielęcymi.

– Ale my jesteśmy pierwsi – interweniuje Kojran.

– Starszy, starszy dla wszystkich – uspokaja wieśniaczka i już chyłkiem mnie na zaplecze wabiona przez słotowłosą kierowniczkę. Dziewczyna z książką uniosła głowę, patrzy na mnie tak, jakby mnie naprawdę widziała, jakby myślała o mnie, jakby chciała mi coś powiedzieć. I znowu raptem przenosi wzrok na szybę, za którą przytupują więźniowie oczekujący śniegu, i znowu wraca do książki.

– Wie pan, nie zapamiętałem wieczoru wigilijnego z dzieciństwa, z partyzantki, albo tego powojennego w pustym pokoju w pustej burse akademickiej, ale zapamiętałem na całe życie taką jedną króciutką chwilę, kiedy zapaliła się pierwsza gwiazda, a ja stałem w oknie patrząc na drogę jak kanion śniegowy, na ogromne zbocza rozległych wzgórz okryte grubo ponową, na białą ścianę lasu u szczytu tych wzgórz, na granatowiejącą niebieskość nieba, na całą tę wigilijną wigilijność, w której zamiera wszelkie użyteczne życie, w której odzywa się delikatne życie intymności ludzkiej, więc patrząc na tę łagodną bajkę wymyśloną przez Boga i ludzi spostrzegłem nagle samotnego człowieka, co szedł zgarbiony śnieżną drogą. W tej osobliwej chwili, szedł sam jeden na świecie przez opustoszały świat wigilijny i w tym jego osamotnionym ruchu tyle było wieloznacznej grozy, tyle tajemniczego nieszczęścia, tyle zuchwałego wyzwania wobec odwiecznej tradycji, że ten widok brnącego przez kopki śniegu człowieka w godzinę wigilijnego zmierzchu zostanie mi na zawsze w pamięci, choć tymczasem rozbito atom, zwyrodniono geny, i wylądowano na księżycu.

– A gdzie pan widział tego człowieka?

– W Kolonii Wileńskiej. Przed wojną. Bo tylko u nas bywała prawdziwa wigilia.

– Panie K., pan chyba nawet coś pisał o nocy wigilijnej?

– To nie ja. To Andersen.

Duszek pościł wielki kłąb pary z ainych ust.

– Chłopcy, błagam, najwyższa pora zamoczyć wigilijną rybkę.

– Tak, przyszła pora – stwierdził beznamiętnie Kojran.

Na ulicy dął lodowaty wiatr, wiatr rodzący się z różnicy ciśnień w atmosferze ziemskiej. Nisko nad dachami domów leciały rzadkie, brudne obłoki. Za nimi było jasnoniebieskie, pokojowe niebo, ale my wiedzieliśmy, że to niebo jest tylko śmietnikiem, w którym wicher słoneczny gania tabuny zardzewiałych sputników, niedojedzonych konserw i zamrożonych na wieczność

czyichś kości.

Skręcamy w stronę eleganckiej restauracji, chcę ująć za klamkę szklanych drzwi pękniętych na całej długości, ale Kojran powstrzymuje mnie bez słowa. Wchodzimy do mrocznej klatki schodowej jakby na zapleczu tego lokalu gastronomicznego. Bez zdziwienia poznaję odór moczu tak charakterystyczny dla naszych sieni. Wspinamy się niewysoko, bo na pierwsze piętro. Duszek dzwoni trzy razy dzwonkiem elektrycznym, pod którym zostały ślady kilku warstw biletów wizytowych.

Ktoś uchyla drzwi. Słychać brzęczący głos telewizora.

- Chcemy złożyć życzenia świąteczne, dziadku - powiada Duszek.

Niedołężny staruszek wsparty na dwóch laskach wpuszcza nas do mieszkania. Zdejmując kożuchy sprawdzamy, czy nie zgubiłem pieniędzy. Są i szeleszczą smakowicie w nagrzanej kieszeni.

Staruszek wyrzuca straszliwie obie nogi na wszystkie strony, ratuje się przed upadkiem rozpaczliwą manipulacją lasek, mozolnie prowadzi nas do niedużego pokoju. A tu ciepło, wesoło, telewizor miga wesoło zakłóceniami. Siadamy na wytartej wersalce przy stole okrytym wiejską serwetą. Ze ścian patrzą powiększone fotografie, powiększone i wyretuszowane fizjonomie, może tego ułomnego staruszka oraz jego nieżyjącej żony, a może nieznanych, dawno umarłych ludzi jak modele Michała Anioła czy Velazqueza.

Wraca staruszek miotany dzikimi konwulsjami i patrzy pytająco.

- Niech dziadek poda lornetę z meduzą - dysponuje Duszek. - Oczywiście dla każdego.

Coś kapie z pięknym dźwiękiem harfy. Kąt pokoju przemókł doszczętnie. Z wypełnionej brudną wodą żarówki lecą wielkie krople. Ale ta woda nie pozostaje w naszym pokoju. Sobie wiadomymi kanałami idzie pod podłogę, leci pewnie do tej wytwornej restauracji.

- Sąsiad zalał - powiada Duszek kiwając ze zrozumieniem głową. - Zalewa cały dom od góry do dołu prawie co miesiąc. Hydraulicy już stracili cierpliwość. Dziś, panie szanowny, każdy człowiek powinien być samowystarczalny. Sam sobie niech ulepi dom, sam koło domu niech posadzi ziemniaki i kapustę, sam niech wymieni pękniętą rurę, albo spaloną instalację elektryczną. W tę stronę idziemy. Kończy się, proszę pana, specjalizacja. Wracamy do epoki gospodarki naturalnej.

Gospodarz wpływa do pokoju jak mątwa. Walcząc z kalectwem i laskami inwalidzkimi niesie wielką tacę. Potem stawia przed nas

ni po dwie setki w wysokich szklaneczkach i po talerzyku galaretki z nóżek. To jest właśnie lorneta z meduzą.

- Panie K., za nasze szczęśliwe spotkanie!

Wypijamy każdy po swojemu setkę czystej. Ja nerwowo, na dwa łyki, Kojran uważną, nieprzerwaną strugą wprost do gardła, Duszek drobnymi haustami jak kryniczną wodę. Połknąłem alkohol i słucham ze złośliwą obojętnością, co się dzieje w tym kościanym wiaderku, które lekarze zwą klatką piersiową. Ale pod krawatem jak gdyby jeszcze tkwi to ołowiane imadło zaciśnięte na mostku.

- I co, w ogóle mnie pan nie pamięta? - pyta Kojran.

- Wie pan, dawniej pamiętałem każdą twarz spotkaną w dzieciństwie, każde nazwisko przeczytane choćby w gazecie. Teraz jakby mi się coś poplątało. Wszystkie twarze wydają się znajome i kompletnie nieznane, wszystkie nazwiska swojskie i zupełnie obce. Chaos, ale bez dynamiki chaosu.

- No to szkoda, że pan mnie nie pamięta. Byłoby o czym porozmawiać.

- Kilka lat temu podróżowałem przez Amerykę. W Nowym Jorku zatrzymałem się na dwa tygodnie. Przez cały czas ktoś mi zostawiał karteczki w recepcji hotelowej z prośbą o telefon. Podpis coś mi mówił jakby z odległej pamięci, ale też na dobrą sprawę mógł nic nie mówić. Wolałem, żeby nic nie mówił. W końcu zaczepia mnie przed hotelem starszy pan, niezmiernie wychudły, schorowany mężczyzna o błękitnych oczach i ja od razu poznałem tego człowieka, choć nigdy przedtem nie mogłem go spotkać. Zaprowadził mnie do taniej restauracji gdzieś w okolicach zaśćdziesiątej ulicy, obstalowaliśmy dwa hamburgery, które podał Murzyn ubrany na afrykańskiego ludożercę, z butonem na piersi, a na tym butonie widniał agresywny napis: black is beautiful. Więc rozgryzając ten podejrzany hamburger dławiłem się jakimś lękiem, wstydem, raptownymi wyrzutami sumienia, a mój rozmówca, ledwo dychający staruszek starszy ode mnie siedem albo dziesięć lat, więc ten prawie mój rówieśnik na progu agonii patrzył na mnie nieżyjącymi już oczami, a właściwie bardzo żywotnymi oczami, gorejącymi ostatnim blaskiem oczami i czekał na moje słowa. A ja, choć to może wydać się głupie, przyjąłem, mimo że siedziałem, postawę wojskową i wojskowym, służbistym głosem złożyłem mu meldunek o dalszych losach naszego oddziału partyzanckiego w pierwszych miesiącach czterdziestego piątego roku o naszych losach, które rozminęły

się z jego losem, bo jego aresztowano jesienią czterdziestego czwartego i on uciekł z transportu więźniarskiego, uciekł przez lód zapomnianego jeziora ostrzeliwany zajadle przez eskortę, więc uciekł i w tragicznych okolicznościach wydostał się na zachód, gdzie szybko stracił zdrowie w nieskończonej tułaczce i teraz umiera, umiera i nie może umrzeć na wielkiej wyspie Long Island, a tak długo, bez końca umierając ciągle myśli o dalekiej Polsce, ciągle rozpamiętuje te sześć lat wojny, te najpiękniejsze sześć lat swego życia, kiedy był piękny, młody, szlachetny, kiedy kształtował życie, kiedy stanowił lepszy i mądrzejszy kodeks moralny, kiedy był człowiekiem na kształt i podobieństwo Pana Boga. Więc składałem mu meldunek mocno przestarzały, ogromnie przeterminowany ślubiąc hamburgera i sałatę z sosem rosyjskim, a dokoła na wszystkich ulicach i alejach Manhattanu szalał wielki kryzys światowy, hipisi zziębnięci pierwszym przymrozkiem śpiewali o miłości, Arabowie prowadzili wojnę z Izraelczykami, komandosi palestyńscy strzelali do kobiet i dzieci porywając samoloty, pederaści brali homoseksualne śluby, filozofowie głosili kult absurdu i chaosu, młodzi filmowcy kręcili wielogodzinne filmy o śpiącym anonimowym człowieku, narkomani palili marihuanę, w dziennych i nocnych lokalach kobiety rozbierały się do naga, Europa próbowała się połączyć w Stany Zjednoczone, jakiś prezydent afrykański szykował się do koronacji na cesarza, w Chinach rząd organizował rewolucję wymierzoną przeciwko sobie, jacyś panowie latali po orbicie okołoziemskiej w prymitywnej kapsule podobnej do żelaznej beczki, starcy onanizowali się w kinach porno, junty pułkownikowskie rezygnowały raptem z władzy, Kościół debatował nad zniesieniem celibatu, ktoś się gdzieś oblał benzyną i palił na oczach całego świata, gdzie indziej trzęsła się ziemia, powódź topiła ludzi i miasta, jakiś poeta płakał nad wierszem zniekształconym przez cenzurę albo błąd drukarski, a ja poddając się dziwacznej konwencji, która zdechła albo została zamordowana kilkadziesiąt lat temu, a ja poddając się tej nieżywej i tylko mnie, może również temu człowiekowi naprzeciwko, więc tylko mnie i temu człowiekowi pamiętnej konwencji ulegając relacjonowałem odyseję jakiegoś malutkiego oddziałku młodych ludzi, co chcieli odmienić świat, a chcieli ten świat zmieniać wzbijając się w niebo z prowincjonalnego kosmodromu ubogich mocarzów i dzikich lasów, z krateru mało kogo obchodzących nieszczęść i krzywd anonimowych. Tak wyglądało spotkanie z moim dowódcą, którego nigdy przed-

tem nie spotkałem i który mnie nigdy przedtem nie widział? Z moim dowódcą mojej wojny, której nikt już nie pamięta, której już nikt tak mocno nie pamięta, że może jej w ogóle nie było?

Kojran ujmuje drugą setkę, patrzy pod światło na tę dawkę przezroczystego narkotyku z łagodnych mazowieckich kartofli.

– A wie pan, panie K., że i ja tam jadę?

– Dokąd?

– No właśnie do Ameryki! Jutro przed południem tam lecę! W pierwszy dzień świąt! Jeśli przedtem nie zdarzy się cud. Wypijemy, co jest pod co wypić, prawda panie K.?

– Tu mam pewne wątpliwości! Już mi się kręci trochę w głowie, są pierwsze kłopoty z wynosem!

– Co pan? Przecież pana znam! Ćwierćeczka to była dawka na uspokojenie!

– Było, minęło! Mnie też czeka podróż!

– Daleka?

– Daleka! Do Kalisza!

– Nie taka znowu daleka!

– Dla mnie daleka!

Wchodzi niwy mężczyzna z akordeonem na plecach. Nie patrząc w naszą stronę zbiera pulpity z nutami i wynosi je do drugiego pokoju.

– Polak jak wypije, to wesoły – rzecze pan Dusek salutując swoją szklaneczką.

– A nie ciekawi pana, po co jadę do Ameryki?

– Pewnie do OWZ-tu albo do rodziny!

– Zgadł pan, panie K.! Jadę do brata!

Wyciąga spod stołu tę skórzaną torebkę zwaną pedersetką, otwiera zamek błyskawiczny, grzebie w urzędowych papierach.

– Wszystko mam! Paszport, wizy, nawet dolary, tylko wstydzę się lecieć, ale nie wiem, czy polecę!

– Czy poleci pan jutro?

– Czy polecę jutro w pierwszy dzień świąt! Brat na stację benzynową, a nad tą stacją, na pierwszym piętrze, jest świątynia! Na pierwszym piętrze, bo następnych już nie ma! Całe piętro naturalnej wielkości to kościół, bóżnica i kircha, a może nawet wszyscy po kolei się tam modlą! Jednego dnia ci, drugiego inni! A pod spodem brat ze stacją i małym warsztatem! Pana to nie dziwi?

– Trochę dziwi, ale mało!

– No to przepuść pan do organizmu tę ampułkę!

– Padnę na miejscu!

– Nie padniesz! Wrócimy do jubilera po towar!

"Wśród nocnej ciszy głos się rozchodzi:
Wstańcież pasterze, Bóg się wam rodzi!..!"

Zaniemamy z pustymi szklaneczkami w rękach! Obok, za ścianą, ulicznа orkiestra rozpoczyna próbę! Właściciel mieszkania wyrzucając nogi we wszystkie strony świata pojawia się na progu!

– Nie będą przeszkadzać artyści? – pyta!

– Mogą grać, dlaczego nie – zgadza się Kojran!

W prostokącie drzwi widzę plecy muzyków w jednakowych niebieskich marynarkach! Dyryguje gitarzysta, on też apodyktycznym głosem wykonuje zwykle refreny! Dziś będzie śpiewać kolędy!

– Jeszcze coś podać? – pyta gospodarz!

– Starczy – odpowiada Duszek! – My z roboty! W ogonku stoimy!

Właściciel kiwa ze zrozumieniem głową, w nagłym odruchu opuszcza nasz pokój!

– A jak to u nas bywało? – odzywa się raptem Kojran!

– Gdzie u nas?

– No na Wileńszczyźnie! Powiedz pan jeszcze o tej nocy wigilijnej!

– Już raz mówiłem!

– To mów jeszcze raz!

– Dwa razy nie można!

Kojran uderza mnie w ramię czerwoną dłonią! Potem zdejmuje futrzaną czapeczkę, szoruje palcami długie strąki zapakowanych włosów!

– Otóż to! Dwa razy nie można!

"Przybieżeli do Betlejem pasterze!
Grają skocznie Dzieciątemu na lirze!..!"

– Fałszują, cholera – krzywi się Duszek i rzuca do galaretki z nóżek: – nie trzęś się i tak cię nie zjem!

– Pan ma też zmartwienia? – pochyla się do mnie Kojran!

– Mam kilka! No, może dwa!

– To niewiele!

– Dla mnie wiele!

– Coś panu powiem! Ja kiedyś wierszе pisałem!

– Każdy pisał!

– Uch, ciężko z panem rozmawiać! Dawniej byłem zupełnie inny! To mam na myśli! Po drodze, przez dwadzieścia lat, wszystko mi wy-

cięli! Wszystko co mogli: pół żołądka, ślepą kiszkę, migdałki, żylaki, płat płuca, łękotkę! Wystarczy?

– Pewnie, każdemu wystarczy!

– Myślę, że mi sporo ubyło! Zmieniłem się, panie K.!

– A u mnie narosło! Przybyło w ciągu dwudziestu lat!

– Co mogło przybyć?

– Torbiele, żylaki, garb, mięśniaki, odciski! Zmieniłem się, panie Kojranie!

– Nie słyszał pan nigdy mego nazwiska?

– Coś jakbym słyszał!

– Zajrzyj pan do swoich papierów! Zdaje się matka panienka urodziła się w Kojranach!

– To pan z Kojran?

– Nie, ja urodziłem się w Miekunach!

– Kojrany, Miekuny, Niemenczyn to moje łożysko płodowe! Ale igdy tam chyba nie byłem! Czy ja w ogóle kiedyś byłem w tamtych stronach?

– Mówią, że pan był, że pan tamtejszy!

– Albo wmówiłem ludziom! Rodowód z erudycji! Tyle mi naczytałem wspomnień, pamiętników, monografii, że wyciągnąwszy esencję mogłem z niej oddestylować skromny literacki rodowód dla jednego bezdomnego człowieka, to znaczy dla siebie!

– Co pan tu opowiada, panie K.! Pan ma normalną biografię i ja pana miałem zastrzelić w pięćdziesiątym pierwszym! Chodziłem za panem trzy tygodnie z pistoletem parabellum przywiezionym z Wilna!

"Bóg się rodzi, moc truchleje,
Pan Niebiosów obnażony..."

Orkiestra uliczna próbowała trzecią kolędę! Każdy z muzyków zdążył już spotyć taką samą lornetę z meduzą! W kącie kapie bezgłośnie wuda! Kapie nie robiąc nam żadnej subiekcji, przenika do tej luksusowej restauracji, której nikt nie odwiedza!

– Przypadkiem ciekawostkę, a pan milczy – odzywa się cicho Kojran!

– Miałem takie wrażenie, że chodzi za mną śmierć! W pięćdziesiątym pierwszym, drugim, a może nawet czwartym!

– Nie, później to nie! W pięćdziesiątym drugim to ja już mieszkałem i opiekował się mną Duszek, prawda Duszek?

Olbrzym spogląda melancholijnie na swoje wielkie dłonie!

– Po co wspominać! Może to wszystko nieprawda?

Ciekaw jestem, jak ja piszę? Nigdy w życiu nie przeczytałem własnej książki! To znaczy czytałem wszystkie podczas pisania, to znaczy odczytywałem poszczególne zdania dopiero co napisane, mocowałem się z nimi, gubiłem się w nich, czytałem pisząc i pisałem czytając, ale nigdy nie sięgnąłem po oprawny tom okryty pierwszym kurzem i nie zacząłem składać własnych liter od początku pierwszego rozdziału do odległej o krótką nieskończoność puenty! I właściwie nie jestem ciekaw, bo gdybym był ciekaw, to ukradkiem poczytałbym sobie te zwiędłe strony sprzed dziesięcioleci i sprzed paru miesięcy. Ja tej swojej prozy nienawidzę! Nienawidzę jak upiora, jak złe wspomnienie, jak wyrzut sumienia! Ta proza to coś w rodzaju ziarniny ciekącej z mojego organizmu! Niby wskazuje, że coś się zabliźnia, że coś zdrowieje, ale przecież nic się nie zabliźniło i nic nie wyzdrowiało!

Podzieliliśmy się na wielkie, średnie, małe i zupełnie mikroskopijne zbiorowiska, które mówią własnymi mowami! Te zamknięte społeczności różnią się między sobą innością artykulacji, sposobem wydawania dźwięków z krtani! Tych dźwięków dźwięcznych i bezdźwięcznych jest taka mnogość, że nie potrafimy ze sobą porozumiewać się bez udziału osobników, zwanych tłumaczami, którzy nauczyli się kilku albo nawet kilkunastu języków, to znaczy wydawania dźwięków przy pomocy aparatu gębowego!

Cóż jeszcze trudniej komunikować się nam ze sobą w zakresie doświadczeń i ugruntowanej na nich świadomości! Rozumiemy wtedy poszczególne słowa, całe zdania i sążniste akapity, ale nie możemy zrozumieć człowieka, co to napisał!

Ja jestem indywiduum, którego nie rozumieją bliźni znad Tyboru, Sekwany, czy Hudsonu! Niby pojmują moje przetłumaczone wiernie zdania główne oraz poboczne, niby łapią sens metafor i migotliwość nastrojów, ale nie potrafią współczuć mojej doli ani ogarnąć bezsensu mojego sensu, który wydaje się im nierzeczywisty, obcy, pozbawiony motywacji, a więc zupełnie niezrozumiały! Nie rozumieją mnie, bo jestem Polakiem, bo należę do zbiorowości rozsiadłej wzdłuż rzeki Wisły, albo raczej rojącej się zbiorowości wokół szeregowej rzeki europejskiej! A los tego stadka istot rozumnych kocz ujących nad dziką rzeką, choć mieszczący się w normach i prawach biologicznych ziemi, jest losem pokrętnym, losem skomplikowanym, losem wynaturzonym jak każde nieszczęście, jak każda bieda! Dlatego mojej codzienności, moich zwykłych myś-

i porannych i rozpaczy wieczornych, dlatego chemii mojego mózgu struktur fizycznych mojej duszy nie jest w stanie zrozumieć bywatel społeczności zażytych, stabilnych, sennych, zmarzniętych aniwym tradycjonalizmem. I z tego powodu rzeczę on, że jestem niezrozumiały, że piszę niezrozumiale, że sytuacje przeze mnie ewokowane, że przeczucia przeze mnie rozbudzone, że lęki mnie osaczające są dla niego nieprzekonywujące, pozbawione wyrazu, obcy. rzuca on na mnie odpowiedzialność i mnie czyni winnym za niezrozumiałość we i ja się wstydzę, tłumaczę, przepraszam aż do tej chwili, kiedy zniecierpliwiony powiem: dziękuj Bogu, że mnie nie rozumiesz i módl się codziennie, żebyś jak najdłużej mnie nie rozumiał, bo w końcu będziesz musiał mnie zrozumieć i to zrozumieć do końca, do ostatniego włókna rozwibrowanego układu nerwów, do najczulszego drgnienia membrany świadomości, a stanie się to wtedy, gdy przyjdzie ci dzielić mój los, gdy moje fatum jak gradowa chmura przepłynie na zachód i stanie nad twoim krajem, nad twoim domem, nad twoją głową, gdy oprawcy Wielkiego Przeznaczenia wyciągną cię z ciepłego łóżka i zaczną torturować bez końca bezradnością codziennością, kneblem i kajdanami, powolnym wyskrobywaniem mózgu i uporczywym truciem serca, a ty w ostatnim momencie swojej nieszczęsnej egzystencji zobaczysz obojętne, nie rozumiejące, bezsilne oczy bliźnich znad Wisły, Wełtawy czy Potomaku. Niezrozumienie może być równie dobrze pierwszym stadium letargu, pierwszym zaćmieniem agonii, pierwszym sygnałem Opatrzności, że idą lata najcięższych plag nad krawędzią niebytu.

Ale jestem niezrozumiały i z innych powodów. Piszę szyfrem, gdyż ozięsiej używam gwary więziennej, opanowałem zawiłe arkana kodów grypsowych. Moje pisanie to poczerniałe ściany celi, cele śmierci. Na tych ścianach wydrapuję znaki upływających dni, sentencje raptownych jak letni dzień nadziei, przestrogi dla wolnych potomnych i zwierzęce krzyki rozpaczy, gdy nie można już dalej żyć i nie można raptem umrzeć.

Ja już się nie staram, żebyście mnie zrozumieli. Już mi nie zależy na waszej aprobacie, albo na waszym współczuciu. Ja już piszę tylko dlatego, że muszę pisać i nie wierzę, żeby ktoś to kiedy przeczytał i zrozumiał do końca jak ja to rozumiałem walcząc z upornym, mało pojemnym ulotnym słowem. Piszę, bo jakiś dziwny obowiązek popycha mnie do tego papieru, który rozsypie się w proch po dziesięciu latach. Piszę bo pełga w mojej podświadomości iskra nadziei, że coś gdzieś jest, że coś gdzieś trwa, że Wielki

Sens dostrzeże mnie w ostatnim mgnieniu i uratuje z wszechświata bezsensu.

– Zasnął pan? – Kajran trąca mnie łokciem.

– Myślę o swoim życiu.

– Nic pan nie wymyśli.

– Polak jak myśli, to zawsze senny – konstatuje pan Duszek.

W spazmach zakłóceń telewizorek błyska twarz spikera, który coś mówi, mówi bez przerwy i bez przekonania już od kwadransa. Z czarnej, pełnej błota żarówki kapią krople wielkie jak wiśnie.

"Przybiegli do Betlejem pasterze.
Grają Dzieciątecku na lirze..."

Orkiestra nabrała już pływności, gra swobodnie, czysto jak filharmoniczy. Muzycy patrzą przekrwionymi oczami w zakurzone okno i na śnieżycę, która leci przez miasto z szybkością ekspresowego pociągu.

– Przyjdę do domu na wigilię na silnym cyku – wzdycham z rozpaczą.

– Kto to wie, jak się zakończy ta wigilia.

– Pan mnie straszy?

Kajran wlewa do gardła ostatnie krople "stołowej".

– Przecież pan czeka na cud.

– To prawda. Ja czuję już gorące tego cudu, dziwny podniecający zapach tego cudu, słyszę niebiański głos tego cudu, właściwie nie tyle głos, co tajemnicze murmurando, astralne brzęczenie, niespokojny szum pulsarów, białych karłów, albo dziur antymaterii. Z tego nieskończonego śmietnika idzie do mnie poznanie, pełnie jakaś prosta formuła sensu, ciekawie spełój zrozumienia.

– Ja jestem panu winien kulę. Ołowiany grzech w tył głowy.

– Wiem. Zdradziłem starą wiarę dla nowej. Potem nową dla starej. Ale ja nigdy nic i nikogo nie chciałem zdradzić. Zdrada i wierność, tchórzostwo i cnota, miłość i nienawiść – to jeszcze nic szczególnego nie rozwiązuje.

"Pójdźmy wszyscy do stajenki,
Do Jezusa i Panienki..."

Akordeonista gra dla nas. Stoi w drzwiach, przybiera żywe czarnymi palcami po klawiaturze i wpatruje się w nas uporczywym, jakby trochę obłędnym wzrokiem.

– Pani K., to były resztki naszej organizacji, tej samej, co

to pana kiedyś hodowałam. Zadekretowali wyrok, a ja miałem wykonać. Może dlatego, że byłem najmłodszy. Pan wie, panie Ks, że jestem od pana młodszy o trzy lata? W tamtym czasie trzy lata znaczyło całą epokę. Pana śmierć miała stać się przestrogą i szkłem dla chwiejnych, dla takich, co starą Polskę zmieniali na nową Polskę.

Śnieżyca zalepia okno. Już nic nie widać. Drzemiemy w wielkiej ciepłej zaspie. Stary człowiek młodszy ode mnie o trzy długie lata mruga powiekami, żeby rozetrzeć mętne łzy.

– Tak – odzywam się ukołysany kolędą – przypominam sobie, że na początku czterdziestego piątego ja również wykonywałem wyrok zabijając zdrajcę. Albo miałem wykonać, lecz przeszkodziły okoliczności. A może wykonaliśmy zbiorowe. Kiedyś pamiętałem to dobrze, chyba mnie nawet dręczyło sumienie, później się zatarło i teraz przypominam sobie i nie mogę przypomnieć. Jakbym przypominał swoje grzechy lub cudze, jakbym przypominał ogólny grzech ludzkości.

– Chodziłem za panem trzy tygodnie. Miał pan wtedy jakiś romansik?

– Ale skąd? W ogóle nigdy nie miewałem romansików.

– Pan skryty. Po co się wypierać? Nie, to nie skrytość, to obłuda.

– W naszych stronach wszyscy byli trochę obłudni. Pan też.

– Ja? – Kajran wzdycha teczącą kulkę chleba po stole. – Ja nie miałem czasu na obłudę. Duszek nauczył mnie szczerości, prawda Duszek?

– Polak, jak przyjdzie wieczór, to zaraz wspomina.

– Jeszcze daleko do wieczora. Więc chodziłem za panem wszędzie. Pod redakcję, na basen "Legii", do knajpy naconej, na zebranie, pod sklepy spożywcze, na randki, choć pan się wypierał. Więc chodziłem stale za panem z parabellum i z wyrokiem napisanym na zeszytowej kartce. Dziesięć tysięcy razy mogłem do pana strzelić, ale jakoś nie strzeliłem. Ciągle na coś czekałem i do dziś nie wiem, na co czekałem. A potem mnie capnęli i siedziałem sześć lat. Bo za mną też chodzili rozpracowując resztki organizacji, organizacji mojej i pana. Można powiedzieć: chodziliśmy wszyscy gęsiego.

Patrzę na jego pospolitą twarz, na podgardle źle wygolone, na lekko przetłuszczony kołnierzyk swetarka polo, jaki nosząc tylko prowincjonalni aktywiści.

– Kajran, przecież ty kłamiesz. Zachciało ci się zapatrzeć na-

siada w kolejce sklepowej, czy nie szkoda twojej fatygi?

– Moja fatyga darmowa! Moja fatyga już nic nie kosztuje! Gdzieście wtedy, wyjeżdżając na zawsze z Wilna, ukryli swoją broń?

– Nie pamiętam! Tyle lat minęło!

– Ty dobrze pamiętasz! W Puszczy Rudnickiej, na Powstańczej Górce! Prawda?

– Kajran, ja handlowałem całą wojnę słoniną!

– Uch, jaki fałszywy! Z waszego grobu było to parabellum! Może ty je kiedyś nosiłeś? Prawda, Duszek?

Olbrzym w ubraniu z lat pięćdziesiątych, w ubraniu, które lada dzień stanie się modne, więc ten olbrzym niemodny o krok od modności spluwa suchymi ustami w stronę telewizora.

– Dajcie mi spokój! Ja się odciąłem! I koniec!

"W żłobie leży, któż pobieży
Kolędować małemu?"

Gospodarz jak krab wwierca się do pokoju niosąc lampę naftową, choć do nocy jeszcze daleko. Ile za oknem ściana bawełnianego śniegu! Biały kurhan przywalił Paryż północy.

– Po co ta lampa, dziadku? – pyta Kajran.

– Żeby poświecić, bo prądu nie ma!

– Jak to nie ma? A telewizor chodzi!

Gospodarz zamiera na swoich kulach jak przymarznięty ptak.

– Rzeczywiście chodzi, pan jego mać, choć prądu nie ma! To ci nachalny mechanizm!

Wzywa zgorszonych muzykantów. Inwalidzi z orkiestry patrzą na migocący obraz pani i pana, ucinających się po rosyjsku, potem stukają palcami w ekran, zaglądają przez szpary do wnętrza aparatu, wreszcie bezradni odchodzą do pulpitów z nutami. Gospodarz także godzi się z tym jawnym wybrykiem techniki.

– Jak przyjdzie pora to zgaśnie – powiada niezadowolony z zamieszania Kajran. – Widzisz, gdybym ciebie wtedy zabił, to by cię teraz nie było!

– Gdybyś mnie wtedy zabił, to by mnie teraz nie było – powtarzam zdumiony. – Nie byłoby całej góry incydentów, pauz nudy, niepokoju, zmartwień nie do zniesienia, smyłek, wstydu, niziutkich lewitacji, marnych nadziei i stałej męki, żeby zrozumieć, ogarnąć, przeniknąć i zaznać odpoczynku. Wiesz, ja już jestem tak blisko, że dotykam nosem, ale jeszcze nie widzę.

– Dopraszasz się litości?

– Nie, tak sobie gwarzę.

Prawa noga zasnęła pod stołem. Zaczynam ją zginać i wyprostowywać budząc ją do życia. W palcach słyszę drobne ukłucia, jakbym chodził po mchu, albo po dzikich ziołach, które zawsze nazywałem czombrikiem, choć w słownikach nowią je cząbrem.

– Ty jesteś kolosalny cwaniak. Obserwuję cię od lat. A ty tak – i wykonuje wężowy ruch prawą dłonią obsypaną wątrobianymi piegami. Jego wcześnie wzięło. Mnie też wcześnie bierze.

– Tak, trochę jestem chytry. Ale nic mi z tego nie przyszło. Moja chytrość jak dym idzie prosto do nieba. Nikogo nie oświeca, nikogo nie ociepla, nikomu nie oddaje energii.

– Uch, tylko w mordę bić.

– Kajran, ty jesteś niegrzeczny. Po co tu mamy mczyć się ze sobą. Ja idę, cześć.

– Siedź. I słuchaj, co ludzie mówią. Duszek, opowiedz, jak mnie poznałeś.

– Nie mam ochoty. Jedna lornetka ci wystarcza, żeby obrażać ludzi.

– Straciłem odporność. A kto ze mnie wystukał odporność?

– Tylko bez aluzji.

– Przecież jestem twoją pokutą. Chodzisz ze mną jak z różańcem. Tyle paciorków, co kręgów w moim szkielecie.

Ktoś wali pięścią w drzwi wejściowe. Milknie orkiestra, tylko balałajka zbita z grupu rzępoli jeszcze chwilę. Gospodarz zmaga się z kimś u progu. A za oknem Arktyka, głucha, nieprzenikniona biel.

Pojawia się ten facet cały w dżinsach opędzając się przed sobą kaleką.

– Szukam i szukam panów, a tu widzę szkiełka, zasłona domowa i pogwarka starych rzadków – uśmiecha się grzecznie przybyły.

– Uwaga, to nauczyciel – ostrzega ochrapliwie Duszek.

Kajran unosi stopkę, ale w środku już pusto. Wyssał do ostatniej kropli.

– Coś chciał powiedzieć?

– Towar przywieźli do sklepu.

– No to ładnie, że pamiętałeś o starszych. A ty, Duszek, zawsze jesteś nieufny. Ruszamy, panowie.

Sięgam do kieszeni spodni, gdzie ukryty spoczywa zaskórniak, lecz Kajran unosi ostrzegawczo dłoń.

– Spokojnie! Ja płacę!

– Mnie wypada okazać wdzięczność!

– Przyjdzie pora, to okażesz!

Rozlicza się ze starym, klepie po plecach, aż pobrzękują metalowe kule! Orkiestra także szykuje się do wyjścia! Harmonista z astmatycznym jękiem zamyka ogromny akordeon!

– Nie powiem: do jutra – rzecze Kejran – bo mnie jutro już tu nie będzie! Ale życzę wysokich obrotów!

– Bóg zapłać – powiada gospodarz! – Ja przy nich nie zginę – wskazuje kościstą dłonią podłogę skrywającą restaurację pierwszej kategorii!

Zatrzymałeś się nagle w pośpiesznym, gorączkowym locie! Wisiałeś jak skowronek nad tym zielonym krater em, który wypełniało bezładne rumowisko miasta! Czortowgorodu, czyli Czarciego Grodu, jak je nazwał car Mikołaj I w młodości, kiedy służył tu w którymś pułku lejbgwardii!

A pora była – mówiąc językiem poetów – wielce osobliwa! Za twoimi plecami słońce szorowało już czerwonym brzuchem o.kant horyzontu, słońce ogromne, wzdęte, słońce z końca świata, takie słońce, które za sto lat ukochają jarmarczni artyści, co będą za pieniądze bałamucić ludzi ruchomymi obrazami! Ty wisiałeś nad zielonym, skędzierzawionym krater em, który trzymał w ciasnym uścisku kilkanaście kościołów, kilkanaście murowanych pałaców i kilkaset drewnianych, woniejących mchem oraz żywicą, przekrzywionych, zapadniętych, zrezygnowanych domostw jak usypiające ptaki! A z tego miasta, z tego Rzymu północy podnosił się szaroniebieski opar, ni to mgła, ni to wyziewy, błędy i nieszczęścia! A w tej mgle, w tym oddechu śmierci, błąkały się głosy dzwonów kościelnych i stąpał między nimi ospały i złowróżbny głos dzwonu cerkiewnego!

Patrzyłeś na to miasto ogłuszony gorączką tęsknoty, lęku, złowieszczego przeczucia! Patrzyłeś, jak ja bym patrzył teraz, w tej godzinie, u końca drogi, na brzegu moczarów nieukończonej, moczarów zwanych u Nas rejstami!

Ale ciebie grzała młodość, ciebie popędzała nadzieja, ciebie rozwydrzała wiara, którą przechowałeś w ponurych celach petersburskiej Szkoły Inżynierów Wojskowych, na kursach wojennych Mierosławskiego w Genui, w głodnej i chłodnej tułaczce przez Bałkany!

Potem zbiegłeś leśnym zboczem, do którego przylgnęła pierwsza chłodna warstwa nocy. Wszedłeś w labirynt uliczek, gdzie nie wyschło jeszcze wiosenne błoto. Po smaku, w gęstwie zmierzchu pachnącego chrabąszczami, szukałeś swego domu w gorącym wszedołem kuchennego okna.

Ukradkiem, niczym szpicel, wszedłeś do wielkiej sieni i słuchałeś konwulsyjnego rytmu własnego pulsu i słuchałeś zaduchu pleśni, umarłych woni pieczonego chleba, gasnących oterów usychających owoców. Stałeś przed drzwiami swego mieszkania, wyblakły refleks domowego światła ułożył się na twojej piersi w pętlach czamarki.

Wtedy otworzyły się raptownie drzwi i w chybotliwym, czerwonym świetle kaganka zobaczyłeś Rozalkę zastygłą w półkroku.

- Jezus Maria, zgiń, przepadnij mara nocna! - krzyknęła histerycznie, zatrzaskując drzwi.

- Później usłyszałeś nierówne, ciężkie stąpanie matki, która szeptała po drodze:

- Nie bój się umarłych! Oni przychodzą prosić o pacierz. Chodź, popatrz widzisz, że nikogo w sieni nie ma.

Zajęczały stare drzwi. Matka stała w progu osłaniając dłonią płomyk oliwnej lampki. Patrzyła na ciebie bez strachu poszarzałymi oczami.

- To Zygmuś? - spytała żegnając się a potem żegnając twoje widmo.

- To ja, mamo.

- Wszelki duch Pana Boga chwali!

- To ja, mamo. Wróciłem do was na zawsze.

I objęłeś ją ciepłą jak w dzieciństwie, ciepłą jak w pamięci a ona zaczęła cicho płakać.

- Mamo, dlaczego jesteś w żałobie?

- Bo ty umarłeś synku. Ciebie już nie ma między żywymi.

Zapłakało dziecko na rękach Albertyny. Jęła je kołysać monotonnym ruchem. Rozalka stała pod piecem z dzikimi wytrzeszczonymi oczami. A tobie zachciało się raptem śmiać, śmiać się wesoło i niefrasobliwie jak kiedyś, jak dawno temu, jak w zapomnianym już dzieciństwie.

- Mamo, ja wróciłem. Wróciłem do powstania - powiedziałeś szeptem.

Wtedy one zbliżyły się z powolną ostrożnością do ciebie, jeszcze dotykać obłędnymi palcami twojej twarzy, włosów, szorstkiego

sukna ozasmarzy. Dziecko na rękach Albertyny zagadało beztrosko przez łzy. I ja tak wracałem jak ty w owej chwili i ja tak wracam teraz w jesiennych nocach albo w gorączce coraz częstszych chorób zimowych.

Ja również pamiętam tę kuchnię z ogromnym piecem bielonym, w którym można upiec dziesięć bochenków chleba albo ugotować strawę dla tłumu głodnych. Pamiętam ten stary kredens, co rozdzielał kuchnię na dwie połowy i pamiętam to wyrko za kredensem, na którym ty, a może także ja, na którym my obaj śniliśmy o niezwykłym naszym życiu, o naszym olśniewającym losie, o naszym wyjątkowym przeznaczeniu.

Później siadłeś do stołu, a one, czarne niewolnice, znosiły przysmaki chowane na szczególną okazję, która zazwyczaj nigdy się nie zdarza.

– Matko, siostrzyczki, widziałem wieczne śniegi i nieustające lata, przeszedłem tysiące kilometrów i przeżyłem tysiące złych dni, zaznałem przyjaźni oraz nienawiści, już wiem do końca życia co dobre a co złe. Mamo, teraz my rozpoczynamy wielkie powstanie.

– Cśś, cicho, dziecinka – szepnęła matka zasłaniając szczelniej okno, za którym mógł stać miłosierny, cierpliwy szpieg.

I rozparłeś się za stołem jak stary żołnierz i opowiadałeś o wielkim świecie, o wielkiem wszechświecie Europy, która podnosi pięść przeciwko Moskwie.

– Słyszałeś, Zygmo, dzwony przed wieczorem? – spytała Albertyna. – Biły, braciszku, na Anioł Pański za twoją duszę.

– Przecież ja żyję, siostrzyczki. Przyszedłem z ziemi włoskiej do polskiej.

Wtedy ulicą obok kościoła świętej Katarzyny przeleciała kibitka. Słuchaliście okrutnego skowytu brzegunów, który zaciohał między domami i nie mógł długo zacichnąć.

– Cśś, cicho, dziecinka – jeszcze raz szepnęła matka, a ty dopiero teraz spostrzegłeś jej białozielonkawe włosy i oczy, w których już była daleka dal.

Rozalka podsunęła do światła strzęp starej gazety.

– Spójrz, Zygmo, tu wydrukowali twoje imię i nazwisko. Że zginąłeś pod Grochowiskami w partii generała Langiewicza. Dziś odbyły się msze święte w kościołach za twoją duszę. Całe miasto modli się o wieczny odpoczynek.

– To Moskale chcieliby nas wszystkich pochować.

– Cśś, ciche, ktoś chodzi w sieni!

– Jutro, pojutrze, za tydzień powstanie cała Litwa!

Wtedy odezwały się kotły i trąby gdzieś w dole, nad brzegiem Wilii! Przerażający, obcy zgiełk wojskowego ospatrzynku budził i ostrzegał usypiające miasto.

Ukradkiem wpadł ktoś z przyjaciół z patriotyczną nowiną, jakaś sąsiadka zajrzała prosząc o drobną pożyczkę i tak rósł konspiracyjny krąg twoich admiratorów, którzy w tę niespokojną noc wiosenną podziwiali dwudziestotrzyletniego heroina, wyznawcę wolności!

A potem przyszła chwila rozstania, rozejścia się na krótką chwilę śmiertelnego niebezpieczeństwa albo może na wieczne zawsze! Wszyscy zgromadzeni płakali i ty płakałeś, matka żegnała cię starym krucyfiksem przywiezionym do miasta z rodzinnych Bałwaniszek, ty pomyślałeś sobie zapewne, że tak musiał kiedyś Byron po śmierć i po sławę, ale nie wiedziałeś, że wiele jeszcze pokoleń dwudziestoletnich w ten sposób będzie żegnać swój dom rodzinny i że ja także grudniowej nocy z tym samym postanowieniem pójdę nieznanymi drogami polnymi, pójdę osiemdziesiąt lat po tobie spełnić swój dwuznaczny i nigdy nie dokończony los!

Więc wyszedłeś z domu i nikt cię nie odprowadzał w obawie przed szpiegami! Obejrzałeś się raz i drugi, żeby pożegnać ten dom stary i pokraczny, dom na pewno podobny do mego, dom sierocy, dom cudzy, co na zawsze zostanie w pamięci jak gniazdo!

Na ulicach było pusto, z rzadka pokazywał się przechodzień z latarką, widać upoważniony do nocnego ruchu! W gęstym jak dym mroku przemknęła półsotnia Kozaków kleszczących skórzanymi pochwami szaszek o kościste boki kwiatków! Za niewidocznym zakrętem ostro gwizdnął przeraźliwie na palcach i półsotnia przeszła w cwał! W niektórych oknach pokazywały się ukradkiem ciemne głowy kobiet! Miasto udawało sen oczekując w napięciu na znak! Na pierwszy znak wolności!

Potem skręciłeś w ulicę Subocz, niziutką, biedną, z wiecznym błotem po kolana! Minąłeś barokowe widmo kościoła Misjonarzy i uliczka stała się raptem wiejską drogą, przy której strzelały skamieniałe w niespokojnym oczekiwaniu stare drzewa!

Droga rozwidliła się przy krzyżu i poszedłeś tak jak ja zawsze chodziłem i poszedłeś lewą odnogą, co opuszczała się nad brzeg Wilenki! A wtedy pokazał się wielki księżyc w cieniu

mi rysów dobrodusznej fizjonomii albo może brzegami lądów i oceanów, księżyc - próg nieba. A księżyc w tamtych czasach świecił rzęsiście, świecił jak powinien świecić księżyc, bo wówczas nie zatarły się jeszcze granice i lata różniły się od zimy, płeć od płci, życie od śmierci.

W Markucinach, starodawnej wiosce, która i za mojej pamięci była starodawnym siołem, obszczekały się psy, ciepła fala powietrza przyniosła zapach machorki, skrzypnął gdzieś źle zamocowany żuraw studzienny, i łobuzerskie nasyp kolejowy, nasyp jeszcze nie ulewały, jasny niczym skóra ludzka, skąpo porosły trawami jak włosiem. I odezwało się dudnienie od Fuszkarni, jakby się tam rodziło coś nadprzyrodzonego, rósł huk wypełniony łoskotem i nadpłynął w jeziorze pary rzygający iskrami oraz ogniem wielki kadłub pociągu jak złowrogi okręt. To pociąg petersburski wiózł nienawistnych ludzi i złe nowiny.

- Jeszcze Polska nie zginęła! - krzyknąłeś raptem w głąb pustej doliny, która potem była moim szczęśliwym wszechświatem. Ten krzyk zszepił się z łoskotem żeliwnych kół wagonów i potoczył się w stronę miasta, niezapomnianego Czartawgorodu.

Zbiegłeś stromymi łąkami ku rzece, która tymczasem odeszła ku wzgórzom rozległym, gdzie rosły stare dęby pamiętające jeszcze litewską dynastię Giedyminitów. A było jasno jak w pochmurny, mglisty dzień jesienny. I zdało ci się, że widzisz stare wiedźmy zgarbione pod workami, co szukają tajemnych ziół w rosistych trawach.

Za drewnianym mostkiem spinającym płaszczyzny brzegi Wilenki garbił się na zboczu folwark Tupaciszki. Ledwie wszedłeś w cień ogromnych topoli, usłyszałeś suchy terkot grzechotki strożnej.

- Wizu ciebie, wiże ciebie! - ktoś zawołał starczym głosem.
- Kogo Bóg prowadzi?

- Do pana dziedzica! Do pana Józefa Sulistrowskiego - odpowiedziałeś machinalnie w tym samym rytmie.

Wylazł skądś dziad z okopconą latarką i z dębowym kijem. Przyjrzał się twojej czamarze, jucht owym butom i już o nic nie pytając poprowadził do dworu niewiele większego od chłopskiej chaty. Bielone ściany fosforyzowały trupim światłem księżyca. Okna zasłonięto drewnianymi okiennicami, w których widniały czarne niewielkie otwory strzelnicze jak w dawnych warowniach krzesowych.

Stróż zaszedł dwór od tyłu, stukał kijem w węgieł, wołał coś śpiesznie płaczliwym głosem. Wreszcie sypnęło skąpe czerwonawą poświatą ze szpar okiennicznych, zadźwięczały gościnnie żelazne sztaby i na ganek wyszedł ze świecą wysoki nieznajomy. Otulił się burką przed mocnym mokrym chłodem.

- Kto tu? Kto mnie szuka?

- Jestem Zygmunt Mincyko. Mam polecenie do wielmożnego pana.

- Ach to pan, czekamy od dawna. Proszę zachodzić.

W starym salonie z obwisłym sufitem, w chybotliwym blasku świecy zobaczyłeś meble spowite pokrowcami ze zgrzebnego płótna. Parę gazet francuskich leżało niedbale na wielkim stole.

- Potrzebuję noża - wyjaśnił - Wnet się panu zarekomenduję.

- Wandziu, podaj nóż - krzyknął wysoki, zuchowaty blondyn w ciemność sieni.

- Który nóż, Józiu? - zapytał wysoki, melodyjny głos niewieści.

- Byle jaki, złotko, ale ostry.

Weszła dziewczyna w czepcu, który zasłaniał głowę. Ale wiedziałeś, że jest z rasy tych smagłych ciemnowłosych dziewcząt krasnych, których nigdzie indziej na świecie spotkać nie można.

- Wandzia, pozwól, oto pan Mincyko, oficer ze szkoły wojewódzkiej w Grodnie.

A ty ukłoniłeś się, dodając:

- I z dywizji generała Langiewicza.

Rozcięłaś w czasie gruby szew, wyjęłaś troskliwie zwitek cienkiego papieru. Ona skrzyżowała ciemne ręce na piersiach, przyglądała ci się wielkimi oczami, co na pewno mieniły się barwami nocy, albo wrzosu, bo takie oczy miały te dziewczyny, w których żyłach pulsowała krew Leobitów i Litwinów, Karaimów i Tatarów.

Sulistrowski przysunął świecę, czytał długo papier, a w końcu wetknął jego rożek w płomień. Rekomendacja zwijała się z powrotem w zwęglony rulonik.

- Niechże się pokłonię, panie Zygmuncie - podszedł i objął braterska. - Głodny jesteś, pragniesz wywczasu?

- Nie, dziękuję. Chciałbym już w tej chwili objąć służbę.

- To mi się podoba. Wandziu, nie stójże bezczynnie. Przynieś naszej ambrozji i jadła.

Ona wybiegła w milczeniu z salonu, a pan Józef obracał się w niedźwiedzich łapach.

- A dobrze, a wspaniale, podkręcony łebie Moskala. Litwa to

kurwan suchego chrustu, kilka iskier i wybuchnie pożar.

Weszła Wandzia z sirą flaszką i mięsiwem zwiniętym ręcznikiem. Szykowała zakąskę zerkając ciekawie ku tobie. A by nie spuszczałeś z niej wzroku i jakiś bezsensowny żal po raz pierwszy - jak mawiano wtedy - ścisnął cię za serce.

Sulistrowski coś pewnie spostrzegł, bo rzekł jakby z wesołą pogróżką:

- Zaleczam ostrożność, panie Zygmuncie. To młoda żonka, a i szynki jeszcze z naszego wesela.

Wtedy odezwał się gdzieś za ścianą daleki strzał karabinowy. Płomień świecy wahnął się jak od niedostrzegalnego podmuchu. Nadstawiłeś ucha ścięnięty raptowną grozą, a Sulistrowski rzekł ciche, ruszając w stronę drzwi bokówki:

- Wojna. Tak, to już wojna. Zaraz wygotuję panu nominację. Wandziu, baw pana Zygmunta, ale baw jak młodej mężatce przystoi.

Stróż znowu grzechotał za oknem. Śpiewał godzinki, albo może gadał do rozbudzonych psów. Blask świecy kołysał się na szczerniałych od kopcia ścianach.

- A pan również żonaty? - spytała Wanda nie podnosząc oczu. - Ciężko zostawić samą w domu.

- Nie było czasu. Nigdzie miejsca nie zagrzałem długo. Żołnierski los. Może po wojnie, w wolnej ojczyźnie.

- A jaka tu będzie ojczyzna? Różnie ludzie mówią. Może pan wie lepiej?

- Będzie inna. Sprawiedliwa, szlachetna, rozumna. Będzie przykładem dla całej Europy. Powstanie z krwi najlepszych synów.

- Daj Bóg - szepnęła Wanda, a ty spostrzegłeś z raptowną paniką, że pod cienkim płótnem jej kaftanika swobodnie harcują sobie dorodne, wielkie piersi, kiedy ona rozstawia kieliszki i sączy im weselną ambrozję.

- Da Bóg, bo Bóg jest z nami - stęknęła cichutko, żeby nie płoszyć młodej kobiety. Wydało ci się, że czujesz jej zapach, zapach anu, ziela lubczyku, gwałtownej miłości.

W drzwiach pokazał się Sulistrowski:

- Panie Zygmuncie, a jakie przyjmiesz miano w powstaniu? Myślałeś już o tym?

- Tak. Niech będzie Maciej Borowy, ponieważ z borów wywodzi się moja familia.

Sulistrowski zniknął w bokówce, Wanda krzątała się ciągle

jeszcze wokół stołu, choć wszystko już stało gotowe. A ta Wanda była niezwykle podobna do Jaskółki, naszej łączniczki, aresztowanej w 1944 roku, która zaginęła bez wieści, zaginęła bez wieści nim poznała miłość cielesną i ból macierzyństwa, radość z wolności i upokorzenie z niewoli.

Wrócił Sulistrowski, stanął w środku salonu i uroczyście obwieścił podając oficerowi pergamin:

– Oto twoja nominacja na wojskowego naczelnika powiatu oszmiańskiego z woli Wydziału Litewskiego Rządu Narodowego, panie pułkowniku Borowy.

I uśmiechał się znowu i pocałował w usta.

– Nie ukochanie zawiodę. Albo wolność, albo śmierć.

– Albo wolność, albo śmierć – powtórzył Sulistrowski. – Wandziu, każ Konstantemu zaprząc do bryczki, do tej z budą.

– Chcecie jechać po nocy? – spytała zdejmując sennym ruchem szpilce, który się przekrzywił na amelistych włosach.

– Po nocy najlepiej – rzekł zuchowato. – Spóźniony jestem. Gotowi bez mnie wypędzić Moskali.

Potrząsnęła głową i włosy rozsypały się na ramionach. Wyszła cicho do sieni. Usłyszeliśmy wtedy jękliwe brzęczenie komara, który błądził na granicy blasku i cienia.

– Cóż pułkowniku, wypijemy za pomyślność naszej wojennej sprawy.

A potem przyszła chwila pożegnania. Stanęliśmy w sieni, Sulistrowski już ubrany do podróży, Wanda drżąca od nocnego chłodu.

– Niech Pan Bóg ma pana w swojej opiece – szepnęła.

Poczułem szybki zapach mięty i zdumiewające ciepło jej ust. W tym momencie przytuliła się do ciebie jakby w obrzędowym geście. Tobie zrobiło się raptem gorąco, gorąco i jakby żal czegoś nieznanego. Po już drugi raz tej nocy ogarnął cię dziwny żal, jakiego dotychczas nie znałeś.

– Pierwszą w życiu całuję niewiastę – szepnąłeś nie wiadomo komu.

Ona odsunęła się leniwie.

– Znajdziesz swoje po wojnie.

– Jeśli wrócę z wojny.

– Wrócisz, wiem na pewno. Miałam dobry sen, zanim stróż zapukał.

– Zatem do widzenia, pani Wando.

– Do szybkiego zobaczenia, młody pułkowniku.

Zasna bryczka osłonięta budą, wygodna jak powozik, kolebała się żywo na wybojach szczmiańskiego traktu. Księżyc stał prawie w zenicie oświetlając sąsiednie pola i lasy zniekształcone, ucichłe. Konie szły stępa, czasem podrywały się do krótkiego kłusa, gdy wyjechaliście na szczyt piaszczystego wzgórza. Konstanty budził je lejcami, kiedy zbierało się im na drzemkę w ciasnych wąwozach puszczańskich. To była noc lunatyków i prądawnych upiorów, co z takiej pory wyłażą z rejstów.

- Panie Józefie - obudziłeś się raptem.

Sulistrowski oknął się gwałtownie, wkładając rękę pod ławkę bryczki, gdzie miał zapewne coś ukrytego.

- Co, co, patrol widzisz Konstanty?

- Nie widzę patrolu, ale widzę, że koni słabną - mruknął starosta.

- Boh Konstanty, tobie zawsze koni szkoda. Dla kogo ty je oszczędzasz?

- A dla nikogo - chrypnął suchwale starosta. - Skaziny żal. Ludzi głupieje, a żywieła męczy się.

- Panie Józefie - powtórzyłeś - słucham tej nocy dziwnej, wykam to nasze powietrze i jakaś taka moc we mnie wstępuje. Będzie Polska, panie Józefie.

- Na początek otrzymasz czterystu ochotników. Przyjdą za dzień, dwa na umówiony punkt. Po tygodniu będziesz miał w dwójnasób. Cała młodzież kryje się po starych folwarczkach, po zaściankach, po lasach. Wszyscy czekają na znak.

- Chwała Bogu, panie Józefie. Jak obejrzę się wstecz, jak popatrzę, ile kilometrów trzeba było przebyć, ile chłodu, głodu i chorób znieść, ile ludzkiej pomocy wyżebrać, wtedy myślę, że warta to była takiej chwili.

- Ruszaj lejcami, Konstanty. A jak to wyszło z generałem Langiewiczem? Różnie ludzie bają i nikt prawdy dojść nie może. Powiedzcie mi w zaufaniu, panie Zygmuncie?

Ty milczałeś długą chwilę.

- Po wygraniu dwóch bitew pod Chrobrzem i Grochowiskami z niepojętych przyczyn przeszedł austriacki kordon i złożył broń.

- Czy tak u nas zawsze być musi? Żołnierz walczy krwawo, a wodzowie oddają zwycięstwa.

- Teraz wodzów będziemy mieli młodych, innej szkoły dowódców. Jak poczujemy w garści broń, nikt jej nam nie wydrze.

– Tak nam dopomóż Bóg – szepnął Sulistrowski.

A ty wetknąłeś dłoń na piersi i pomacałeś tam papier, który się stanił dyktatorem rodzinnego powiatu. Księżyc nie wiadomo kiedy zaszedł i zrobiło się ciemno choć oko wykol. Konie zwolniły kroku. Szły z głowami nisko opuszczonymi nad koleiną drogi i prychały raz po raz. Ale w tejże samej chwili zaszedł przed wami jaśniej niewidoczny dotychczas horyzont.

– Ach Polska, Polska, wyśniona, wymodlona, wycierpiana – westchnąłeś – już się prawie widać, jak wychodzisz z mgieł, z mroku nocy, z empirzarza narodów.

Odezwały się psy pod zielenialym horyzontem. Konstanty wstrzymał konie.

– Oszmiana. Pojedziem mimo, czy na wskroś?

– Jedź przez miasteczko. Będzie szybciej.

Bryczka wtoczyła się między kurne chaty przedmieścia. Konie, jakby czując niebezpieczeństwo, przestały prychać, stąpały cicho po piaszczystym garbie między koleinami.

– Poznajesz? – szepnął Sulistrowski.

– Nie a nie. W nocy wszystko podobne do siebie.

Odprowadzani ujadaniem rozbudzonych psów przetoczyliśmy się wśród czarnych wrogich domów. I nagle konie z ulgą pognały w klus. Zaśpiewał skwapliwiej piasek skrzypiący się z obręczy kół.

– Rzekłe mają nocny sen – rzekł ni to z podziwem ni to z kpiną wesołszy odrobinę otangrot.

– Niech się wyśpią. Przed nimi daleka droga do domu – odezwałeś się skrzepiony nagłą radością.

– Bierz, Konstanty, na wskroś tym i nie żałuj koni. W smolarni będzie czekać sztafeta. Dowiemy się, jakie jest położenie naszego przekowika.

Zaszeły się lasy, zaszeła się pustka, ze szła szeroko na południe zlewając się za Niemnem z Puszczą Białowieską. A tobie się zdało, że wjeżdżasz w swoje odwieczne królestwo, którego jesteś surowym i sprawiedliwym władcą.

– Zgłodniałeś, panie Zygmuncie? – spytał Sulistrowski.

– Nie. Wcale nie mam apetytu. Do żołnierzy, do moich żołnierzy tylko mi śpieszno.

– No nie. Zjemy w smolarni. Konie trochę odpoczną.

Wstawał dzień. Z brzegów budy kapały rzadkie, czerwone krople. W gąszczu leśnym odezwały się ptaki. Resztka nocnych cie-

ków odpłynęła za horyzont na dzienny spoczynek.

- Będziesz rewelucję robił, jak was uczył Garibaldi? - odezwał się znowu Sulistrowski.

- Ja jestem żołnierzem. Najpierw trzeba uwolnić kraj - rzekła ostrożnie.

Sulistrowski przyjrzał ci się spod oka, ale nic nie powiedział.

Potem, już za dnia, zjechaliście z szerokiej drogi i zagłębiliście się w stary las, ponury, zatłoczony paprociami ponad wzrost dorosłego mężczyzny. Tu i ptaki umilkły. Góre tylko, w mrocznych koronach drzew, dyszał ustawicznie gorący wiatr. Bryczka brzęczała rzęsiście żelastwem podskakując na prastarych, wielkich jak kłody korzeniach odwiecznych świerków. Wreszcie pokazała się niedaleka i zapomniana już chyba polana. Zobaczyliście kurną chatkę bez okien i osmolony kopiec do wypalania węgli.

- Prrr - Konstanty zatrzymał bryczkę, zeskoczył z kozła i jął wtykać dłonie pod podsiedziałki, badając, czy konie nie odparzone. Mruczał do siebie w niezrozumiałym języku.

Wtedy zza chaty wyszedł stary chłop w brudnej koszuli do kolan i z grabiami w ręku, jakby wracał od siana. Ukłonił się nisko barania wyrudziałą czapką.

- Niech będzie pochwalony, czy nie do Bałwanowek pan dzisiaj jedzie na fest?

Sulistrowski uścisnął mu rękę poufale i wskazał siebie:

- Otóż to jest wasz naczelnik powiatowy, pułkownik Maciej Borowy.

A stary przyglądał ci się pilnie, mrugał wyblakłymi oczami, wreszcie pokazał w uśmiechu zinawe dziąsła z jednym czarnym zębem i raptem padł na kolana, chcąc się podjąć za nogi.

- Panieczku kochaniutki, a my tu się modliny za ciebie już całą oktawę. To ty żyjesz, biedny?

Uniąłeś go pod pachy, unieszłeś wysoko nieciężkie ciało i uczułeś w poryte policzki wonisjące tabaką.

- Widzę, że sztafeta jest ci znajoma, panie Zygmuncie? - zdziwił się Sulistrowski.

- A jakże, na rękach swoich nosiłem pana pułkownika - chwalił się stary. - Bronomowałem w świętej pamięci ojca pana pułkownika.

- To dobry znak, to więcej niż dobry znak - rzekł Sulistrowski wyjmując kosz z jedzeniem.

Siedliście na czarnym pniaku. Stary Jan rozrywał uważnie wło-

kniastą pieczeń patrząc uporczywie na ścianę lasu. Skądś zjawiły się wróble, które pamiętały jeszcze ludzką obecność w tym pustkowiu.

– Wypijmy za rychłe zwycięstwo! spytał Sulistrowski wręczając podróżne puchareczki. Stary ostrożnie odstawił swój kielich na żywiczany pieniek.

– Czemu milczysz, panie Janie – zaczął Sulistrowski. – Wypij co rychlej i mów, kiedy przyjdzie nasze wojsko.

Stary przełknął z wysiłkiem oporny kęs.

– Na razie nie ma wojska – powiedział patrząc ciągle w las.

– Jak to nie ma wojska? – Sulistrowski zerwał się na równe nogi. – A gdzie obiecanych na początek czterystu ochotników?

– Byli, panie, ale się rozeszli. Bo to siana trzeba kosić, szczęk dojrzewa, dużo roboty, panie, w polu. No to i poszli.

– Nie może być! – krzyczał Sulistrowski blady ze złości. Kto ich śmiał rozpuścić?

– Ochota najpierw była wielka. O, panie, dużo ludzi przyszło. Co broni przynieśli! A jak się rwali na Kozaków. Nie można powiedzieć. Ale czekali, czekali, żaden naczelnik nie przyjeżdżał, to i rozeszli się do domów.

– Nikt nie został, nie poczekał, jak się rozwinie sytuacja? – spytałeś z zasuszonego gardła.

Stary przeniósł wzrok na ciebie, patrzył chwilę, a w tym patrzeniu jakoś miękł powoli.

– A został jeden oddział. Poczekał. Jutro przyjdzie na umówione miejsce.

– Dużo ludzi? – spytałeś słysząc własny szept.

– Ja nie liczył. Będzie ze dwadzieścia – trzydzieści młodzieńców.

– Panie Józefie, słyszy pan?

Sulistrowski pakował już śpiesznie swój koszyk.

– Szkoda czasu, panie Janie, Raszaj ze sztafetą. Niech wszyscy przytomni chwytają broń i jutro o świcie stawią się na Królewskiej Górce, wiesz, panie Janie, koło tych rozstajów przed Rosochliszkami.

– Wiem, wiem – mruczał stary szukając swoich grabi. Potem namyślał się przez chwilę, wreszcie rzekł unosząc bawełnianą czapę.

– A mnie się widzi, że teraz to ruszą wszyscy. Jak tylko się dowiedzą, że wychowanie szkoły generalskiej zostało naczelnikiem,

to pójdą do powstania, dlaczego mieliby nie pójść - przekonywał sam siebie. - Mnowe przyjdą o świcie.

Ty pomyślałeś sobie w owej chwili, że tam starzec pocieszał siebie i Sulistrowskiego, choć sam nie wierzy w swoją pociechę.

- Konstanty, zakładaj konie! - krzyczał pan Józef. - A to hanowety, a to psiakrwie, taka ich kobyła mać. Słomiany ogień, polski słomiany ogień. Zachciało się im do domów. Powojowali już dostatecznie. Daj ty im dobrą szkołę, panie pułkowniku, dobrą generalską szkołę, żeby Garibaldi śnił im się po nocach.

- Zajeździ konia - mruczał Konstanty. - I koni nie będzie i tej ich Polski nie będzie.

Jan zniknął. Rozglądaliście się po karczowiska, ale wszędzie było cicho i spokojnie, żadna trawa nie drgnęła, wróble także znikły rozkradłszy resztę okruchów.

- Panie Józefie, czy może to być? - spytałeś zesłabłym głosem.

- Jedźmy, szkoda czasu. Wiesz, jaki z nas naród. Zbiegli się z ochotą i z ochotą poszli do domów. Teraz znowu przyjdą. Na razie może nie czterystu, może trzystu, może najmarniej dwustu, ale będziesz miał swoją partię, podniesiesz z kolan cały sławny powiat szamiański i uderzysz na Moskala. Konstanty, dosyć tej nitrygi.

Wskoczyliście do obkładzonej bryczki. Sulistrowski spuścił niecierpliwie bacę, jakby odkrywał przyłbicę, oparł na kolanie, bo Konstanty na koźle spatyczniał, rozglądał się za biczem.

- Sam początek był już taki - powiedziałeś cicho.

- O czym mówisz, pułkowniku?

- Przypomniałem sobie Grochowiska. Nie wyzyskanego zwycięstwa smutne następstwa.

- A weźmy głowę opuszczać. Widać nie trafiały się nieporozumienia w tak krótkim życiu.

- O, panie Józefie, dużo było, aż nad miarę. Ale parłem w stronę Litwy, wdzierałem się przez tylu miesięcy jak na góry skrzydlate. Wszystko temu poświęciłem, wszystko, co może młody człowiek poświęcić.

- I dobrze, pułkowniku, ojczyzna ci tego nie zapomni.

Konstanty obejrzał się i rzekł jakby w piasek miedzianej kolanie drogi:

- Każdy rząd taki sam. Przeciętnemu człowiekowi wszystko równo.

- Przecież ty jesteś Polak, Konstanty. Nie czujesz w sobie

polskiej drozy?

Stangret zasiął biczem przydrożną rozochatą papro.

- Ja człowiek tutejszy.

I przeżegnał się znienacka.

W południe dojechali do umówionych rozstajów, gdzie dziwnym trafem stały trzy stare topole zrzepione ze sobą dziwacznymi pniami. Konstanty natychmiast zawiesił koniom u pysków worki z obrokiem. Zeskoczyliście na grudy, oczyszczony mech, który zabliźniał żłobe rozjeżdżoną drogę. W pokrym cieniu bory odezwała się kukułka. Mimo woli liczyliście jej niespieszne, pełne zastanowienia kukania.

- Byłbym zapomniał - westchnął Sulistrowski, wracając do bryczki. Wymacał coś pod siedzeniem, jakieś zawiniątko ze zgrzebnego płótna. Rozwinął je ostrożnie i w obu dłoniach niczym paczątunek podał ci nowy, błyskający czernią rewolwer bębenkowy. - To masz ode mnie. Niech ci dobrze służy.

Wsadziłeś broń za pokę szarawarki. Śliski chłód przylgnął do koszulki. Sulistrowski zasiorał dłonie uśmiechając się niepewnie.

- Głowa do góry, pułkowniku. Jutro będziesz miał partię. Będziesz wodzem.

- Daj Bóg.

- No mówię ci, że wszystko się złoży. Będzie Polska, panie Zygmuncie - i objął cię i uściskał jakby zawsze, jakby trawiony niejasnymi wyrzutami sumienia.

Potem wsiadł śpiesznie do bryczki, a Konstanty z nagłą ochotą zasiął zmęczone konie. Powozik zawrócił skrzypiąc rozsypniętym drzewem i jął toczyć się z powrotem w stronę Ossmiany, w stronę Ozartowgorodu, w stronę dawnego życia, co na zawsze już zostało za tobą. Sulistrowski ani razu nie obejrzał się, choć musiało go, żeby przynajmniej spojrzeć ukradkiem za siebie w to miejsce, gdzie stałeś z opuszczonymi rękami pod trójpiennym drzewem szczęśliwym podziękiem pamięci.

A przed tobą tak jak i przede mną póź wiecz później, była już tylko niewiadoma, tajemnicza, majestatyczna przyszłość. Był twój los niezgadniony i była galopada ojczyzny. Było gorączkowe, duszne spodziewanie się, było podniecenie, atrakcja przeczucia. Miałeś dwadzieścia trzy lata. Byłeś starszy ode mnie o pięć lat i młodszy o osiemdziesiąt.

Wszedłeś w klin lasu obramiony rozstajnymi drogami. Położy-

żeś się na wydmie borówkowego gąszczu. Patrzyłeś w niebo między szarymi konarami świerków, niebo już swoje własne, litewskie, a tak podobne do obcego petersburskiego i niewidzianego włoskiego.

Pragnę przypomnieć sobie, o czym ja myślałem w podobnej chwili. Chcę odtworzyć tam nastrój i te samopoczucie i owe rojenia z ówczesnej pory młodości, może nie tyle ówczesnej, co raczej bielgiezneji, pelsajesej, rzadkiej, lekkiej, nie obarczonej ciężarem doświadczeń, nie zatrutej rozczarowaniami, nie znarkotyzowanej zniszczeniem, młodości, co przeszła gwałtownie jak wiosenna burza.

O czym myśleliśmy na tym niewidzialnym progu czasu? O sobie? O Polsce? Ja już niewiele pamiętam i nie umiem przywołać z markiej albo raczej zastygłej na wieki przeszłości tych ognisk niepojętego samozachwytu i pokory, zuchwałości i lęku, chciwej nadziei i lekkomyślnej niepewności. Nie umiem także przypomnieć sobie swej Polski, którą nosiliśmy w sobie jak przejmujący ból pierwszego skurczu naszych wisceralnych. Polski bezcielesnej, Polski - hipnotyzującego widma.

A tu dookoła stał dzień puszczański. To znaczy nie stał, lecz bardzo powoli, prawie niezauważalnie mijał, szedł bezszelestnie dwuznacznymi lasami na zachód ciągnąc za sobą mokrą brzemię nocy. Ale jeszcze pełne były światła, zgęstniałego, przesyconego żywicą. I słyszałeś ruch leniwy puszczy pomiędzy długimi pasmami strasznej, bezdennej ciszy. Kołatał gdzieś dzięcioł, jęczał bąk zwikłany w plątaninie kwiatów, skradał się borsuk, galopował danial z umiejscowionym bardzo żbem, trzeszczały drzewa rozłupane przez jesienny mróz, niecierpliwił się leciutki wiatr zbłąkany w prastarych dębach.

Żułeś chleb upieczony z żyta zmielonego w żarnach. Ssałeś słodkie płatki ziarna wyjęte z młodej kobiecie, która pokazała ci się na brzegu minionej nocy. Przypomniałeś sobie każdy jej gest poszczególny, każde skinienie głowy, każdy uśmiech niedopowiedziany, każdy ruch piersi pod batystem koszuli. I z tych drobnych ognisk kobiecej krwi chciałeś złożyć obraz kobiecego ciała, nagiego ciała, ciała nieznanego jeszcze twoim i moim oczom, nieznanego twoim i moim dłoniom.

I usłyszałeś w sobie jakieś poruszenie. Coś pulsowało, coś się, niepokoiło, coś obrzmiewało gorącem. Grzeszne pożądania siadły okrakiem ziejąc duszącym zaduchem wczesnych ziół i przekwitających mchów. Uszczypiony oczami szarpanych obłoków kochałeś

zajadle, może po raz ostatni, nieznaną kobietę, niespotkaną dziewczynę, niestniejącą kochankę.

Potem przyszła noc. Noc młodego wodza przed wielką, niewiadomą bitwą. Zaciskawszy dłoń na rękojeści pistoletu chodziłeś tam i z powrotem śród nieruchych drzew. W górze był wielki ruch milionów gwiazd. Pozdrawiała cię twoja ojczysta Droga Mleczna a ty myślałeś, że patrzy na ciebie wszechświat niewidzącymi oczami Boga.

Wreszcie przed brzaskiem dobiegł twoich uszu daleki tarkot wozu i jakby odgłos ostrożnych stąpań ludzkich. Odbezpieczyłeś pistolet, podszedłeś się do tych trzech topoli, co zamilkły schylone nad swoją tajemnicą.

Wkrótce zamajaczyły końskie łby świecące fosforyzującymi ślepiami.

- Stój, kto idzie?

- Swój - odpowiedziano - Orzeł biały powstał.

- Z Pogonią i Archanielem na wieki - wyrzekłeś zachrypłe słowo.

Podszedł wysoki mężczyzna z dubeltówką przewieszoną przez plecy.

- Mokrys jestem. Przyprowadziłem dwudziestu ośmiu ochotników.

- A inni?

- Inni nadejdą za dzień, za dwa.

- Inni nadejdą później - powtórzyłeś.

Jeden z ochotników, znający puszczę, zaprowadził was na niedaleką polanę, wielką łąkę przeciętą mroczną rzeczką. Rozłożyliście się obozem w cieniu ogromnych dębów, co strzegły na skraju łanu wysokich dzikich traw. Już pierwsi ochotnicy zrzucili ubrania i skoczyli do ciemnego nurtu nieznanej rzeczki. Odezwał się basowy głos rozbijanej nogami wody. Wesołe wrzaski młodych ludzi odbiły się echem w niebieskawej dalach nieruchomej puszczy.

- Mości pułkowniku - rzekł Mokrys. - Oto szabelka z nalszym żołdem, który wypłacisz w odpowiedniej chwili. A ta nasz szablę zacną, bo widzę, że ci się przyda.

Ucałowałeś rękojeść wyświęconą od dłoni pokoleń żołnierskich. Przypasałeś szablę do pasa, który spinał powstańczą szarfę.

- Nie omieszkam połączyć się z twoją partią, pułkowniku - dodał Mokrys. - Za tydzień, za dwa spodziewaj się nas w oddziałach.

- Więc pan odchodzisz?

- Sprawy organizacyjne zatrzymują na razie. Ale już niedługo. Stawię się, żeby spełnić swoją powinność.

Stado żurawi siadało w makradłach po drugiej stronie rzeki.

- Masz własny oddział - powiedziałeś sam do siebie.

- Tak, masz już swoje wojsko. Możesz zaczynać w imię boże - rzekł cicho Mokrys.

I on, podobnie jak Salistrowski, objął się po braterska, ucałował w oba policzki, a ty pomyślałeś sobie z nagłym lękiem, że chyba już za dużo tych ceremonii, że zbytnio się przedłuża rytuał wypowiadania wojny.

- Na mnie już czas - odezwał się znowu Mokrys patrząc w niebo, na którym nic nie było. - Bywaj zdrów, pułkowniku Borowy, i do rychłego zobaczenia.

Wkroczył na linijkę obsiągniętą popękanym jachtem, ruszył szparko między krzaki leszczyny, gdzie została droga, trakt wiodący w głąb paszczeńskiego kraju. A ty beznamiętnie potrząsnąłeś nowiutką, pięknie przez kogoś wyszytą sakiewką, w której zabrzęczały ruble zbierane przez nieznanych ludzi na Polskę, na zmartwychwstanie ojczyzny.

Potem zarządziłeś zbiórkę. Zgromadziłeś swoje wojsko obrane pstrokato, uzbrojone jak do polowania. I nie było między nimi kosynierów, chłopów uzbrojonych w kosy sposobne do kłusia w walce wręcz.

- Obiecywano chłopów z kosami - rzekłeś z wyrzutem.

Ale nierówny dwuszereg milczał. Więc przeszedłeś wzdłuż frontu instruując oddziałek. Jedna twarz wydała ci się znajoma.

- Jak się nazywasz, żołnierzu?

Ciemnooki młody człowiek wahał się przez moment, a następnie szepnął prawie konfidencjonalnie:

- Chaim Karnowski.

- Jesteś Izraelitą?

- Nie, Polakiem wyznania mojżeszowego.

Był bez broni. W obu dłoniach ściskał mocny, dębowy kij srogo okuty.

- Ja też poznałem pana pułkownika - dodał po chwili.

- A skąd mnie pamiętasz?

- Biliśmy się pod rogatką, jak pan pułkownik uczesał gimnazjalistę.

- Staraj się, to mianuję cię podoficerem.

Później jałeś uczyć musztry tych dwudziestu [illegible] nowicju-

szy, mordowałeś ich zajadle przez rztery godziny, aż wreszcie metna już było rozróżnić tych pojętniejszych, spośród nich do wojennego rzemiesła, których mianujesz oficerami przyszłych kompanii i batalionów.

Rozstawiłeś pikiety wokół obozowiska przepełnionego śpiewem słowików, bo tego roku i słowiki odczuwały jakiś niepokój, ich trele słyszało się nie tylko podczas krótkiej nocy ale i za dnia, w upalne samo południe. Reszta młodzieńców zbudowała sprawnie piec polowy, już pieczone w nim smakowity chleb z mąki przywiezionej w taborze.

Zapach świeżego chleba, odwieczna woń spokojności domowej, unosił się nad łąką polany, zaintrygowane dzikie ptaki unosiły głowy znad bagien, przymykały bielmem powieki połyskliwe oczy, i wyglądało, jakby rozkoszowały się gorącym swądem mokrego jeszcze piecu.

A ty rozsiadłeś się pod dębami, zaczęłeś szkicować plany zamaskowań bagnetów do lat szlacheckich dubeltówek. Bo kiedy zabrakło koni, trzeba było wymyślić zastępczą broń sieczną, która powstrzymałaby ataki Moskali. I czułeś się wtedy dwudziestotrzyletnim ojcem tej gromadki rówieśników, tak jak ja czułem się ojcem pięćdziesięcioletnich chłopów białoruskich. I ja przeżywałem te emocje wodzowskie, te uniesienia dominacji, te radości inicjującego się czynu.

Słońce zmierzało już ku zachodniej ścianie puszczy. Ci spośród nich, co mieli zostać oficerami, samorzutnie wzorowili naszą młodzieży. Słuchałeś w przejmującym zadziwieniu tych polskich komend, a las stał milczący, jakby z niedowierzaniem przyglądając się narodzinom czegoś zapomnianego, przeklętego, zabronionego na zawsze.

Wtedy nadbiegł patrol prowadząc dziada w lnianej koszuli i lnianych gatkach, z pustawym brudnym workiem i sękatym kostrzem. Dziad był bez wieku. Pod splątanymi kudłami, które szczelnie opadały na czoło, na połóżkłe wąsy i nigdy nie strzyżoną brodę, pod tym zarostem kryć się mógł równie mężczyzna trzydziestoletni jak i sędziwy starzec koło pięćdziesiątki. Patrzył z beznamiętnym spokojem wybladłymi oczami niezmiernie na energiczne poczynania konwoju.

– Szpiega złapaliśmy, panie pułkowniku – meldował wyrostek w starej zimowej bekieszy.

– Obchodził kołem nasz obóz.

– Podpatrywał przez chrapniak – oskarżali inni.

Dziad pocierał brudną, bosą stopą łydkę drugiej nogi i milczał, krnąbrnie.

– Przeprowadziliście rewizję?

– Tak jest, panie pułkownika. Ale okrom starego chleba w worku nic nie ma. Nawet szkaplerza.

Zmierzyliście się wzrokiem. On patrzył na ciebie jakby z tamtego świata. I powściągliwa jego ciekawość była nieziemska.

– Kto ty jesteś? – zapytałeś w końcu.

– Człowiek.

– Ale jak cię zowią?

– A na co mnie imię? czy ja majętność posiadam, czy ludźmi rządzę, czy dążenia jakoweś przejawiam? Na co mnie, prostemu, miano? Nawet przezwiska Bóg poskąpił.

– Czego tu szukasz?

– Wody z rzeczki chciałem się napić. Woda tu jak lekarstwo, baczcie, jak mieni się w słońcu. Ta woda żywiołę i ludzi uzdrawia.

– Obrotny jesteś w mowie.

Dziad wzruszył ramionami i to był pierwszy gest w jego nieruchawości, ale gest niedziadowski, gest odrobinę salonowy.

– Różnych ludzi spotykam w drodze, a z każdym człowiekiem słowo boże mus wymienić.

Ten mlekos w bakiszy wysunął się gniewnie do przodu.

– On brnący, panie pułkownika. Moskale wszędzie szpiegów porozsyłali. Teraz więcej szpiegów jak ludzi. Dla nich gałąź dębowa i wszystko.

Dziad przeniósł na niego swoje nieżywe oczy.

– A kto wam dał prawo ludzi zabijać?

– My jesteśmy powstańcy – rzekłeś wtedy.

– Lewiatan rozpostarł skrzydła ze szponami dzikimi i skrył całą ziemię. Ty, naczelnika, przyszedłeś tu z daleka i wrócisz do dalekich krajów, gdzie słońce nigdy nie zachodzi. Ziemskie wasze sprawy to pył, proch, marność.

– Za jałmużną chodzisz, człowieczę?

– To mój mus. Całe życie chodzę i do śmierci chodzić będę.

– A jeśli oddam cię pod sąd? Ty wiesz, że cały kraj podnosi się przeciwko Moskwie?

– Gosudarstwa podnoszą się i upadają. Człowiek jest na pode-

dziństwo Pana Boga? Człowiek to ptaszka wolna.

Powstańcy patrzyli na siebie z niecierpliwym napięciem oczekując wyroku. Dziad wydobył spieczoną skórkę od chleba i zaczął ją żuć beztrosko. Patrzył ciekawie na słońce, które roztapiało się już w czerwieni u zachodniego skraju nieba.

- Nie znaleźliśmy przy tobie dowodów na to, że jesteś szpiegiem. Ale ponieważ mógłbyś nas mimo woli zdradzić, gdybyśmy się pośpieszyli, wolno, zatem rozkazuję ci zostać w naszym obozie aż do momentu, kiedy stąd odejdziemy. Zrozumiałeś?

- Mogę zostać, dlaczego nie? Pośpieję, do zimy daleko, do śmierci nie blisko.

Związał swój worek i odszedł w stronę rzeczki. Siadł nieopodal pieca, jął się kiwać odmawiając, zapewne pacierze.

- To starowier, panie pułkowniku - rzekł cicho chłopak w beciszy.

- Prędzej jakiś opętany - powątpiewał dowódca pikiety uzbrojony w angielski sztucer.

- Kto by nie był, idzie swoją drogą. Ale żeby nie kusić losu, miejcie go na oku.

Potem przyszła noc. Dziad śpiewał albo jęczał aż do brzasku. Nikt nie potrafił go uciszyć. Potem wrócił dziad. Żołnierze ćwiczyli musztrę, lecz teraz już z mniejszym zapałem. Następnej nocy dziad znowu śpiewał, a śpiew dziwny jakby coś zwiastował niedobrego, jakby zapowiadał nieszczęście. Ten i ów trącił go kolbą dubeltówki, albo przejechał harapem po grzbiecie. Ale nic to nie pomagało. Dziad ekwiwalał niestrudzenie w tym samym miejscu nad rzeczką, obok pieca, w którym nikt już nie piekł chleba, bo skończyła się mąka.

Karnowski zbliżył się do cichia i stanął z szacunkiem obok pękniętego pnia dębowego. Powstańcy drzemali w krzakach. Nikomu się już nie chciało musztrować.

- On nosi na sobie nieszczęście - szepnął Karnowski odwracając głowę.

- Nie mogę go uwolnić. Co nam sądzone, to i będzie.

- Co sądzone, to i będzie - zgodził się Karnowski.

Milczeliście chwilę obserwując krzątaninę barwnych motyli, które nawiedzały przejrzewającą już kwiaty.

- Co byś zrobił, Karnowski, na moim miejscu? - zapytał nieoczekiwanie.

– Mnie nikt nie wyznaczyłby na pana miejsce.

– Całe swoje życie postawiłem na tę jedną kartę. Przecież niepodobna rozpoczynać wojny z dwudziestu kilku rekrutami.

– Może nadejdą jeszcze posiłki, panie pułkowniku.

– Ale może nie nadejdą, jeśli dotąd nie nadeszły.

– Ja nie mam gdzie wracać. Uciekłem z ghetta.

– I ja nie mam gdzie wracać. I nie chcę wracać.

– Lepiej umrzeć.

– Umierać trzeba w walce. Wiesz co, Karnowski, rozpuszczę oddział, przeczekamy jakiś czas na folwarczkach, aż zorganizuje się prawdziwa partia, taka partia, jaką obiecywano, co najmniej czterystu ludzi, uzbrojonych i wyćwiczonych ludzi. Wtedy rozbudzimy powiat oszmiański, cały kraj aż do Niemna.

Karnowski milczał wbijając w ziemię końcem kija zesztywniałe żołędzie. Młodzież rekruska podniosła się z trawy, bo pod niebem płynęły na północ białe flotylle dzikich łabędzi.

– Nie ma innej rady – szepnął. – Jutro zarządzę rozsypkę.

Karnowski obtrząsał koszulę z resztek torfu i poszedł bez słowa nad bezimienną rzeczkę, w której już nikomu nie chciało się kąpać.

Z nieruchomych dołów pszczoły wyciskała chłodna noc. Rozlewiska rzeczki zapaliły się czerwono od zachodniej łuny. Jakiś ptak skrzeczał monotonnie po drugiej stronie wody. Ale nad wszystkim górował chór żabich. Ich czyste, silne głosy odzywały się z różnych stron i ja już wiem, że nie była to gędźba miłosna, lecz oświadczyny swoich rewirów, mieszkalnych. A ty słuchałeś ich śpiewu jak romantycznej muzyki, co przypomina niespełnienie, co budzi żal za życiem, którego już nie będzie.

Głodni powstańcy żuli zajęczy szczaw, spluwając gęstą zieloną śliną. Podszedłeś do nich, chciałeś zagadać, rozproszyć zły nastrój, ale jakoś zakrakła ci słów i nic nie powiedziałeś. Dziad leżał na wznak z rękami podłożonymi pod głowę. Patrzył na wodę, w której była zaglasta czerwień wieczoru i głębsza czerń bliskiej nocy.

– Jutro ciebie wyprowadzę – rzekłeś cicho. – Jutro będziesz wolny.

– Ja jestem wolny. Wolny jak zwierz leśny.

– Twoja wolność jest bezrozumna. Prawdziwą wolność my damy ludziom i tobie damy.

– Wolny może być pojedynczy człowiek, nigdy zbiorowość, stado, tłum. Wolność to boski dar.

– A skąd ty pochodzisz?

– Znikąd.

– Kto cię rodził, człowieczze?

– Już zapomniałem. Ja jestem tutejszy. Z tych lasów, rozstajnych dróg, zaścianków.

– Musiałem ciebie spotkać w swoim życiu. Pamiętam dobrze twój głos, twoje spojrzenie.

– Może spotkałeś podobnych ludzi, zawsze tacy błądzili po ziemi i będą pielgrzymować do końca świata.

– A nie wstyd ci?

– Kogo mam się wstydzić?

– Nas. Popatrz, tych młodych ludzi, którzy jutro mogą nie żyć.

– Czego ty chcesz? – warknął raptem po białorusku. – Idzi k czortu.

I znowu był durnym, nawiedzonym dziadem. Zaczął śpiewać swoje godzinki, albo skowyczeć do księżyca, bo anemiczny sierp wyciął się przed niedawną chwilą z kudłatego grzbietu puszczy.

Chłopak w bekieszy znalazł gdzieś świętojańskiego robaczka. Ukrył go w stulonych dłoniach i przez szparę w palcach obserwował jego zielonawą poświatę.

– Jak ci na imię? – spytałeś.

On zerwał się służbiście na nogi. Robaczek wpadł między zroszone trawy.

– Ildefons, panie pułkowniku. Ildek.

– Pójdź, Ildek, i sprawdź pikiety. Żeby mi nikt nie zadrzemał.

Chłopiec w bekieszy odszukał swego robaczka. Jak z zielonym płomykiem na dłoniach ruszył ostrożnie w przepastną, wiosenną noc.

Wróciłeś do swojej kwatery pod starymi dębami. Nie wiedziałeś wtedy jeszcze, że tę Królewską Górę będą kiedyś nazywać Powstańczą Górą i tak ją oznaczą na sztabowych mapach, którymi się posłużą partyzanci – gimnazjaliści podczas największej wojny światowej. A słowiki nawoływały się coraz donośniej i mogło się zdawać, że skądś z bardzo daleka podpływa tu na świetlistej chłodzie gorący zapach maciejki, zapach spokojnego polskiego domu.

I ogarnął cię raptem dziwny strach, strach, jakiego dotąd nie znałeś. Strach przed klęską, przed pechem, przed niepowodzeniem. Strach przed sprzysiężeniem złych mocy. Strach przed szyderstwem losu. Strach przed własną słabością. Chciałeś zerwać się z mokrej ziemi i uciekać, gdzie oczy poniosą. Biec na przełaj przez odwie-

ezną paszczę dokąd? Do czego? Do kogo?

Ale wtedy właśnie zatrzeszczał chrust. Ktoś nadchodził z głębi wąwozu, $ zła wielu zmęczonych mężczyzn.

- Panie pułkowniku, przyszli. Nasi przyszli - dyszał zdemoralizowany Ildek, chłopiec w wieku lat.

Od ogniska, które rozpalone tej nocy obok martwego pieca, skoczyło kilku powstańców ze smolnymi łuczywami. Oświetlili przybyłych, którym przewodził niski, krępy mężczyzna w rosyjskim żołnierzu wojskowym odartym ze szlif. Kiedy zniknął w geście powitania czapkę myśliwską, pokazała się wielka, łysa i mocno spocona głowa.

- Major Nawałkiewicz, do rozkazu - rzekł schrypłym głosem. - Kto tu naczelnik?

Podniosłeś się wolno z ziemi, po której pełzał w głąb lasu postny kosmyk mgły rzecznej.

- Jestem pułkownik Borowy. Proszę pana majora o okazanie papierów rekomendacyjnych.

Dowódca przybyłych wydobył zza pazuchy miast dokumentów manierkę obciągniętą wojłokiem. Pociągnął łyk, wytarł szyjkę i zaproponował:

- Spróbuj, gałuszczyk, mojej okowity. Drugiej takiej nie znajdziesz w całej guberni.

- My tu nie pijemy, panie majorze. Chciałbym jednak zobaczyć pańskie papiery.

- Papiery - roześmiał się zaflegmionym głosem. - Widzicie, nałady, on prosi o papiery.

Jego kompania odpowiedziała nieprzyjemnym rechotem.

- Głowy swoje przynieśliśmy tobie, synek, to ważniejsze od papierów. Jak zające kluczyliśmy trzy dni po polach i lasach, żeby do was trafić.

- Spodziewam się, że zachował pan należną ostrożność.

- A zachowałem. Nie podpuściłem kozaków bliżej jak na wiorstę, prawda, rebiata?

- To znaczy, że był pan obserwowany przez Moskali?

On zbliżył się do ciebie w obłoku gorzelnianego smrodu. Przysunął grube wargi do twego ucha i zaszeptał chrypliwie:

- W mieście więcej szubrawców jak ludzi. Murawiew zbudował drugie miasto z wieszadeł. Na każdym krzyżu wiszą Polaki jak kabany. A ty o papiery prosisz. Nikt mnie, gałuszczyk, papierów nie dawał. Miało być ochotników ludzi, a ledwo dziesięciu doczekałem się na koniec. Wielki strach powiódł po narodzie.

Muraview-Wieszatiel przysiągł carowi, że wszystkich Lachów powiesi. Ot, jak nasze sprawy stoją.

Wydało ci się, że ogromne dęby walą się kolejno na twoją głowę. Znaczywa parskając czerwonymi iskrami gasły ze śpiewnym skwierczeniem. Ludzie majora stali milczące i twoi także milczeli. Wszyscy czekali na słowa pułkownika. A ty, młody wódz, który wędrowałeś tysiące kilometrów do ojczyzny, przemogłeś w sobie straszne zniechęcanie, wielką słabość, okropny duszny kryzys.

- Tak, Moskale wiedzą już o naszej obecności. W takiej sytuacji trzeba się wycofać. Tak, jutro wycofamy się w głąb puszczy. Nie warto czekać. Pora wydać walkę. Tak, dziękuję, majorze.

On chciał cię objąć i uściskać, ale potknął się na korzeniu, uchwycił cię za pętlę rozpiętej szamary.

- Mnie możesz być pewny. Ja znam fach wojenny. Trzy lata walczyłem na Kaukazie z Czeczeńcami. Samego Szamila miałem prawie w ręku. Wielki książe giecrgiewski krzyż przypiął. Ja już ciebie polubił, synek.

- Oni walczyli o swoją wolność - rzekłeś ze zgrozą.

- Kto?

- Czeczeńcy. Jakmy, powstali przeciwko niewoli.

- To znaczy się ja niegadiaj? - zasmucił się major.

- Może teraz oni, Czeczeńcy, w moskiewskich wetach idą naszym śladem?

- To znaczy się, ja jednak prawidłowe ich kłał sztykami?

- Panie majorze, niech pan każe swoim ludziom rozłożyć się biwakiem.

- A masz, synek, trochi gorzałki-pociesziatielki?

- Nie, my nie pijemy.

- I zasnąć tak na czczo umiecie?

Odeszli w stronę ogniska, wymieszali się z twoimi ludźmi. Podniósł się gwar ożywionych rozmów. Coraz częściej słyszałeś z nabożną trwogą wymawiane złowrogie nazwisko "Muraview". Nad polaną przelatywały bezszelestnie zygzakami wielkie nietoperze.

Nagle z ciemności wyłonił się ponownie major Nawałkiewicz. Krok miał chwiejny, łypał niepewnie szerzyniałym okiem, ciężko wzdychając.

- Ty nie bój się, pułkowniku. Mowa moja skaszpiona, ale ja swój, tutejszy. Mnie wzięli w sołdaty Moskale, wiesz, tego roku, ty nie pamiętasz, a możesz słyszałeś, tego sztyrdziestego ósmego. Ja wtedy, hehe, ludzi zapytał. Nu, potem dwanaście lat służby,

cieszkiej służby. I Czeczeńców ja bił i Turków i Czerkiesów. Ale ty mówisz, że Czeczeńców to niedobrze? Może znajdziesz jednak czas-czuć skowyty? Takie myśli mnie latają po głowie przed nocą. Dumasz, że będzie Polska, a?

Milczałeś, więc przestąpił z nogi na nogę, wysiąkał nos eleganckę w dwa palce i ruszył ociężale w stronę ognia, z którego spały się ku czarnemu niebu strugi płochliwych iskier.

Potem drzemałeś do świtu i jawa plątała ci się ze snem. Widziałeś rzeczywiste patrole kozackie, realne zaprzęgi artyleryjskie i prawie namacalnie sylwetki pułkowników, co zamierzali się na ciebie bagnetem. I śniłeś ogniska, konnych powstańców zmagających się w krwawym blasku płomieni i śniłeś polanę wypełnioną nadrzecznymi mgłami.

Kiedy wreszcie słońce w asyście ciemnych chmur, z nową nadzieją odmówiliście wspólnie modlitwę i zarządziłeś wymarsz. Zalane rzeczną wodą resztki ognisk, odprawione niepotrzebne furmanki, uformowano na gościńcu kolumnę marszową. Ten młodzieniec z angielskim sztucerem wydobył z trzaków sztandar oddziału, sztandar twojej partii. Mianowałeś więc go chorążym, a do asysty zgłosił się zaraz Ildek w bekieszy ze swoim krzyżem albo sąsiadem. A na jego bekieszy, za ciepłej na te wiosenne dni, na zbyt wąskie barki, na tej prowizorycznej, pierwszej bekieszy, widać było jeszcze resztki zastrygi, ostatnie ślady troskliwych rąk matczynych. Ja przecież także wyruszałem gruźliczą nocą w podobnej porze uszytej domowym sposobem, porze - kuflance, porze - kirze żałobnym, porze - kłaku pakuł z rodzinnego gniazda.

A rzeski wiatr podchwycił tę chorągiew i rozpostarł ją nad głowami żołnierzy, amarantową płachtę z białym znakiem Orła i Pogoni. I ruszyliście na południe, mijając pośrodku drogi opuszczonego dziadka. Brodaty włościanin pokrzyż na czoło długą chwilę, a potem uniósł dłoń, czyniąc znak krzyża świętego.

Słyszałeś za sobą tupot wielu nóg, niegłośne rozmowy spadła na ciebie z chmurniejącego nieba. Zaintonowałeś pieśń śpiewaną przez kolegów szkoły oficerskiej w Genui:

Róże, nasze róże!
Długo jeszcze, długo światu
Szumieć będą śnieżne burze.
Sadźmy je przyszłym latom!

Coraz więcej silnych głosów przyłączało się do chóru. Spodobała się im od razu ta pieśń, a może niektórzy śpiewali ją

zkradkiem w dona pędzeza niezkończonych, dłużzych wieczorów jezienny ch.

My, odbisi z niw rodzinnych,
Może ich nie ujrzym kwiatu,
A więc zaśpiewy je dla innych,
Szczęśliwszemu zadźmy światu!

W górze, pod ciemniejącym niebem, kołowała ogromna atada kawek. Rzadkie krople deszczu zakropotały w klonowych liściach i zaraz ucichły.

Jakże las nasz piękny, rozległy!
Gdzie idziemy - cała głogi,
Gdzie idemy przeszli - róża wzrosły,
Więc nie zchodźmy z naszej drogi!

Po kilku godzinach marszu straż przednia zameldowała ei, że przed wami wieszczka przeszczańska i że nie ma możności obejścia tych kilkunastu kamych chat. Zatrzymał ed oddział na brzegu gościńca. Słabsi legli od razu na suchych szeszkoszczych liściach. Zaradniejsi już szperali w trawach szukając zajęczego szczawiu.

Wyjąłeś zakiewkę od Makryna i rozdzieliłeś żołd między powstańców.

- Możeście kupić jadła w wiosce - powiedziałeś. - Pan major będzie odpowiadać za porządek. Na zbiórkę dam znak rogiem myśliwskim.

- A ty co, pieszkom nas do Warszawy powiedziesz? - rzekł kwaśno Nawałkiewicz. Wierzchem żeni ścierał zbity pot z czoła. Widać było, że nie smakuje mu taki forsowny marsz.

- Moskale boją się lasów. Im głębiej wejdziemy w puszczę, tym bezpieczniejsi będziemy.

- Oni pójdą za nami do samego końca. Ja ich znam. Ja ich umiem ciągle czuję w powietrzu.

Bezładną kupą ruszyli do wsi. Tyrostałeś na skraju lasu. Gęsty deszcz leciały ci po grzbiecie i widziałeś już, że to początek ataku fabry, które przyniosłeś ze sobą z Turcji. Znów spadły ciężkie jak grad krople deszczu. Niebo odgrodziło się zasłoną czarnych chmur. Ale kawki znów wczepiły się nad nierównymi koronami drzew. Gwarzyły nieustannie ze sobą, zakreślając szerokie kręgi ponad zgniszczem puszczy przeświecającym nierówną blizną gościńca.

Od wsi leciała galopem żydowska furka. Powoził sam major, który w przypływie energii zgubił gdzieś czapkę. Za kałamasz-

ką biegli podniecenia swoi żołnierze i jeszcze żarliwiej podniecony Żyd-handlarz.

Major osadził zaprzęg koło ciebie, zeskoczył z wozu.

- Przywiózł ja lekarstwa. Daj dziecko, pułkownik - rzekł triumfalnie.

Na furze leżała dziewczynka zalana łzami i krwawymi śliniami.

- Panie majorze, nie pora na bulanki. Jesteśmy w marszu.

Major podszedł i zajrzał do rany dziecka.

- Ja wiem, gałubczyk, co to zabra paludyjna. Ja był i na Kaukazie i na Bałkanach. Ja patrzył, synek, jak by dpisz. Mnie też trzęsło dzisiejszej nocy. Winko rodzynkowe nikomu nie zaszkodzi, a nam z tobą to i pomoże.

Zbliżył się także Żyd-handlarz wijąc pokłony do ziemi.

- Dopraszam się zapłaty, wielmożny panie majorowy. Mój koń jest do handel, a nie do galop. Cały towar rozebrali panowie powstańcy. Ja farfał mit di ganze familje.

Rzuciłeś mu jakiś wekę z resztą konia. Żydek ją w locie i nie sprawdzając zawartości wsunął skwapliwie za koszulę na piersiach.

- Ale trzymaj język za zębami. Nikomu nie mów, że nas spotkałeś.

- Same się rozumie. Daj Bóg zdrowie i radość dzieci wielmożnemu panu.

Skoczył żywo na pustą kałamaszkę, ciął krzuch konia biczyskiem od dołu, pomknął jeszcze lepszym galopem na północ, w stronę Oszmiany. Powstańcy tymczasem oszczupatrywali bryczkę, przejrzyste winko żydowskie już siekło lemingą strupa do kubków i manierek.

- Karnowski! Karnowski do mnie - zawołałeś.

Przybiegł służbiście ze swoim kijem - karwikaptarem. Gęsta, kędzierzawa czupryna była już mokra po tych pierwszych kroplach deszczu. Czarne zwitki włosów przesłaniały wesołe, uważne oczy.

- Jak myślisz, zdradzi nas ten handlarz?

- Nie można gwarantować. To ciemny człowiek. Zdradzi ze strachu albo z głupoty - słychać było odrazu przykrości w gardłowym głosie. Miał za złe, że jego właśnie wypytujesz o handlarza.

- To już stracisz znaczenie. Chi dziecka i bez tego - wstrząsnął tobą paroksyzm dreszczów, bo znowu wypełzł deszczem, tarabrzejszym i rzęsistym.

- Niech leje, zatrą się nasze ślady.

- Poczekaj, Karnowski. Już niedługo wiadomo się nasz los. My będziemy ścigać, a oni zaczną uciekać.

– Ja też tak uważam, panie pułkowniku.

– Więc idź teraz do tylnej straży i pilnie obserwuj las- niesz.

Beczka już była pusta. Jakiś osiłek uniósł ją nad głowę i opłukał w gęste kwaśki krasnyny. Major Nowakiewicz podał ci moskiewską manierkę, w której bulgotała kwarta rodzynkowego wina. Utoczyłeś do spieczonego gardła parę łyków słodkawego płynu i skrzywiłeś się raptownym obrzydzeniem.

– Źle poszło – zauważył major. – Przywykłeś, gałubczyk, do italiańskich, albo francuskich. A to jeszcze jakim trzeba się napić. Pij na rozum, dla zdrowia, bo rozrzedzisz ta żółcią ciebie jak nawóz.

Wzmagał się szept deszczu, co jesienną bezradnością okrywał jęczące rozbudzoną do życia puszczę. Kawki milkły i spadły gdzieś za wioseczkę w wysoką rzeź żyta albo jęczmienia.

– Panie majorze, czy można znać pewny, dla których przyłączył się pan do naszej partii?

Popatrzył na ciebie przeciągle spod szpakowatych brwi.

– Może to fantazja, a może pokuta za grzechy. Nie wszystko jedno?

Wtedy zobaczyliście biegnącego środkiem gościńca dowódcę tylnej straży, wysokiego zucha z dubeltówką i wielkim niemieckim pałaszem. Przypadł do was i łamiącym się ze wzruszenia głosem oznajmił zapominając o regulaminie:

– Moskale, pełno żołnierzy za nami.

– Jak blisko?

– Czy ja wiem, będzie wiorsta, albo półtorej.

– Idą w marszowej kolumnie?

– Nie uśpiałem zobaczyć dokumentnie. Oni pokazują się z lasu i chowają nazad.

Wyjąłeś zza pasa pistolet. Dokoła było tak cicho, że posłyszeliście jednostajny skrzyp żurawia, który pochylał się nad niewidoczną studnią na skraju wsi. Powstańcy zamarli w niepewnym oczekiwaniu.

– Trąbić zbiórkę. Odchodzimy.

Natychmiast odezwał się jękliwie róg myśliwski. Powstańcy z gorliwą skwapliwością ustawiali się w szyku za rozniecającym już gościńcu. Deszcz gęstniał, jakby śpiewacy z pompą trzepiący.

– Synek – odezwał się major. – Nie wiem, kto ciebie wojny uczył, ale po mojemu las nie stawiony na takie bieganie, co za

my trusy, albo marszki jakieśc Dawaj, staniem we wsi i huknie w Mołkali. Zobaczysz, jak spuszczą się od razu.

- Majorze - rzekłeś z pogróżką - pan jest oddany pod moje rozkazy. Proszę objąć komendę nad przednią strażą i natychmiast wymaszerować w kierunku na Roselizki.

- Nie nasze dzieło nasłam targować, jest' ad stawa prikazanyki - odpowiedział z białoruska przysłowiem Nawałkiewicz. Poprawił na łysej, szerokiej głowie dziwny kapelusz myśliwski i ruszył w stronę wsi wymijając pierwszą kolumnę.

Maszerowaliście krętym gościńcem zanglerą, jednostajną prawie godzinę. Deszcz przemoczył już was doszczętnie, ze zgarbionych ludzi parowało zmęczenie. Kiedy czoło kolumny zatrzymało się na moment przed jakąś przeszkodą i ustał tupot nóg, posłyszałeś dalecki śpiew żołnierzy, dziki, azjatycki jęk serkiewnego chóru. Ty także nie tak dawno śpiewałeś podobne pieśni w petersburskiej szkole wojennej pod nieważnym, rozbargainym wzrokiem sera obserwującego forsowne manewry.

Więc słuchałeś z bijącym sercem tego odległego pienia, które było ci jakoś bliskie a tak przecież nienawistne. I wtedy nagle ogarnął cię popłoch przed tą walką, która musi nastąpić, która nastąpi w ciągu najbliższych godzin, bo oni już was nigdy nie stracą z oczu, bo pójdą za wami choćby do samego szczytu. A ta walka zabrzmi rozdzierającym hukiem wystrzałów, zaniesie się zapachem prochu, zadławi raptowną żałwością śmierci. Ludzie ludzi pozbawią życia, dara nawary, albo dara niebios. I zdziwisz się raptem na krótką chwilę tą osobliwość ostatecznego starcia, walki, zabijania. I pomyślałeś sobie, jaki będzie dla ciebie dzień jutrzejszy, albo dzień za rok, albo dzień za trzydzieści lat. I czy w ogóle będzie, czy nie pochłonie się niezwykle zmyślony szyszak albo przeczuwana od zawsze kiesień, czarna próżnia niebytu.

Czoło kolumny ruszyło, ty także, idąc na koniec, postąpiłeś w głąb wielkiej, rozbełtanej kałuży. Ktoś szedł za tobą dysząc chrapliwie.

- Karnowski - rzekłeś nie odwracając się.

- Jestem.

Ile żołnierzy idzie za nami.

- Wygląda, że około setki.

- To możliwe. Jedna rota. Dwa razy tyle, za nas. Ty jesteś chory, Karnowski?

- Tak, cierpię na piersi na chorobę. Ale to nic, tak już jest

od wielu lat. Przyzwyczaiłem się.

– W nowym państwie polskim odpoczniesz sobie, Karnevski.

– Tak, odpoczniemy sobie, panie pułkowniku.

Nagle gęsiniec urwał się raptownie. Weszliśmy na wąską groblę rozpiętą ze starych przegniłych bali drewnianych. Była taka ciasna, że wypadało iść gąsiorem. Po obu stronach rozpościerały się odwieczne moczary, straszne, bezdenne, porośnięte chorą trawą, w której tkwiły umarłe pnie drzew. W trupiej bieli mgieł stały koprzaszone czaple jak gliniane figurki cmentarne. Pod nogami mlaskała i bełkotała chciwie czarna, gnija woda kąpielowa.

Teraz serce zaczęło mi bić prawdziwie niezym dzwon. Puls łomotał donośnie w skroniach. Uniosłem twarz do góry, żeby schwytać ustami garść jałowych kropel deszczu w zasechnięte gardło. Decydował się twój los młodego wojska. Decydował się los twojej wojny.

– Podaj dalej do czoła – rzekłem szeptem do idącego przed tobą. – Na końcu grobli zatrzymać się i czekać rozkazu.

Dróżka przez moczary nie miała kilometra. Wyszliśmy wreszcie na suchszy grunt, gdzie od nowa rozdził się gęsiniec pluszczańaki. Ten i ów runął bezwładnie w wodnisty mech.

– Majorze, poproszę do mnie! – zawołałem.

Przemoczony strach na wróble, major Nawałkiewicz we wrogim strachu, pojawił się przed tobą. Dubeltówkę nawiesił lufą do ziemi, żeby nie nabierała deszczu.

– Majorze, przyjmiemy tę walkę. Pan ze swoimi ludźmi obsadzi lewą stronę, a ja prawą. Moskale, tak jak my, muszą przejść groblę gąsiorem. Nasi myśliwi będą mieli byborny cel. Chyba niebo zsyła nam taką okazję. Będziemy mieli dobry początek. Wygrana podniesie ducha nie tylko w oddziale. Majorze, czy pan gotów?

– Chytry z ciebie szkopek. Na, trzeba popróbować. A słyszałeś ich śpiew? Uch, dobrych mają zapiewajków. Aż ciarki idą po plecach.

– Majorze. Boże broń nie wolno strzelać bez rozkazu. Musimy ich podpuścić jak najbliżej. Otworzymy ogień na sygnał trąbki, to mój rogal. Czy pan mnie zrozumiał?

– Co tu rozumieć? Oni, gałgaszyk, też wiedzą, że muszą być pokarani na nieb na końcu grobli.

– Zatem proszę na stanowisko i szczęść Boże – znowu tobą wstrząsnął dziki, złowróżbny dreszcz.

– Pożywiem, uwidzim – westchnął. – Największa bieda, że mnie ząb rozbolał.

– Majorze, czekać przeszę na sygnał rogu.

– Wiem, wiem, pułkownik, mnie nonyć nie trzeba.

Niespodzi, pod rozłożystym klonem, stał oberwany z siągle jeszcze rozwiniętym sztandarem, z którego brzegów spadały wielkie mieniące się zielono krople. Obok ziewał niezastępny Ildek. Śmiesznie kał histerycznie starą fazję, aż mu zbielały kostki palców.

– Zwińcie chorągiew – rozkazałem. – Ildek, umiesz celnie strzelać?

– Nie ma lepszego w okolicy – pochwalił się chłopiec. – Na sto kroków trafiam w komarę, panie pułkowniku.

– Więc przejdźcie na drugą stronę, do majora i tylko dobrze kryć się za drzewami. Żeby mi nikt nie wyłaził za drogę.

– Ta sami myśliwi, panie pułkowniku – odezwał się pobłażliwie chorąży. – My wiemy.

– Szkoda, że już wina nie ma – dodał Ildek. Ręce grabieją.

Nie musimy dodawać sobie otuchy winem. Na stanowiska, chłopcy.

Jeszcze raz schwycił się atak drżączki, zwiastun nawracającej choroby. Upadłem na ruń leśną chowając twarz w gorących dłoniach. Z mgły, deszczu, gruźniości zastygłego lasu znowu wyrwała się ta cała pieśń jak ryczie wilków.

– Boże, daj zwyciężyć – wyszeptałem w dłonie, po których płynęły gorące krople deszczu. – Żeby to wszystko nie poszło na marne. Żeby moje życie, żeby męka i ofiara tylu ludzi... Boże, Boże wszechmogący...

Potem rozległ się strzał i długo tułał się echem po puszczy. To żołnierze doszli do grobli. Kotłowali się przy jej progu nie śmiejąc wejść na wąską bagienną dróżkę. Słyszałem ich krzyki i nawoływania, łoskot metalicznych nasadzonych bagnetów, jękliwe rozkazy podoficerów. Ale jakoś nikt nie kwapił się do ataku. Czaple, jakby niecierpliwe krwawego widowiska, poderwały się z rojstów i majestatycznie przeglądały nad mglistą ścianą lasu.

A tuż przed tobą spadały zeszłoroczne, martwe ziarna klonu, zwane "noskiem", bo zwykle dzieci jesienią rozdwajały je i przylepiały do nosa. Więc te złocisto skrzydełka leciały skądś z bardzo wysoka wirując zapamiętale, leciały niezwykle długo nie mogąc osiągnąć martwej ziemi zatej już deszczu.

Wreszcie kilka żołnierzy minęło czarnym traktem grobli. Szli bez ochoty, z ociąganiem się, co chwila stawali wołając

ześć do pszenicznych. Jeszcze parę przemoczonych, gorących figurek kolczastych bagnetami wypręża się z brzegu. I tak szli i nie szli, chcieli atakować i nie atakowali. A wyście chcieli wkryci nam drzewami słyszące tętent własnej szalonej krwi.

Coraz więcej żołnierzy wstępowało na groblę. Skupiali się tu w jakieś gromadki, nad czymś dyskutowali, czasem któryś z nich strzelił w las, w las milczący wzgardliwie, obojętny, roztopiony w deszczu.

W końcu trzech śmiałków zbliżyło się na dwieście kroków i uklękło na zbutwiałych belach mierząc w karabinów w naszą stronę. Podniosłeś rękę dając znać trębaczowi. Róg odezwał się nieśmiało, lecz nim zabrzmiał w pełni, nim przebrzmiał się w rozkaz, który z żołnierzy strzelił w ujście grobli. A wtedy przez wygasające pobrzmienia strzału usłyszałeś nieludzki, przerażający skowyt umierającego człowieka, gwałtowny tupot nóg, skrzek łamanych gałęzi i pełne grozy wrzaski: - Uciekajmy! Uciekajmy!

Żołnierze na grobli również poderwali się do ucieczki. Biegli co sił w stronę swego lasu. W mgnieniu oka cała rota skryła się w równomiernej siwej mgle. Zrobiło się tak cicho, że usłyszałeś daleki klekot bocianów, który osiadł w gniaździe.

- Karnowski, do mnie! - krzyknąłeś ochrypłym głosem.

Ale nikt się nie pojawił i nikt ci nie odpowiedział. Tylko krople chłodnej wypłynęły się na krzaki czarnego bzu. Górą szedł już pierwszy wiatr, północno-wschodni wiatr, co zwykle zwiastuje przymrozkami przedwczesną wiosnę.

Zatrzęsłeś tobą, wstałeś z lodowatej ziemi. Za sąsiednimi drzewami nie było twoich powstańców. Wyszedłeś na groblę.

- Panie majorze! Majorze, co się stało?

Wiatr obniżył lot. Drzewa pochyliły się z podniosłym szumieniem, jak gniewny chór wymawiający przekleństwa. Skoczyłeś na drugą stronę drogi potykając się o porzeczną, jeszcze ciepłą od dłoni ludzkich fuzję.

I nagle stanąłeś i nagle zrobiło ci się okropnie zimno. Przed tobą, w rozgniecionym krzaku, leżał martwy człowiek. Był to Kidefons, chłopiec w twojemu, najmłodszy powstaniec. Leżał na wznak z rozrzuconymi rękami, a palce jego wczepiły się w zeschnięte liście dębowe i miał tych liści pełne garście, jakby chciał nimi zapłacić wam w cenie. A nad lewą brwią jego połyskiwała otwarta wielka granatowa jama.

– Ludzie! – krzyknąłeś. – Gdzie jesteście? Przywołuję was na imię Boga!

Nie było już ani powstańców, ani Moskali. Był tylko zajęty sobą las, las huczący jak młyn, był deszcz i jesienna bezwolna mgła. Zaszarpałeś biegać po wertepach wokół gościńca. Wszędzie leżała porzucona broń: dubeltówki, pałasze, rewolwery, patrony. Koło wykrotu zobaczyłeś chorągiew, obok czerniała czyjaś czamarka zrzucona dla ulżenia w wędrówce. Wszyscy uciekli od jednego strzału. I atakowani i napastujący. Ja też przeżyłem taką chwilę, a może nawet, jeśli dobrze pamiętam, kilka takich dziwnych, pełnych dziwnej grozy chwil.

Wróciłeś do Ildefonsa, powstrzymując kamilające się spazmy gorączki albo zwykłego płaczu. Zamknąłeś mu wytrzeszczone oczy. Zacisnąłeś usta pełne jakby powiększonych zębów. Złożyłeś mu wyzięble jeszcze ręce na piersiach. Leżał bezbronny i nasiąkał wodą. Więc przykryłeś go wielką gałęzią zakwitającej czeremchy. I leżał twarz w ogromnym, złym zadrzeniu białych, drobnych kwiatów.

Wiatr rozpędzał chmury. Pokazało się niebo oblane szarwizną. Kończył się zły dzień. Przychodziła znowu pogodna noc zapalając światła odległych galaktyk. Zebrałeś pogubioną broń, podniosłeś mokrą i ciężką chorągiew, zawlokłeś to wszystko do ogromnej dziupli w sędziwym dębie. Ukryłeś tam również swoją szablę zostawiając przy sobie rewolwer Salistrowskiego. Tak kończyła się twoja kampania 1863 roku.

Całą noc przeczekałeś na stojąco, jak czapla, pod drzewem, które wzdychało jękliwie, potrącane przez wiatr. Z puszczy wynurzali się co chwila dawni znajomi i wrogowie, czegoś od ciebie chcieli, za coś wyklinali, czymś grozili. Niby czekali na moment, żeby znowu wyleźć zza wykrotu i wyciągać ku tobie szponiaste ręce. Widziałeś w tej kampanii ojca i pułkowników petersburskiej Szkoły Inżynieryjnej, siostry w żałobie i tureckich strażników, kolegów genueńskich i księdza-katechetę, francuskich żuawów i Garibaldiego. Całe twoje krótkie życie cisnęło się do ciebie ze wszystkich stron. Cały twój niewielki wszechświat zgłaszał wobec ciebie jakieś straszne, okropne pretensje, których nie można było oddalić ani unieważnić.

Ocaleni budziłeś się sprzytomniony własnym jękiem. Powoli przypomniałeś sobie swój okropny los i bezwzględną klęskę. Los i klęskę jeszcze jednego pokolenia w tragicznej pielgrzymce wie-

la generacji Polaków. A gdzieś obok w ciemności spał anem wieczorych gorliwy Iłłak, któremu matka uszyła niemodną bekieszę, a z nieba patrzyły krótkowzroczne, roztargnione gwiazdy.

Wreszcie ciemność zaczęła wsiąkać w rozmiękłą ziemię. Krzyknął śród bagien żuraw jakby wyrwany z nocnego koszmaru. Pojawiły się pierwsze znajome drzewa. Zapóźniony wieczorny obłok płynął pośrodku nieba.

Obłamałeś z gałązek kostur i poganiany przez dreszcze ruszyłeś w stronę Roseliszek. Szedłeś potykając się, przewracając na pokracznych korzeniach, tych skamieniałych tylakach puszczy, aż w końcu zobaczyłeś dom solidny na końcu lasu, dom z oknami i kominem, nad którym filował wyprostowany cienki dymek. Niespodzial budziły się Roseliszki okryte kędzierzawą wiosenną zielenią.

Pchnąłeś drzwi sieni wonniejącej grzybami i wszedłeś do przestronnej kuchni z ogromnym piecem w lewym rogu. Wokół tego pieca szatały się trzy młode kobiety w koszulach lnianych i spódnicach, zaczerwienione od gorąca, rozgrzane pracą. Wygarniały z glinianego pieca omszały popiołem żar szykując miejsce dla wielkich błyszczących bochnów z głębokimi znakami krzyża. W wycięciach koszul widziałeś ich ciężkie, dorodne piersi powleczone cieniutkim lśnieniem delikatnego potu. Patrzyłeś na ten ruch domowy, odwieczny, coś bardzo dotkliwego przypominający, a one cię nie spostrzegły zajęte swoimcodziennym trudem. Aż wreszcie prysnęło iskrami z kurhanka dębowych węgli, one odskoczyły na to miejsce glinianej podłogi, gdzie leżał przymglony blask wschodzącego słońca.

I wtedy się zobaczyły.

- Niech będzie pochwalony Jezus Chrystus - rzekłeś z wysiłkiem.

- Na wieki wieków - odparła najstarsza.

- Proszę o gościnę. Jestem w podróży i bardzo zgłodniałem.

Przyjrzały się tobie, popatrzyły na siebie, najmłodsza, widać główna gospodyni, powiedziała śpiewnym głosem:

- A to niech siada za stołem. Wraz będzie śniadanie.

Z trudem ulokowałeś się na starej ławie pod oknem. Ta młoda z zadartym noskiem zerknęła ciekawie w twoją stronę.

- I dokąd to panicz wędruje? - spytała wylewając ciasto na wielką czyhunną patelnię.

- Do Nowogródka - odrzekłeś po namyśle.

- Daleka droga. Zaraz będzie śniadanie, to panicz sobie poje. Y ze słońcem wstajemy, las lubi ranek, a nasi mężczyźni robią w

lesia.

Starsze wzruszały pachnące ostrą kwaśnością tachanki w ciemne wnętrze pieca, ona na przypiecku piekła blizny w stygnącym żarze. Pod okapem domu krzyczały kłótliwie jaskółki.

– Febra paniczka trzęsie – mamrotała życzliwie najstarsza.

– Te nie. To z niewyspania. Zbłądziłam w puszczy.

– Puszcza w dzisiejszych czasach niebezpieczna. Obojętnie tak samemu podróżować.

– Ja rozboju się nie lękam.

– Rozboju to może i nie. Ale czego innego to tak.

Zmilczałeś chcąc uniknąć drażliwego wątku. Wielki kot ciemno pręgowany zeskoczył z pieca, przeciągnął się ziewając smacznie, a później podszedł i otarł się o twoje nogi.

– Patrzcie, od razu polubił obcego – zdziwiła się młoda. Uśmiechała się do ciebie z dziecinnym bezwstydem. – Waśka, Waśka, gdzie ty był, z kim ty małaszko pił?

Doroślne, młode baby, czując twój wzrok na sobie, poruszały się z taneczną gracją. Niby to ściągały spod chichotów haftowane koszule na piersiach, ale i tak czułeś się pod zgrzebną materią ich gorące, pulsujące krwią, pachnące rzeczną wodą ciała. Ja także tęskniłem do ich pięknych i tajemniczych ciał w te wieczory jesienne 1944 roku, kiedy na siano w odrynach ciągnęliśmy z samogon, a one skryte w nocy śpiewały te przejmujące pieśni, pieśni jak płacz, pieśni jak lament, pieśni jak straszna tęsknota nie wiadomo za czym. I nie mogę się oprzeć, żeby nie przypomnieć owej Emilki, płowowłosej, popielatowłosej, srebrzystowłosej, wierzbowłosej Emilki o cerze antonówki, albo lipowego miodu, może raczej przyćmionego wrzosu, nie, też nie, raczej o takiej cerze, o takiej skórze, której nie sposób opisać, ale której drgnienie, połysk, delikatne pulsowanie przyprawiało mnie o szaleństwo i tobie też odbierało rozum, bo w każdym czasie na tamtej ziemi żyły po dworach i po zaściankach, a także po wsiach zagubionych w puszczy takie złocistorózowe Emilki, które śnią się do końca życia.

A teraz ta młoda, co także mogła być Emilką, przyniosła na patelni wielki blin owsiany i zrzuciła go na gliniana miskę. Obok w garnuszku skwierczała roztopiona słonina. Więc ułamałeś kawałek blina, zwinąłeś go w rulon chcąc zanurzyć w tłuszczu i wtedy weszło raptem do kuchni trzech mężczyzn – leśników. W

milczeniu odstawili do kąta ceshowniane teperki, w milczeniu spojrzeli na ciebie, który walczyłeś z paptownym snem trzymając w brudnych palcach kawałek gorącego blina.

- To podróżny. Idzie do Nowogródka - rzekła szybko ta, która mogła być Emilką.

Nic nie mówiąc usiedli przy tym samym stole. Parowali zmęczeniem pełnym żywicznego zapachu, niby to wbili wzrok w sękaty stół, ale czułeś, że cię obserwują. Ugryzłeś bez ochoty podsmażony blin ze złotą kroplą tłuszczu.

- Niebezpiecznie w takim stroju wędrować - rzekł czerniawy leśnik z wielkimi bolesnymi oczami.

- Stój jak każdy inny, byle był wygodny - odpowiedziałeś z wyszukaną uprzejmością.

- Niebezpieczna także pora - podjął czarniawy. - Rok nie zwyczajny, natura rozstrojona, w ludziach gniew wilczy.

- Ja do krewnych idę, żeby zdążyć na żniwa - rzekłeś ze skwapliwością, która tobie samemu wydała się podejrzana.

Czarniawy zapatrzył się w ciebie, albo poprzez ciebie w mętne szyby ze szkła poznaczonego bliznami zastygłych pęcherzyków powietrza. Wtedy podeszła cicho Emilka, pogładziła cię rozgrzaną ręką po włosach, po czole, jakby biorąc chorego w obronę przed mężczyznami, przed złą chwilą, przed niewiadomym życiem.

- Człowiek nie odmieni świata - powiedział czarniawy zapatrzony w jakieś ćmiące bólem wspomnienie. - Człowiek rodzi się dla cierpienia. Ból i niewiedza. Zgubiłem czapkę w lesie. Trzeba wrócić i poszukać.

- Jedz bliny, bo wystygną - wtrąciła się Emilka.

- Nie, żoneczko, trzeba najpierw znaleźć, co zgubione.

Wstał od stołu, ruszył ku drzwiom. Na progu zatrzymał się, spojrzał na ciebie, chwilę się wahał, lecz w końcu wybiegł przed dom płosząc wielkie stada wróbli.

- On dobry człowiek - mówiła łagodnie Emilka. - Ciężko żyje, męczy się, po nocach zapłacze, ale dobry, poczciwy. Całą młodość na Syberze przeżył.

- A za co go zesłano? - spytałeś ogłuszony gorączką, która kometała w każdym włóknie stężałych mięśni.

- Kto to wie - Emilka gładziła machinalnie twoje suche sprężyste włosy, bo wtedy, tak i ja, miałeś na głowie wielką stertę ogromnych, bujnych suchych jak wiosenne siano włosów. - On nigdy nic nie mówi. Czasem tylko krzyknie nad ranem, rozbudzi się i

miszy aż do brzasku.

- Dziad włóczęga wróżył mi, że będę żył w dalekich południowych krajach, gdzie słońce nigdy nie zachodzi.

- Co Bóg da, to i będzie - odezwał się bredaty leśnik zapatrzony w miskę ze skwarkami. - Wszędzie można żyć. Tam wszystko każdemu pisane - pokazał sufit, ponad którym była wiosenne wymyte deszczami niebo.

- Jedz, panicza młody, jedz, to wyzdrowiejesz i pójdziesz do swojej niebogi - szepnęła Emilka.

Poczułeś na skroniach jej ciepło przemieszane z wonią dymu.

- Moja nieboga - zamruczałeś jakby przez sen, którym było otoczenie gorączką - moja nieboga to Polska. Złotowłosa, skrwawiona, niewolna.

- Szcze by prawiesz? - pochylił się nad stołem bredasz.

W tym momencie otworzyły się drzwi. Za progiem stał ten czarniawy leśnik o boleściwych oczach przesłaniających szerokimi barkami dwóch chłopów, z których jeden trzymał na ramieniu pęto świniętej wiérówki, czyli konopnych lejców. Weszli ostrożnie do izby, a chłopi zdjęli nabożnie, wyliniałe czapki.

Leśnik wydobył z zanadrza zwój sztywnego papieru, rozwinął go i spytał ciebie z pełnym cierpienia uśmieszkiem:

- A panicz może nam to przeczytać?

- Czyżbyś był pan niepiśmiennym? - rzekłeś unosząc z trudem kręcącą głowę.

- My wszyscy tu niepiśmienni. A przeczytać trzeba, bo z samej Oszmiany przysłali.

Patrzyłeś przez chwilę w jego oczy pełne bólu i złości, smętku i nienawiści, lęku i determinacji.

- Dziwny z ciebie człowiek - szepnąłeś.

- Chłopi dopraszają się łaski. To urzędowy papier. Przeczytaj im, człowieczo, i idź swoją drogą.

Mimowolnie podniosłeś się z ławy. Kobiety zaparły piec szynkwną pokrywą. Pod powałą unosił się zdradliwy, słodki zapach czadu. Rozkołysała się raptem ta izba z zamarłymi bez ruchu ludźmi, podłoga jęła niekiedy gdzieś w dół, aż musiałeś chwycić się śliskiej krawędzi stołu.

- Daj papier - rzekłeś z nagłym, niezrozumiałym strachem.

On podsunął ci lepki jeszcze od farby prostokąt. Litery skakały ci przed oczami, ale przemogłeś w sobie ten dziki chaos ge-

rączki i zaczęłaś łowić w gąszczu szczególne słowa:

- Do włościan Zachodnich Gubernii Cesarstwa. W związku z niepokojami wywołanymi przez buntowniczo usposobione jednostki, w związku z nieporządkiem zachodzącym w poszczególnych powiatach, w związku z protestacjami zanoszonymi przed tron przez prawowiernych poddanych, na podstawie Najwyższego Rozkazu polecam wszystkim włościanom czynne wzięcie udziału w zwalczaniu przejawów zbrodniczego buntu. Należy chwytać i niezwłocznie oddawać do władz wojennych wszelkich osobników zbrojnych pojawiających się zarówno w lasach jak i po wsiach, wszelkich mętowizn nieznanych, nie posiadających wiarygodnych dokumentów, a także wszystkie podejrzane indywidua, kim by nie byli. Nagrody za schwytanych zbrodniarzy wyznaczam w następującej wysokości: za nieuzbrojonego rubli trzy...

Przerwałaś czytanie, podniosłaś wzrok znad kartki. Stali przed tobą jakby schyleni do skoku. Gdzieś na łąkach pod Rzeczawkami jakiś pastuch śpiewał tęsknie jękliwym falsetem: "Ej by, Hala, Hala małodaja..." Usiłowałaś przełknąć ślinę uwięzłą w ściśniętej krtani.

- No, to czytaj, panienko, jakie gubernator da biednym ludziom nagrody - rzekł cicho szarawy leśnik.

- Będziesz przeklęci - chciałaś wszystko wszystkich dżdżownic za pomocą szczurki, gdzie tkwił pistolet.

Ale oni byli szybsi. Skoczyli jak wilki ze wszystkich stron, w mig powalili cię na gliniane klepisko i już wiązali lejcami niczym barana. Gdzieś w oddali słyszałaś stłumione krzyki kobiet, rozpaczliwy wrzask Emilki, która być może próbowała się bronić, wrzaski wieśniaków, albo może leśników i wszystko nagle stało się miękkie, gąbczaste, jakby cię zanurzono w nagrzanej słonecznej wodzie.

Potem obudził cię przenikliwy ból w ramionach. Ręce miałaś silnie wykręcone do tyłu i z chłopską precyzją obwiązane wiązką jak duha. Obaj wieśniacy przeszukiwali twoje kieszenie pod okiem posępnego leśnika. Wydobywali kolejno pistolet, złoty zegarek, pieniądze, dokumenty powstańcze i notatki. Leśnik przeglądał je z dziwną wprawą i układał na stole.

- Weźcie zegarek oraz gotówkę. To więcej, niż dostaniecie nagrody - jęknąłeś.

- Zbuntowałeś się przeciw swojemu przeznaczeniu - rzekł leśnik. - Odbierzesz karę, jaka ci się należy.

- Na wasze głowy i na głowy wszystkich tutejszych zapadnie

straszne przekleństwo.

- Bóg zastanowił władzę. Nie nam, grzesznym, podważać jego wyroki.

- Przecież i ty, ebay oślewiecze, cierpiałeś kiedyś, jak ja teraz cierpię.

- Wyprowadźcie pana pułkownika. Niech popatrzy jeszcze na niebo i las - rozkazał leśnik.

Zawlekli ciebie przez czarną sień na ganek obrosły powojem. Fioletowe kwiatki stuliły się już w lęku przed natrętnym słońcem. Ten pastuch śpiągnął jeszcze swoją nostalgiczną pieśń o nieznanej Hali.

Obok drogi stała furmanka otoczona przez żołnierzy, co mogli być Czeczeńcami z dalekiego Kaukazu. Dwóch kozaków z trudem powstrzymywało konie, którym dokuczały natrętne gzy.

Wymoczczony zaschniętym nawozem zaprząg ruszył w stronę ganku i zatrzymał się przed tobą podtrzymywanym przez dwóch milczących chłopów. Kozacy ściągając swoje niespokojne wierzchowce pokłoczyli za wozem. Jeden z nich miał dystynkcje sztabsa.

- Idzi, chłopiec - trącił się w plecy chłop.

Sprowadzili się z ganku. Ten drugi kozak, zwykły szaraszny kozak, najechał na ciebie koniem, a kiedy zatoczyłeś się, ciął nahajką przez łeb. Zrobiło ci się bardzo gorąco i wierzch głowy zaczął nagle swędzić, a ty nie mogłeś się podrapać, bo ręce były związane na plecach.

Wtedy chłopi uchnęli dla lekkania rozmachu i wznieśli się na furę. Później z gospodarską drobiazgowością jęli przywiązywać twoje nogi do kłonic.

Nadbiegli żołnierze w porozpinanych szynelach, śmiadzi, czarnosocy, na pewno Czeczeńcy.

- Smotri, miatieżnik, jeśli twoja maś - zachrypiał jeden z nich i stuknął się kolbą w żebra. Drugi zniecierpliwiony poprawił ciosem w obnażoną krtań. Jęknąłeś bolesnie chowając twarz w zakłębionej pod obojczykiem.

- W Wilnie budiet sud i wieszatielnica, razumiesz pan? - spytał stary podoficer z spadniętymi, siwymi wąsami. Przyglądał się się pilnie, ciekaw był twojej reakcji. Ale ty słuchałeś tylko tego szumu pod obrożami zeber, tego gorącego łoskotu, który rozsadzał swędzącą czaszkę. Przez szparki w zapuchniętych powiekach widziałeś skrawek drogi i drewniany krzyż przydrożny, a koło tego

krzyża smażałego przechodził ktoś zgarbiony, nieszczęśliwy i wydało mi się, że to idzie Karnowski nie wiadomo skąd dokąd, tak jak mnie się nieraz zwidywał mój Karnowski, co go zapamiętałem z dzieciństwa bez szczególnego powodu na całe życie.

Isaak patrzył na siebie z niewielkiej wysokości chudego konika. Jakby do jańca, ale chyba raczej do siebie powtarzał półgłosem słynne strofy największego poety wschodniej Słowiańszczyzny:

- Wnow nasz wtorgliś znamienia
W prołomy padszej wnow Warszawy:
I Polsza kak bieguszczyj pełk
Na prach brasajet stiag krowawyj
I bunt razdawlennyj smołk...

Podniósł dłoń dając znak do odjazdu. Żołnierze stoczyli siano wóz, chłop smyknął na konie. Odwróciłeś mozolnie głowę w bezsensownym pragnieniu, żeby zobaczyć tę leśniczówkę z buchającym w niebo jasnym dymem, co bije prosto strugą w wiosenną niebieskość nieba. I zobaczyłeś leśnika, który się wydał. Patrzył na twoje spocone ciało, na rozkraszone hańbiebnie nogi jak u patroszonego kabana, na krwistą pręgę niczym pijawka przyssaną do szyja i coś szeptał. A w oczach jego mogła być jakaś wilgoć, a w głosie jakaś niepewność, kiedy poruszał zdrewniałymi wargami, ty zaś, mój bracie, sprzed osiemdziesięciu jeden lat, odczytałeś z drgnień ust leśnika to znane mam zawsze pytanie:

- Czy warto było?

W ogonku nic nowego. Jakby trochę się zmięteniło, rozkleiło i odrobinę przemieściło. Ale nie, wszyscy pozostali na swoim miejscu. To skąpe światło świec obronnych stearynowymi łzami znieksztalca proporcje i wynaturza zmęczone twarze. Iwona patrzy wielkimi, wypukłymi oczami, patrzy na nas, albo może na mnie, kiedy obstukujemy buty z pasyn śniegu przed wejściem do salonu.

Kierowniczka z mężczyzną w czarnym fartuchu wnoszą pierwsze kartonowe pudło. Ogonek ożywia się, przysiadka do lady z napisem: proszę się nie opierać. Poznaję pismo Iwony, choć nigdy nie widziałem pisma tej dziwnej mnemonarkiej dziewczyny.

- Gdzie ja stałam? gdzie moje miejsce? - biada wieśniaczka, co wielu już godzin związana ogromnym fartuchem.

Wszyscy milczą z czujną obojętnością.

- Pani podejdzie tutaj - kierowniczka wskazuje czoło kolejki.

- Hola - odzywa się jeden z brodatych. - Co to za numery?

- Pan widzi, że ucha zamiejscowe upewniała ubłocone kierowniczka poprawiając wielkim szerokim paznokciem oklapnięty łepir.

- Nie puszczać! Pilnować! - usłyszeć krzyki z tyłu.

Tłumek zwiera się, posuwa się naw wąską ladę, płomyki świec chybocą wystraszone, pęka karton pudła, kierowniczka zanurza ręce wewnątrz, nosa patrząc przez szerowym i przekrzywionym okiem, szeleści i szurga, przymyka powieki, wysuwa język, napina się, chce coś wyciągnąć, ale cofa się i odpada z garścią wiórów drzewnych.

Najbliżej stojący podnoszą ją, pytają troskliwie:

- I co, i co tam będzie?

- Dziwne - kręci głową kierowniczka.

- Jest złote?

- Prędzej srebro.

- Może z wierzchu srebro, a pod spodem złoto?

- Wyciągaj pani do cholery, bo już trochę cierpliwość - kwaszy Duszek.

Kierowniczka zakasuje rękaw i przebiera palcami jak chirurg przed operacją.

- Poświeć, dziecko - rzecze ze siebie.

Iwona bierze świecę, zbliża się do szerowej, patrzą pomiędzy głowami w wystawę skurczoną śniegiem. Jakiś pojedyńczy płatek niezrozumiałym trafem opada spod sufitu prosto w ogień świecy. Iwona kapie go i słucha przez moment bolesnego skwierczenia.

- Nie tam, daj tu światło - prosi kierowniczka.

Wreszcie schyla się nad pudłem i zatapia w nim rękę aż po łokieć. Dyszy ciężko, przestępuje z nogi na nogę, napina się i wyciąga z chrzęstem coś połyskliwego, co owinęło w kłapach opakowania.

- Srebro! - krzyczy ni to z triumfem ni to z rozpaczą pani w za dużym płaszczu.

- Do diabła ze srebrem - warczy Kajtan. - Daj, dziewczyno, to coś na wigilię.

Kierowniczka podnosi to błyszczące i stawia na kryształowej ladzie.

- Samowar. Elektryczny samowar rzeźbiarski - konstatuje basowym głosem.

- Samowary, paky bańskie, a my stoimy od rana! - wybucha rozpaczą budowlany.

- Dalej, dziewczyno, niech pani sprawdzi wszystkie paki.

Kierowniczka z rezerwą wychodzi na zaplecze, po chwili wraca

i mówi:

- Niestety, we wszystkich są samowary.

Ludzie tłoczą się przy ladzie. Ja również pcham się przodu, choć ni z tego ni z owego zaszyna mi krakować poniżej.

- Przecież mieli przywiązć złoto! - wyszczerzył się Kajran.

- Nic na to nie poradzę.

- Niech pani dzwoni. To grania. Od tygodni czekamy. Ja jutro wyjeżdżam - wściekał się Kajran.

- To tak, kurwa, traktujecie robotników? - zagrzmiał ktoś budowlani.

Tylko anarchista i student zachowują spokój, naszpilili się lady i pilnują swego miejsca.

- A może jeszcze przywiozą? - pyta niedmiało wieśniaczka, której chustka zsunęła się z głowy pokazując modne nażelowane świąteczne jakby prosto z Londynu.

- Może przywiozą w drugiej turze - godzi się kierowniczka. - Zapowiadali na dzisiaj. Któż tyczy sobie nowoczesny samowarek? Bardzo poszukiwany towar.

- A wsadzi pani sobie ten samowar - bluźni budowlany.

Dusiek uśmiecha się przebiegle.

- Kajran, kup, nie żałuj gotówki. W Ameryce zostawisz, zaparzysz herbatki, pomarzysz i przypomni ci się ojczyzna. Ty jesteś sentymentalny.

- Dobrze wam dowalpkować. A ja jutro lecę. Co zrobię z pieniędzmi?

- Zaczekajmy, może przywiozą, jeśli obiecali - powiadam.

- A co ty chcesz kupić?

- Obrączki. Ślubne obrączki.

- Żenisz się na starość?

- Broń Boże.

- To po co ci obrączki?

- A tak sobie.

- Jak to: tak sobie? Ciężko zarobiony grosz na bajdam wydajesz tak sobie? Przecież możesz kupić brylanecik, dlaczego właśnie obrączki?

Nie mogę kupować ani brylanecika, ani obrączek, bo nie dostaliśmy.

- Prawda, nie dowiezli.

Kajran ukradkiem otworzył zamek błyskawiczny w torbie zwanej cedowastką i szybko przebiegł palcami jej wnętrze.

– Sprawiasz, czy kasy nie rąbnęli? – pytam szyderczo.

– Ty pilnuj swojej.

Jakaś para o wyglądzie urzędniczym rezygnuje z ogonka. Wychodzą złorzecząc napakowanemu kanalowi. Z otwartych na moment drzwi leci śnieżna zamieć i urywek kolędy granej gdzieś obok przez inwalidzką orkiestrę. Wieśniaczka wyszpałała się z chust i płaszcz jak z niepotrzebnego już uniformu. Dopiero teraz widać, że ma na sobie poniszczone ale jeszcze eleganckie futro z karakułów. Rozmawiamy się przy nas. W jednej ręce trzyma płaską flaszeczkę, w drugiej podróżny komplet metalowych kieliszków.

– A panowie nie odmówią?

– Ja dziękuję – powiadam. – Mam kiepski dzień.

– On tak zawsze – warczy Kajran. – Żeby tylko zwrócić na siebie uwagę.

Pani nalewa trzy kieliszki błyskające złotym sygnetem z tak zwaną ślizgawką, czyli pustym owalem nie wypełnionym herbem z powodu braku rodzinnego herbu. Tan sam w dżinsach przysuwa się do nas z przymilnym uśmiechem.

– Może i dla mnie znajdzie się kropelka? Grzeszna jestem.

– Ty jesteś filar, wyrwa – zrzesza pogardliwie pan Drozek.

– Nie rozumiem, o co panu chodzi?

– Pracowałem w tym fachu, kiedy jeszcze siebie na świecie nie było.

– W jakim fachu?

– W kapitalistycznym.

– Zapewnie nie kojarzę.

– No to pij i zapomnij o nas.

Iwona podchodzi do okna. Chucha na szybę i w niebieskawej mgiełce pisze palcem jakieś słowo. A mnie znowu bolą kości policzka. Jest mi zimno i duszno zarazem.

– Narzekacie państwo na ogonki popijając whisky – odzywa się z ironią pani w za dużej peliśie.

– Niech pani powie, że i w Ameryce stoją w ogonkach – warczy Kajran.

– A pewnie, że stoją. Pan tylko w nas widzi same wady.

– Znają państwo tan kawał o sekretarzu partii? – wtrąca się Grzesio.

– Dobra, dobra – nachmurza się Drozek. – Ty nas nie próbuj, bo tego nie lubimy.

Kajran wytrząsa resztkę płynu z niklowego kieliszka.

– Zaszczekajcie, zaszczekajcie. Pamiętasz, Kanwa, bajstruka?

– Coś jakbym pamiętał.

– Ty zawsze niby coś pamiętasz, ale tylko tyle, ile trzeba. Dlaczego nie pamiętasz czegoś do końca i naprawdę.

– Dlaczego nie pamiętam do końca i naprawdę? Jest to rzeczywiście problem.

– Przypomnę wam i wam wszystkim bajstruka. Zwierzę wielkości kozy, czasem nawet większe. Bajstruk miał trzy nogi, a czwartą ukrytą. Z pyska podobny był do misia, a zdarzało się, że i do owcy. Jadł grzyby, trawę, korę, ale nie pogardził myszą polną, a również zającem. Nie pamiętasz, Kanwa, bajstruka?

– Widziałem raz pod koniec wojny. Z daleka.

– Żył w puszczach. W Naliboskiej, Ruskiej, Nadniemeńskiej. Jeden leśnik spotkał go nawet w Rudniskiej. Ludzie mówili, że on unikał ich od ludzi. Nieraz zbłąkanych uratował i do wsi zaprowadził. Dziecko przed wilkiem obronił. Starca w zimie ogrzał własnym ciepłem. Ale w księżycowe noce, to nie daj Boże. Krew z człowieka potrafił wyssać, zagryźć konia podróżnym, spalić stodołę ze zbożem. Dobrze mówię, Kanwa?

– Kto ci uwierzy? – chichocze ochryple Daszek. – Znowu coś wymyśliłeś. My wszyscy ułanteś jesteśmy lekko kopnięci. Pewnie i ciebie twój bajstruk kopnął?

– Miał oczy jak człowiek. Ale uszy większe, wełniste, więcej niedźwiedzie. Tą zwartą nogą, ukrytą, zabijał, kiedy musiał zabić.

– A co się z nimi stało? Nie o nich nie ma ani w gazetach, ani w telewizji – wzdycha Daszek.

Kajrah opiera się łokciami o krymplenową ławę, patrzy smętnym wzrokiem na uralskie samowidoty w pluszowych pantofelkach.

– Wytrzebili skapcani.

– Nawet jedna para się nie uratowała?

– Może się i uratowała. Ale my już nie wiemy.

Rozpinam kożuch, bo znowu mi duszno. Iwona ułamała ciemki szczypiorku, który przylgnął do szyby wystawowej szyby. Sala teraz ledwo-ledwo liźnięta i wypuszcza z nas ciemkie kółka pary.

– Kajrah – powiadam – po co ty jedziesz do Ameryki? Przecież jednego dnia położysz się do łóżka, zamkniesz się przy ściance jak w pomarańczy i skonasz, bo musisz umrzeć. Ogarnie cię dziki strach, w jednej chwili zechcesz znaleźć się tutaj, w ogarku pod salonem jubilerskim, gdzie stoją ludzie i czekają, czekają, na co my czekamy?

– Ty czekasz na swą, a ja na radzieckie pierścionki.

– Po co ci pierścionki?

– Całe moje krwawe życie uzależnię na trzy pierścionki i dam nura w nowe życie.

Pani w za dużej peleryn spoglądała do lusterka poprawiając za dużą kapelusz.

– W Ameryce podobne mroźy, jakich najstarsi ludzie nie pamiętają.

Kajran patrzy na nią długim nieruchomym wzrokiem.

– A u nas te nie na mrozy?

– Pan się przyzwyczaił narzekać.

– Duszek, czy ja narzekam?

– Bywało, że narzekałeś.

– Polak jak ponarzeka to zaraz zdrowszy.

– Kto to powiedział? Duszek wysuwa groźnie zsiękniętą twarz z kołnierza.

– Ja – odpowiada grzecznie.

– Kto ci mógł nasunąć takich złotych myśli?

– Pan.

Duszek zbiera się w sobie, przełyka całek parę i wydycha:

– Daleko najdziemy. Może dalej niż ja.

Gdzieś na ulicy zapalił się neon. Amarantowe światło rozrywa na moment Irenę stojącą przy oknie i zabarwia groźnie. Owija ją krwawym kantarem jak zjawę, nie z tego świata. Z gęsto przywalonego śniegiem miasta mąży się ledwo słyszalna muzyka. Orkiestra inwalidów przemija, rzępoli patriotyczne kolędy i kolędowy patriotyzm.

– A jakim podszedł do Ireny, jakim jej zaproponował małżeństwo? – pyta szeptem Kajran.

– Ona nie ma. Jej tu nie ma.

– Pokażę paszport, pokażę garść banknotów z portretem Washingtona, pokażę zdjęcie tej wasi samochodowej pod kościołem w Nowym Jorku. Jest co pokazywać. A ty jesteś żonaty?

– Jestem. Mam dwie córki.

– Oryginalne. Mieszczaństwo. Ty jesteś Konwa, drobnomieszczanin, który ucieka romantyka.

– Ty masz żonę?

– Miałem kilka. Wszystkie rozwiodły. Ale spróbowałbym jeszcze raz.

– Widzisz, jesteś taki krawy, a oni cię kochają. Chcesz być moim sędzią, a nie umiesz włożyć.

– Ja jestem twoim sędzią. Wszystko przeczytałem, co kiedykolwiek wymazałeś. Mam taką półkę, gdzie ciebie trzymam pod kluczem, bo to ulotne. Wisi na włosku chwili. Ty jesteś chwilowym literatem. Twoje książki umrą razem z tobą.

– Cśś, nie mów tego głośno. Mam żonę i dzieci.

– Próbujesz szydzić? Źle ciebie nie oceniam. To też dar boży – poczucie chwili. Ta pchoła, która każe łapać się za gorące. Parzysz łapki, ale funkcjonujesz. Ludzie kupują, czytają, dyskutują. Pełna iluzja autentyczności.

– Powiedz coś o sprycie. Przecież wiem, że ten zarzut chowasz na deser.

– Widzisz, Konwa, znasz siebie. Twój spryt to nie kiedna chytrość koniunkturalnych gryzipiórków, tych niedałeł, co skamlą, mamią, zabiegają, wspinają się, czołgają, klepią, chędożą wpływowe żony i chędożą razem co tyża, chędożą sesjetę i chędożą wpływowe koła zagraniczne. Twoja chytrość jest chytrością miniatra policji, wielkiego prowokatora, który chce umrzeć na krzyżu. Twoja chytrość jest paskudna, nieuchwytna, pełniosła, wsiąkająca szarobrodością, pingawa, sentymentalna, pragna do świętości, aspirująca do tragizmu. Twoja chytrość jest taka, że każdym swoim chyciem zabija się na zawsze, na wieczność. Twoich krolnych książek nikt nigdy już nie dotknie.

– Chciałbym, żeby tak było. Ty mi schlebiasz przed daleką podróżą, której się boisz.

– Naprawdę nie pamiętasz bajstruka?

– Coś sobie zmyśliłeś w ten magiczny dzień wigilijny. Gdyby były bajstruki na wileńszczyźnie, byłyby i gdzie indziej.

– A czy trzęsienia ziemi, jeśli się zdarzają w jednym kraju, muszą się powtarzą w innym? Ostatniego bajstruka złapali Sowieci, kiedy weszli do Wilna w czterdziestym czwartym. Powieźli go do Kazania-Aby, do ogrodu zoologicznego w środkowej Azji. Bajstruk jak ukąsił, to mogiła. Jak polizał, trędowaty zawsze wyzdrowiał.

Za oknami dzwonią monotennie tramwaje, które utknęły w zaspach. Koło domu słychać niespieszne szurganie. To więźniowie wzięli się do odgarniania śniegu. Inona kobieta na swoim krzesełku, położyła na kolanach otwartą książkę, ale czytać nie sposób, bo ciemno, więc kładzie palce na ohrodzonych stronicach, zamyka oczy i czyta palcami, albo oczywa się w lekturę. W letnią wigilijne-

ge popołudnia, w lewarg nadziei, przeszkód, zmęczenia oczekiwali. Nie, ona po prostu nas ignoruje. Ona sprawdza swoją kalepatyzę i żęczność z własnym wszechświatem, codzienną plastą. Chciałby, żeby tak było.

Wraca kierowniczka z naplecami. Niesie jakiś papier urzędowy. Podchodzi do świecy, nakłada okulary ze szkłami kokieteryjnie przyćmionymi. Kolejka milknie, zwiera się instynktownie przy przycisku lady.

- Proszę państwa - rzecze kierowniczka - proszę o uwagę. Otrzymałem pismo z dyrekcji. Zaopatrzenie się naszych miłych klientów w niespodziewanie przygotowanej przez centralę. Dokonując zakup w naszych sklepach należy zachować pewną. W przypadku stwierdzenia rozlosowanych pięć wycieczek do Związku Radzieckiego są posiadaczy tych paragonów.

- A gdzie towar? - krzyczy kanda budowlany.

- Towaru jest pełno. Proszę brać i wybierać.

- Miały być pierścionki brylantowe!

- I kamienie szlachetne!

Kierowniczka składa papier urzędowy.

- Przecież nie urodzę. Fangenetka wyjechała już w magazyn. Mało ugniecia w kasie. Państwo sami widzą, jaki śnieg.

Nagle błyska trupie niue światło ze sprężynowym szczękiem. Jakby raptowny piorun. Wybuch na metalowina na środku sali w jubilerskiego.

- Daj aparat - warczy Grzesio w chirsach wyrywając kamerę fotograficzną grubym amarchiwie.

- Przepraszam, przepraszam, przepraszam - powtarza mundurowy rudy grubas i walczy zaciekle z napastnikiem.

- Oddaj film, bo zawołam milicję.

- Jezus Maria, sfotografował nas! - lamentuje pani w za dużej peliśie.

- A co, nie wolno fotografować - krzyczy amarchiwy student.

- Gdzie to napisane?

- Gdzie trzeba, tam napisane. Dawaj film, bo już, bo ci przeszę na ambasadę.

Pani w za dużej peliśie rzuca się do walki. Chwyta w ręce francuskiego ekstremistę.

- Pani kierowniczko, on nam nie zdjęcia!

- W sklepie nie wolno fotografować - powiedziała skonsternowana kierowniczka. - A co on zdejmował?

– Nas. Całą kolejkę.

– No właśnie – wtrąca się wieśniaczka. – My sobie nie życzymy.

Student rozdziela walczących. Zaskarbia swoją skromną osobą zapartowanego cudzoziemca.

– Wstyd. Co on o nas sobie pomyśli?

– Niech myśli, co chce, ale niech oddа film. Potem jeszcze w zagranicznej gazecie wydrukują. Kto będzie odpowiadał? – bronczy się ta z nie dużej polski.

Francuz mamrocze, wściekle manipulując przy aparacie. Znów szczęka migawka. Budowlani instynktownie zasłaniają twarze.

– On mówi – tłumaczy student – że prześwietlił teraz tamte zdjęcia. Powiada, że chciał zrobić pamiątkową fotkę, ale jak nie, to nie. On kocha Polskę i chce przesłać o polskich obywatelach.

– A na cóż on nas kocha? – pyta podejrzliwie pan Danek.

– Niech żyje Polska! – wznosi wzrok ku skrzyni francuski archiwista.

– Ciebe, ciebe! – miota się kierowniczka. – Proszę nie robić zamieszania, bo wywiesze komunikat.

– Jeszcze Polska nie zginęła – intonuje Francuz.

A mnie zakręciło przed oczyma. Wyciągam z szafy ale to chwilka wyjść i zmarznę się z braku tlenu. Im zapamiętaj chwytam pastę, tym szybciej giną. Na próżno uczuwam się do drzwi. Nie chcą ustąpić. Przymarzły albo zamknęły się w panice. Wreszcie puszczają z przeraźliwym zgrzytem. Wypadam na ulicę i nic nie widzę oprócz ciemnej, ponurzałej bieli. Ból w piersiach ustępuje. Hausty powietrze stają się sytniejsze. Spostrzegam czarne okna w ośmiopiętrowych domach, przelatujące miasto mgnień i jakichś dwóch jegomościów, którzy walczą przekrwą wysoką zaspę walącą z upojeniem alkoholowym.

– Ale piękna – odzywa się Kaleka bez oka nóg nadawiony na szczycie przyjemny śniegu. Wygląda jakby zamarzył się rozkosznie w pierzastej kąpieli. – Świat jest piękny, tylko trzeba umieć to dostrzegać.

– A ja zapomniałem kluczyków.

– Panie, Nie dziwota. Tyle godzin w ogonku. Śmiesznie za 80 banknot, prawda?

– Tak, i dziwnie. Wie pan, jak w bramie.

– Wiem, znam – śmieje się dobrodziejski żebrak. – Niech pan zajrzy do metryki. Na sto metrów to pan już nie będzie biegał. I ja nie będę biegał.

W wykwintnej restauracji siedzą więźniowie i piją herbatę patrząc skyderoze na śnieg za oknem i na nieszczęśliwych przechodniów. Portier w brązowej liberii pilnuje ich szufli opartych o marmurowy frenton.

– I co pan na to? – pytam raptownie.

– Na co?

– Tak w ogóle.

Żebrak przedmuchuje jedną dziurkę w nosie, potem drugą.

– Ja myślę, że tego nęta widomy walkowerem.

– Myśli pan o naszym ostatnim secie?

– W pierwszym secie wzięli mi obie nogi. W szóstym czwartym. Pan jest podejrzliwy i wszyscy są podejrzliwi. Każdy sobie kombinuje, gdzie ten frajer stracił nogi. Może pod tramwajem, może kiedy skoczył z trzeciego piętra, albo po pijaku. A ja, panie, po prostu. W szóstym czwartym. Wtedy byłem najważniejszy, najpiękniejszy, prawie święty. Moje kikuty opłowały poetyczne dziewczyny. Wzniosłem się przez obniżenie. Brak nóg to było jakby cztery nogi. Piękny czas. Ale i teraz jakoś lecę. Tylko już światła nie zmieniamy.

– Ale zasypałe. Można na zawsze? Może nam przeznaczenie tak opakowało na daleką podróż w głąb wszechświata? Chciałby pan pożeglować w nieskończoność?

– Na Pradze żyje jeden siedlą, o którym Bóg i natura zapomnieli na amen. Żyje i żyje bez końca, teraz to się nawet wstydzi tego przeoczenia. W młodości był bednarzem, aktualnie nadaje siedlę, bo kto to wie, co to bednarz.

– Nie, w końcowce nie ma przypadków. Nie narodzić się można przez zbieg okoliczności, ale umrzeć każdy musi.

– Przysięgam Bogu, niech pan pojedzie na Pragę. Wszystko zbudowało się na przypadku. Dlaczego w miliardach podobnych lotów nie ma prawa zdarzyć się jeden wyjątek?

– E, nie chce mi się jeździć. Wracam do kolejki.

Jestem ulepiony z trzech glin. I ten ulepiec – czyli mnie – hartowano później w łagodnym piekle trzech żywiołów. Owe trzy substancje, z których się składam, to pierwiastek polski, pierwiastek litewski, pierwiastek białoruski. A te żywioły, to polskość, rosyjskość i judaizm, albo – śmielej – żydowskość.

Stara sprawa. Wiele jest zakątków w Europie, gdzie zmieszały się, nie stapiając, rozmaite grupy etniczne, różnorodne wspólno-

ty językowe, patrz społeczności obyczajowe i religijne. Ale tam mój zaścianek, moja Wileńszczyzna, wydaje mi się urodziwszy, lepszy, podniośliejszy, bardziej magiczny. Zresztą ja sam, w pocie czoła, pracowałem przy upiększaniu mitu tamtego pogranicza Europy i Azji, prakolebki europejskiej przygody i azjatyckich demonów, kwiecistej doliny dzikiej zgody i przyjaźni ludzkiej.

Dopóty upiększałem, aż wierzyłem w wyidealizowaną krainę, gdzie miłość była intensywniejsza niż gdzie indziej, gdzie kwiaty były większe niż na innych ziemiach, gdzie ludzie byli bardziej ludzcy niż na całym świecie.

A przecież tamta enklawa nie mogła się różnić wiele od innych enklaw, na które podzieliło się stare gniazdo ludzkości, oświecona Europa. Te egzotyczne środowiska narodowe i religijne żyły razem na niewielkim skrawku ziemi, ale nie darzyły się ewangieliczną miłością. Zawsze i wszędzie zatajałem wstydliwie owe konflikty, animozje, nienawiści, w których uczestniczyłem i których najdotkliwiej się wstydziłem. Dlatego później, władając już jako tako piórem, kanizywałem naszą wspólną i niespełnioną dolę na wątłą nić solidarności ludzkiej, przyjaźni, magiczności pospólnego przeznaczenia.

Był taki dzień, albo taka chwila, już na samym początku mojej kariery literackiej, kiedy powiedziałem sobie, że będę przestrzegał ściśle tylko jednego przykazania: nie użyj słowa swego przeciw obcemu plemieńcowi. Nie użyj metafory, paraboli emocjonalnej, tendencji moralnej przeciwko innemu człowiekowi innej religii, innego języka. Więc grzeszyłem przeciwko swoim, ale nie grzeszyłem przeciwko obcym.

Wystarowałem się z pieszczotliwością w stronę uniwersalizmu, rzecz jasna w stronę uniwersalizmu ogólnoludzkiego, uważałem siebie za starannie zakonspirowanego kosmopolitę, za świętości własnego narodu wyrzekłem się chytrkiem na śmietnik, za przesądy opoki wiary narodowych czy religijny oddał na przemiał do wiecznego młyna historii.

Z pełnym zgrozy zdumieniem przerzucałem pewien pacrioty-czne swoich kolegów albo nie kolegów, z politowaniem kartkowałem dziełka traktujące o uświęconej martyrologii własnego narodu, z wyniosłą przyganą przypatrywałem się spazmom nienawiści albo wręcz nienawiści literackich wobec innych nacji. Ja żeglowałem wysoko. W wysterylizowanej aurze uniwersalnego obiektywizmu. Ja obcowałem z człowiekiem, z homo sapiens, i tylko jego

duszą, duszą gatunku rządzącego całą ziemią mnie obchodziła oraz darzyła natchnieniem.

Któregoś dnia, albo którejś chwili przeczytałem pierwszą recenzję, co mnie nazwała literatem polskim, zatopionym w polskości, ograniczonym przez polski zaścianek. Roześmiałem się szczerze i serdecznie nad tym oczywistym nieporozumieniem. Mnie były obojętne - z powodów zasadniczych - uwarunkowania emocjonalne, moralne czy intelektualne ludzi ze zburzonych miast nad Wisłą. Ja pochodziłem z kosmopolitycznego Edamu, z zatopionej Atlantydy pramarodu, prajęzyka, prareligii.

Później przestałem się śmiać. Owa polskość zjawiła się już we wszystkich krytykach. Owa polskość zaczęła się obrastać przesadnie nieszczęsnemu autorowi. Przez tę polskość niechcianą stawałem się już niezrozumiały, monotonny, ixytujący. Zacząłem ją zwalczać w sobie profilaktycznie, zacząłem się jej wstydzić i bać, choć przecie nigdy jej nie używałem, nie dotykałem, nawet myślą nie liznąłem. Była dla mnie najgrzeszniejszym tabu. To prawda, kreowałem z jakichś realiów, portretowałem zapamiętaną przyrodę: te drzewa, zioła i mchy, co rosną również w Belgii albo Kanadzie, zapisywałem insydenty wojenne, które mogły się zdarzyć we Włoszech czy w Norwegii, konstatowałem dewiacje psychiczne lub moralne właściwe także dla Niemców i Amerykanów.

Jak to się stało, że jestem autorem polskich książek, złych czy dobrych ale polskich? Dlaczego przyjąłem rolę, której przed wiekami się wyrzekłem? Kto mnie, Europejczyka, nie, obywatela świata, kto mnie esperantystę, kosmopolitę, agenta obcego mocarstwa Uniwersalności Losów, kto mnie przemienił, jak w złej bajce, w zacietrzewionego, ciemnego, wściekłego Polaczka?

W salonie jubilerskim leniwy spokój. Koło studenta i anarchisty uformowała się niewielka grupka kibiców.

- Im się tam na Zachodzie odechciało - tłumaczy student. - Zmęczyli się kryzysem. A on życie poświęcił rewolucji.

- Jakiej rewolucji? - pyta Grzesio.

- Jak to jakiej? W ogóle rewolucji. Gdzie by się nie zdarzyła. Wobec tego przyjechał do nas.

- To znaczy, że u nas będzie rewolucja? - podchwytuje Grzesio.

- Dobry zek - uśmiecha się Duszek. - Dobrze zakuje. Wybije się w tym fachu.

- Ja nie powiedziałem, że będzie.

– To co pan powiedział?

– Mogłem na przykład pewnie zdziwić, że u nas trwa rewolucja.

Grzesio namyśla się długo. Wyjął grzebyk z kieszeni dżinsowej i przeczesuje obfite falujące włosy.

– Coś pan kręci.

– Mnie się też wydaje podejrzane, że przyjechał do nas i wałęsa się po tym zimnie – dodaje pani w za dużym przyedziewku.

– A co, wy też biegacie po pierdolonki? – łapie wątek Grzesio. Jaun potrzebny sygnet do rewolucji?

– My trzymamy ogonek dla takiego jasnego romantyka.

– Za ile?

– Za dwie stówy.

– Tanio.

– U nas ceny nie wygórowane.

Pan Daszek z upodobaniem przysłuchuje się tej szermierce słownej. Kibicował z nawyku Grzesiowi, ale w końcu sympatię jego zyskuje chudy, przemarznięty student.

– Dobry jest, ma alibi.

Na parapecie pod oknem wystawowym uformowało się jeziorko wody z topniejącego szronu grubą warstwą lodu. Iwona bierze grubą świecę i kapie stearyną do tego płytkiego stawu. Przygląda się zastygłym w zimnie białym figurkom z krwistymi śladami farby.

Podchodzi właścicielka pachnąca dyskretnie perfumami Diora.

– Może jeszcze po jednym? – pyta.

– Nie odmówimy – kłania się Kejran.

– Ja bym zrezygnował. Nieszczególnie się czuję.

– Ty jeden źle się czujesz. A my co?

– On, proszę pani, jest artystą. Jego zdrowie potrzebne społeczeństwu – potępowiada Daszek.

– Ja też byłam kiedyś artystką – wzdycha właścicielka. – A dziś prowadzę farmę hodowlaną. Wypijmy za sztukę i kulturę.

Odbieram chłodny kieliszek podróżny wypełniony szkockim alkoholem.

– Wypijmy za hodowlę – rzuca zrezygnowany.

– A po co ty jedziesz do Kalisza? – pyta zaniepokojona Kejran.

– Na proces. Na swój proces.

Kejran gwiżdże cicho z podziwem.

– Kto się podał do sądu? Dawni koledzy, których zdradziłeś, czy instytucje, które się na tobie zawiodły?

– Taki jeden nieznany człowiek. Ubrdał sobie, że całe życie w redakcji ze swoich książek opisuję jego los.

– Oszczerczo opisujesz jego los?

– Tak on utrzerdzi.

– A naprawdę opisujesz swój los?

– Kojran, ty wszystko wiesz. Całe szczęście, że jutro polecisz na zawsze do Ameryki.

– Wszyscy nie polecą. W końcu ktoś zostanie, kto o tobie wszystko wie.

Brzęczą drzwi. Ktoś szamocze się z kryształową szybą omszałą śnieżnym puchem. Wreszcie puszczają te odrzwia przy twórze jednostajnego zgrzytu. Do wnętrza salonu wpycha się gromada ludzi w futrzanych ozapach. Obstukują buty ze śniegu, kaszlą, siąkają nosami. Prowadzi ich energiczna jejmość w obcisłych spodniach na kolosalny zadzie i w króciutkim kożuszku jak kamizelka. Skupiają się przy czole kolejki, przy tym nowralgicznym punkcie obolałego ogonka.

– Co to jest? My czekamy od rana! – podnosi krzyk ta stara kobieta, która na początku skorzystała z uprzejmości studenta. Dopiero teraz widać, że nie jest taka stara, że od pewnego czasu adorują ją jeden z budowlanych.

Nowo przybyli nic nie mówią, w milczeniu prą do lady niszcząc głuchemi. Tylko gęste kosmyki pary lecące z ich ust świadczą, że są zdenerwowani.

– Hola! – woła Kojran. – Pani kierowniczko, co to znaczy? Lepsi goście? Nie mają czasu, żeby poczekać?

Kierowniczka przerywa poufną konferencję z przywódczynią nowych klientów. Spogląda na Kojrana wyniośle.

– Dobrze pan zgadł. To lepsi goście. To nasi goście ze Związku Radzieckiego.

– Nie obowiązuje ich kolejka? – wrzasnął? Grzmie i zmyka zmienić miejsce, żeby nie rozpoznano, kto krzyczał.

– Nie obowiązuje – beznamiętnie odpowiada kierowniczka. – Uprzedzam, jeśli nadejdą przed zamknięciem sklepu pierścionki i obrączki, ci państwo, znaczy turyści, będą mogli zrobić zakupy poza kolejnością.

Zamiast wymysłów i protestów, zamiast rozpaczy i gniewu nieoczekiwanie tłum tubylców popada w rapłowną depresję. Robi się cicho. Komuś strasznie kruczy w brzuchu. Od nowoprzybyłych podpływa lekki zapach słynnych perfum "Podmoskownyje wieczera".

– Zapaliła się pierwsza gwiazda – powiada cicho Iwona.

– Biegniemy do okna, chuchamy na szybę, przecieramy ją ręka-

wiązkami.

– Jaka gwiazdka? Gdzie gwiazdka?

– Tam, nad dachem, koło anteny telewizyjnej – Iwona wskazuje różowym, cienkim palcem.

– To samolot schodzi do lądowania – powiada Kojram.

– Samolot ląduje podczas burzy śnieżnej? Coś ty? – zaprzecza pan Duszek. – To złudzenie optyczne. Dziś gwiazdy nie zobaczymy. Przekłamiemy się opłatkiem na czuja.

Przyglądam się Iwonie, która stoi tuż obok zwrócona do mnie profilem. Nigdy takie dziewczyny mi się nie podobały, a ta się podoba. Ciemne, prawie czarne włosy ze skłonnością do undulacji "afro", wypukłe piwne oczy, wypukło jasno różowe usta i cera, która miała zamiar być śniadą a poprzestała na bladości ciepłej śladem rumieńców. Ta dziewczyna mi się podoba. Mam ochotę ująć ją za przegub kruchej ręki, a w tej chęci jest czułość i nieśmiały przebłysk pożądania. Ta dziewczyna mi się bardzo podoba, choć nigdy jej nie ujmę za przegub ręki, jak nie dotknę nigdy tych tysięcy dziewcząt osiemnastoletnich, dwudziestoletnich, które spotykam codziennie na ulicy. One idą drugim brzegiem. One płyną tą samą rzeką, ale jeszcze są przy źródłach. Los przeznaczył je dla młodych samców oddalonych ode mnie o kilka generacji.

Iwona odwraca twarz w moją stronę. Patrzy na mnie, a ja opuszczam wzrok. To jest dziewczyna z majestatem dojrzałej kobiety. Pamiętam takie sprzed wojny, z dawno zapomnianej ery królewskich kobiet i męskich mężczyzn. To nie jest stara dziewczynka w dżinsowych spodenkach. To ociężała kobiecością moja dwudziestoletnia rówieśnica.

– Dzień dobry – powiadam.

– Dzień dobry – uśmiecha się, a mnie serce zatrzymuje się na moment w biegu.

– Dawnośmy się nie widzieli.

– Pan mnie nie chciał widzieć.

– To niemożliwe, choć jestem krótkowidzem.

– Panu się podobają blondynki.

– Mnie się zawsze wszystkie podobały. Nigdy nie byłem uprzedzony.

– Jak się czuje kot Iwan?

– Zna pani mego kota?

– Coś o nim słyszałam.

Na ulicy rzednie zadymka. Widać domy po drugiej stronie. Na

balkonach wiszą zwłoki zajęcy przyprószone świeżym śniegiem. Od strony rondа nadchodzi wysoka, szczupła kobieta. Patrzę na nią przez mokrą szybę i czuję, że coś jest nie w porządku. W tym zamaszystym kroku, w tym odchylaniu głowy do tyłu, w tej smukłości zadziwiającej domyślam się przerażającej, tragicznej nienormalności. Na moment przesłania ją fragment ramy okiennej. W napięciu czekam, kiedy znowu się ukaże. Iwona, która zaczęła coś pisać palcem na zimnym szkle, również czeka. Wreszcie ta nieznana kobieta pokazuje się znowu. Kroczy środkiem trotuaru. Przechodnie mijają ją obojętnie, ale zaraz stają zdumieni w miejscu, odwracają się, prowadzą ją wzrokiem przez te kopki jeszcze suchy śnieg. Dopiero teraz widzę, że kobieta, albo raczej dziewczyna, idzie nieobuta, krokiem w długi do kostek perkalowym szlafroku w wielkie chryzantemy, za dwoma palcami unosi poły tego szlafroka jak rąbek balowej sukni i pod połą chryzantemowego szlafroka mami się różowa jedwabna koszula nocna, a potem nagle spostrzegam grzęznące w śniegu nagie stopy, grzęznące jak w piasku plaży, a potem, wstrząśnięty, spostrzegam odrzuconą do tyłu jasną głowę z twarzą młodą, dziewczęcą ale jakby napiętnowaną szaleństwem, z twarzą objętą ostatecznym postanowieniem, z twarzą wpiera lub zmartwychwstającej nieboszczki, z twarzą, która śni się w straszne księżycowe noce.

Boso kobieta w szlafroku mija salon jubilerski. Patrzy przed siebie i w górę, jakby w daleką perspektywę Pragi, jakby w tę ogromną przestrzeń, z której lecą wschodnie lodowate wiatry. Potem znika za framugą wystawy. Zostają tylko ślady bosych stóp i śniegowy pejzaż zamierającego miasta w wigilijny wieczór.

– Wie pani, jestem skrępowany naszą rozmową.

– A co pana krępuje?

– Banalność. Banalność nieprzyzwoitości.

– Myśli pan o moim i swoim wieku?

– Ciągle teraz myślę o tym czarnym trenie czasu, który pozostawia.

– Ja nie odczuwam różnicy.

– Ja także nie odczuwam, ale wiem. To gorzej.

– Na jaki sąd pan czeka?

– Na ze zrozumienia. Na taki sąd czekają ludzie od tysięcy lat.

– Ma pan nadzieję, że zrozumie pan pierwszy.

Tak, mam taką nadzieję, która może się jednak nie spełnić.

ale żyję nią ostatnio, tylko ona mnie absorbuje. Zdarzają mi się takie chwile, jakby się zaczynał proces zrozumienia, jakbym łapał za pierwsze ogniwo, niczym za pierwsze piętro można, lecz za moment ten płomyk gaśnie zamroczony przez nielogiczność, przez ratynę życia, przez ziemskość i od nowa rozpoczynam proces przygotowawczy do zrozumienia, rozpoczynam medytację, przepoczynam koncentrację wszystkich sił umysłowych i wysiłkiem na ten cel oddalonym, o którym wspominają ci wielcy, co umarli i zostali przez lekarzy przywróceni życiu. Ale oni nie umieją sformułować swoich wrażeń w uogólniającą całość, w wniosek ostateczny, w akt strzelisty nowej wiary, albo nowej świadomości. Ja bym to potrafił, jestem na to przygotowany od lat, wysiłkiem na ową eksplozję z każdej godziny dnia i nocy, z każdej godziny dobrej i złej, z każdej godziny, która wybije całej Drezno Wiecznej albo jest tylko złudzeniem.

– A gdybym ja pana poprosiła? Gdybym przekazała panu wzór, który pan sobie sam rozszyfruje i objaśni?

– Pani tu przesadza do szwarcu, a później idzie do wieczorowego technikum budowlanego. Wiele żadnych dziewcząt z dobrych domów zarwało kiedyś naukę i teraz pracują w biurach jako geniusze albo pomoce w sekretariacie, żeby mieć prawo do wieczorowych lisców, matury, tego kwitka, co daje możność skończenia studiów. Mama pani kapitalna nudny, ojciec gość, tato odłożył na wycieczkę do Bułgarii w razie pomyślnego egzaminu, babcia modli się o wieczór, żeby panią nie spotkała złe przygoda.

Iwona uśmiecha się i ściera dłonią z okna napaczony nieregulin, albo wzór fizyczny.

– Skończyłam liceum dziennie, po czterech przepisowych latach zrobiłam magisterium. Babcia nie modli się, żeby nie spotkała mnie zła przygoda. Jestem stara, proszę pana.

Turyści radzieccy zaczepiają mężczyzn z kolejki luksusowymi papierosami radzieckimi. Zmęczeni kilometrami przestępują z nogi na nogę, moczą w błocie pokrywającym ulicę asfaltową podłogę.

– Jak pani myśli: dlaczego ta dziewczyna tuż przed wigilią szła w szlafroku i boso przez zawieję?

– Musiała coś przeżyć, czego nie można przeżyć.

– Nikt jej nie odmówił się zatrzymać.

– My też odczuliśmy zniewolenie, nabożny strach przed ostatecznością.

Podchodzi Kajtan niesie wytwornie w dwóch palcach radziecki papieros z filtrem.

– Widzisz, pamiętam o tobie – rzecze do mnie strzelając przekrwionym okiem ku Iwonie. – A może i pani zapali?

– Dziękuję. Nie palę – Iwona odchodzi za ladę, palcem wygładza krawędź świecy, żeby nie ścieknął stearyna.

– Namotałeś dziewczynę? – pyta Kajtek.

– Słabe. Od złej strony chyba zaszedłem.

– W twoich księgach też słabe pod tym względem. Jakieś ślamazarne i niezbyt prawdziwe. Więcej trucia niż erotyki. Czy ty w takich okazjach naprawdę przypominasz sobie wojnę, albo męczysz się z trudnościami wzwodu?

– Trochę męczę się, ale nie wspominam wojny. Jeśli wspominam, to wiele innych rzeczy. Jak przed śmiercią.

– Uch, ty jesteś fałszywy.

Przypala mi rządzieckiego papierosa. W chwiejnym świetle zapałki widzę jego ręce, jakieś czyste, ale zarazem trochę brudne, ręce człowieka, który o świcie wychodzi z domu i późno wraca. U nasady kciuka, na wierzchu dłoni, najeżyły siny, napuszczony prochem werset: honor i ojczyzna. Napis wytatuowany w młodości, który rozróżł się razem z dłonią i zwietrzał razem ze skórą.

– A kiedy ty jedziesz do Kalisza?

– Zaraz po świętach. Narazie mam dwa darowane dni.

– Widziałeś tego człowieka, który wytacza ci proces?

– Nie, nie widziałem. Ale stale czuję jego obecność. Nawet teraz, w tej chwili. Rozmawiam z Iwoną, z tobą, z panem Danielem, a szczęściu siedzę obok z tym człowiekiem, który zasypuje mnie listami, nowelami będącymi filozoficzną odpowiedzią na moją filozofię, pogróżkami przez dalekich znajomych, osacza mnie swoją agresywną obecnością, zapiekłą nienawiścią, matczyną tęsknotą. On jest silny, bo żyje tylko ideą zniszczenia mnie, a to zniszczenie nie jest zniszczeniem jakiegoś pojedyńczego człowieka, siwego blondyna średniego wzrostu legitymującego się dowodem osobistym numer SJ 6311687, to zniszczenie jest wygładą jakiegoś wpisu, jakiejś wrogiej abstrakcji, jakiegoś zbiegu atomów w ogólnym bezsensie. On wyrzekł się we wczesnych pokusy, może nawet rozwiódł się z żoną, je tylko korzonki, pije wodę z kranu i żyje nadprzyrodzonym pragnieniem rozsypania mnie na proch i rozsypania tego prochu w górnych warstwach atmosfery. Jestem z nim teraz połączony przerażającymi więzami aż do mojej śmierci albo do jego śmierci. Ten proces to pierwszy przystanek w naszej wspólnej Golgocie.

- Chwała Bogu, że nie mamy większych zmartwień.

- To jest największe zmartwienie. Cudza bioenergia bombardująca przez całą dobę, nawet we śnie, nawet w snach.

Zapala się światło elektryczne. Salon jubilerski staje się znowu wytwornym bastionem europejskim; kierowniczka gasi świece, zadymiając poślinionymi palcami rozżarzone knoty. Znowu słychać dobrą kolendę grany przez aliszną orkiestrę.

- Wracamy do ogonka - decyduje Kajran. - Jeśli natura dała ci jakie zdolności, to nie na nihilizm i rozmamłanie. Pisz, kurwa, ku pokrzepieniu serc.

- Masz rację. Dobrze byłoby pokrzepić. Ale wszystko mi się jakoś splątało. Wszystkie obowiązki, powinności, prawa i konwencje. Nie wiem, jak zacząć.

Stajemy na naszych miejscach w szarej kałuży, która odbija złociste blaski kryształowych żyrandoli. Ta starszawa, która okazała się niestara, i którą zmobilizuje bodźce, walczy z matką miotaną na wszystkie strony przez olbrzymiego karpia, co kona od wielu godzin i nie może skonać.

- On mówi - rzecze student niestrudzenie objaśniając swego zarobionego, że w Polsce jest coś. Jakiś geniusz. Jakaś siła. Wielkiego niepokoju. On oglądał polskie filmy, zna polską szkołę.

- Wiele bezstronnych ludzi zachwyca się naszym krajem - powiada pani w obszernej pelerynie.

Dole i niedole narodów przypominają często dole i niedole poszczególnych ludzi, zwykłych ludzi z tłumu, z codziennej, nieefektownej egzystencji. Są narody z fartem, z łutem szczęścia, robiące zawrotną karierę i są narody pechowcy, nieudacznicy, łazarze. Są narody, którym idzie karta do pewnego momentu, a potem nagle los się odwraca i zaczyna się gwałtowne marnowanie dorobku aż do ostatniego grosza, a są również takie, którym przeznaczenie odmierza za każdą epokę skromną miarkę nieefektownego powodzenia. Są narody chciwe i pazerne, co pewnego dnia stają się groźne i bierne, są także narody lekkomyślne i niefrasobliwe, co nagle nazą się myśleć i przewidywać. Są narody podłe i sprzedajne, które historia czyni nagle bohaterskimi i szlachetnymi, są narody ospałe, rzetelne, które w złej chwili zabłądzą na złą drogę uprawiając lichwę, szantaż i sfrustrowicielstwo.

Zaczytuję się historią. Śledzę życie narodów i pojedyńczych ludzi. Brnę przez naszą polską historię tam i z powrotem, tędy i

wady. To ulegam wzruszeniom oraz lewitacjom podniosłym, to spadam na samo dno upokorzeń i rozpaczy. Wtedy sięgam po surrealną witaminę mamej mistrzyni, Rosji. Ta miała fart i niewątpliwą pasję. Carowie wyrzynali swój własny naród, stanowili najgłupsze, najśmieszniejsze prawa, plątali się w najbardziej ryzykowne wojny, wytyczali nierealne cele polityczne i głupio rzadko obracało się w mądre, reakcyjne w postępowe, klęska odmieniała się w zwycięstwo. Jeden z największych carów, Piotr I, już przegrał wojnę z Turkami, już niedaleko od niewoli w Wielkiego Wezyra i w tym najniebezpieczniejszym momencie dla siebie i państwa wpada na pomysł zwykłej łapówki, marnego bakszysza podawanego z ręki do ręki, napiwku, jakim częstujemy hydraulika lub dozorcę. Wielki Wezyr przyjmuje łapówkę, uwalnia Piotra, historia natychmiast głaszcze po głowie rosyjskiego olbrzyma, karta się natychmiast odwraca, Rosja wstępuje na następny szczebel mocarstwowej potęgi. Zwykła łapówka, kupa monet, decyduje o losie gigantycznego państwa. Oto dobroduszny żart historii.

Cały układ społeczny, ekonomiczny, cywilizacyjny powinien prowadzić, popychać, strącać w przepaść zagłady i niebytu państwo rosyjskie. Ciemny, okrutny despotyzm, zniszczenie wyższych sfer, nędza ludu, samowola głupich i sprzedajnych urzędników, niewiarygodna indolencja władzy, najreakcyjniejsze prawa i obyczaje, barbarzyństwo w stosunkach między ludźmi - to wszystko miast zatopić państwo w haniebnej anarchii, miast zdemolować strukturę państwową, miast wykorzenić naród rosyjski ze współczesnej rzeczywistości, to wszystko niezależnie wzmocniło potęgę dawnej Rosji, jej supremację, jej wielkość śród narodów starego kontynentu.

U nas mizerność wykształconych monarchów, energia rozumnych ministrów, dobra wola obywateli, hołdowanie wszystkim ideom ludzkości, u nas te wszystkie pozytywne, przykładowe, szlachetne wartości dewastowały się znienacka. Kurwiły mi z tego mi z owego i jak kamień młyński ciągnęły na dno szczególnego trupa Rzeczypospolitej Obojga Narodów.

My dobrze wiemy co i dlaczego. Nasi historiozofowie opukali dokładnie kręgosłup naszej historii, wydobyli na jaw wszelkie wady, wady i zwyrodnienia. My wiemy, że nas zgubiła złota wolność. Dzikie, zwariowane przywiązanie do swobód pojedynczego obywatela, do autonomii i niepodległości szlachcica. Nasza siła biła z tej rozpasanej wolności. Nasza siła gołgota z tej nieokiełznanej utopii indywidualizmu. Nasza siła niepewność jutra z tej nieu-

śmiesznej inklinacji do rozpasanego, niczym nieskrępowanego "ja" przeciwstawionego "nam", "wam" oraz "im".

Jak złym uczniem, jak osłem z ostatniej ławki, jak chuliganem podwórkowym stawiają nam za przykład wredni mędrcy historiozofii naszych wzorowych sąsiadów, którzy zamiast pławić się w wolności, czynić z wolności bóstwo i religię, budowali silne despotyczne państwa, organizmy oparte o tyranię, o zajadłą przewagę państwa nad bezbronną jednostką, o kult miażdżenia pojedyńczego człowieka w imię ludobójczych celów molochów mocarstwowych. Naszą historią zazdrości sąsiadom uczonych głów, państwowego bezprawia i ostatecznego zniewolenia istoty myślącej, zwanej przez biologów, braci historyków, homo sapiens.

A do diabła z tą niespełnioną karierą despotów i tyranów. A do diabła z tą niezrealizowaną rolą żandarma Europy. A do diabła z tym miedzianym powołaniem na kata pojedyńczych bezbronnych ludzi i całych bezsilnych narodów.

Czy mamy się wstydzić umiłowania wolności? Choćby to była wolność głupia, wariacka, totalna, anarchiczna, zaściankowa, choćby to była wolność wiodąca do zguby.

Wiem, wiem. Znam doskonale te zkrwawione przykłady zdziczałej wolności, z której wynikły całe łańcuchy nieszczęść i tragedii narodowych, widzę ogrom zła, co się zrodziło z sarmackiej, szlacheckiej, samolubnej, nihilistycznej, bezmyślnej, sobiepańskiej, egoistycznej wolności polskiej. Ale gdybyśmy byli nawet zdyscyplinowanym, karnym, mrówczym społeczeństwem rodzaju anglosaskiego, czyż zachłanny despotyzm nas by oszczędził, czyż agresywny totalitaryzm sąsiadów nie podwiartowałby naszego trupa na kawałki? Bo szlachetność ulegnie zawsze nikczemności, bo cnota padnie do stóp zbrodni, bo wolność zginie z rąk niewoli. Choć można również powiedzieć, że prawość pokona grzech, że dobro zwycięży zło, że wolność zatriumfuje nad niewolą. Ale pamiętajmy, że dobro jest wolne jak obłok na niebie, a zło jest szybkie jak piorun.

Z zaplecza wychodzi sprzątaczka z wiadrem, miotłą i czarną ścierką. Obojętna na luksus salonu, na układy w kolejce oraz na nasze buty, zaczyna zgarniać błoto i przenosić je w ścierce do wiadra. Ustępujemy z drogi dyskretnie wycierając spryskane negatywoscopem. Nikt nie ma śmiałości zwrócić jej uwagę na bezwzględną ryzykowność funkcjonowania ścierki.

- Polak jak dać mu wolność, to wszystkich przeskoczy - odzywa się pan Duszek i natychmiast milknie speszony nagłą ciszą, jaką kwituje ogonek jego maksymę.

– Nie przywiozą towaru – odzywa się wreszcie Grzesio.

– Wygląda na to, że nie przywiozą – popiera go wieśniaczka pachnąca Dioremem. – Może komuś zimne?

Wskazuje lakierowanym w kolorze pistacjowym paluszkiem swoje srebrne kieliszeczki. Kajran spuszcza dyskretnie niedopałek w kupkę błota i zadeptuje kamaszkiem, odrzutem z eksportu.

– Jeśli Sowieci czekają, to na pewno towar będzie.

A turyści radzieccy rzeczywiście rozgościli się w salonie na dobre. Zbici w karby tłumek drzemią, albo rozglądają się leniwie po rokokowym wystroju ścian oraz sufitu. Tylko jeden z nich patrzy z uporem na mnie. Patrzy i uśmiecha się poszczególnie jakimś znanym mi dobrze uśmiechem. Ale i twarz jego skądś pamiętam, przypominam sobie te szare oczy krótkowidza, grubawy nos i wąziutkie usta o barwie wiosennej dżdżownicy. Śmieje się do mnie, kiwa palcem trochę prostacko, a trochę familiarnie. Rozglądam się ostrożnie, czy nie spostrzegł kogoś innego. Nie, moi współtowarzysze gonkowi gapią się bezmyślnie w kryształową ladę. Ten Rosjanin mnie ma na uwadze, do mnie się uśmiecha i mnie wabi ciężką, spracowaną ręką.

Więc podchodzę nieśmiało i on mi rusza na spotkanie.

– Tadźka? Konwicki? – pyta. – Syn Jadwigi?

– A ty Kaziuk? Syn Konstantego?

– No tak. No i spotkali się. Oto zdarzenie.

Obejmujemy się, całujemy w policzki kilka razy. On wonieje wytonicm samochodzikową, moja baranim kożuchem, ja zapewne piwem do golenia "Green Wather".

– Patrzaj, na końcu życia popadli na siebie – dziwi się Kaziuk i uśmiecha się serdecznie, tak ufnie, tak radośnie, jak tylko u nas uśmiechali się zdawkowo szczerzy ludzie.

– Myśmy się nigdy w życiu nie widzieli, prawda? Znałem tylko twoją siostrę Alinę z jakichś wakacji?

– Znali my siebie tylko ze słyszenia. Ale ja ciebie zaraz poznał. Zawsze mówili wszyscy, że my podobne jak dwie kapli.

– Poczekaj, myśmy mieli wspólną babkę?

– Tak, babka była wspólna, ale i siostra moje ojca wyszła za twego wuja. A stryjenki Malinky pierwszy mąż był chrzestny twojej matki. Znowu twoja matka, mówiony się Jadwiga, została szwagierką cioteczną siostry mojej mamy. To dwa brasia, co żyli koło Nowogródka, to pożenili się z córkami siostry twojej matki, znaczy się Jadwigi.

– Poczekaj, nic nie rozumiem. Ale pamiętam ciebie z opowieś-

ci. Ty wpadłaś z dzieckiem i nabiłeś kogutas?

– Tak, u nas wszystkie spłatane. My nasze nigdy nie rozbierali się w powinowactwach. Ale w pokrewieństwach tak.

– To ja jestem twój krewny?

– Koniecznie. I my podobne jak dwie krople.

– Gdzie by żyjesz teraz, Kazuk?

– U siebie. Niedaleko Osamiany. A ty gdzie żyjesz?

– Tutaj, w Warszawie.

– Też można żyć – zgadza się Kazimk.

Sopę barankowej papachy spada na szeroki spodeny, siwawy kędzior włosów. Na brodzie przylepiony okrawek bibułki papierosowej podeszły krwią. Widać Kazimk goli się po dawnemu ostrą brzytwą. Patrzę na jego szaraczkową burkę szytą krojem oszmiańskich sprzed pięćdziesięciu lat. W takiej burce ja kiedyś ruszyłem na wojnę. Ruszyłem podbijać świat.

– Do was jedzie się brzegiem puszczy Rudnickiej.

– Można i tak, aheć to dalej. Ale puszczy Rudnickiej już nie ma.

– Jak to nie ma?

– Nie ma Rudnickiej, nie ma Nalibockiej, nie ma Ruskiej. Wycięli ludzie. U nas teraz Europa.

I właściwie temat się wyczerpał. Patrzymy na siebie uśmiechnięci, ale teraz już uśmiechnięci z przymusem, bo rozsadza nas między szczęk od tego długotrwałego uśmiechu. Więc jeszcze raz biorzemy się w objęcia. Spostrzegam kątem oka na przegubie jego ręki zegarek marki "pobieda" i on, jeśli jest uważny, na moim przegubie również dostrzeże zegarek typu "pobieda".

– Twoja mama, mówią, nie żyje?

– Tak. A twoi rodzice?

– Moi też nie żyją.

– Pracujesz pewnie w kołchozie.

– Tak, brygadzista oniewiał.

– Jak nazywa się wasz kołchoz?

– Jak wszystkie. "Pobieda". A ty pewnie dyrektor?

– Nieznpełnie. Ale daję sobie radę.

– Kołuch kapit Tadzia jak pastuch – zauważa Kazimk ni to z podziwem ni to z naganą.

– Taka u nas moda.

– Pieniędzy nie potrzebuje? Mów otwarcie, bo u mnie czerwońców pełna kieszeń.

– Ja też mam dość. Gdybyś potrzebował...

– Swoje ciężko wydać. Dzieci są, tylko życia nie ma.

Kaziuk śmieje się ze swojego żartu i uderza mnie ciężką ręką w kark.

– Nie bój się. Lubię pożartować. Mnie wolno, bo ja gierej socjalisticzeskawo truda.

– Ohoho, wybiłeś się. Przynajmniej jadam z całej rodziny.

– Bywa. Chcesz zobaczyć – i nie czekając na moją odpowiedź, rozpina bunkę, pokazuje złotą gwiazdkę obok klapy marynarki.

Milkniemy na dłuższą chwilę. Na ulicy buksuje w zaspach tramwaj z pługiem śnieżnym. Oba ogonki, radziecki i polski, przyglądają się nam powściągliwie. A my stoimy pośrodku salonu jubilerskiego, stoimy zmęczeni już tym nieoczekiwanym spotkaniem.

– Masz dzieci? – pyta Kaziuk.

– Mam. Dwie córki. A ty?

– Też mam. Dwóch synów. Młodszy uczy się, a starszy już w wojsku, na Kaukazie służy.

– U ciebie w domu, Kaziuk, nie straszy po nocach? Ja tam często wracam. Wracam w chorobie, albo w depresji, czasem we snach. Przekraczam nielegalnie granicę w czapce niewidce tęsknoty, chodzę po uliczkach dzieciństwa, kąpię się w rzekach młodości, zaglądam do chat pierwszej dorosłości.

– Ty patrzaj, Tadźka, żeby ciebie nie chwycili pogranicznicy, bo obudzisz się w tiurmie – śmieje się Kaziuk. – Może niepotrzebnie wyjeżdżałeś z Wilna?

– I jakie teraz byłoby moje życie?

– Nie myślałem nigdy o tym. Mogłoby być marniej. A ty?

– Ja ciągle myślę o moim życiu i nic nie mogę wymyślić.

– Człowiek stworzony, żeby pracować. Siedzę pod Oszmianą i pilnuję naszej ziemi, naszych lasów, naszego pasierza. Więcej nic nie wiem. Wszystko inne jeranda.

– Jesteś pozytywnym bohaterem.

– Co tov znaczy?

– Pałażytielnyj gierej.

– U nas gierojew mnoga – śmieje się Kaziuk.

Znowu robi mi się duszno i zimno zarazem. Nie przeszywa mnie raptowny ból, nie trzęsą się ręce, nie ciemnieje w oczach, ale czuję, jakbymwolno z uczuciem przykrości zaczynał umierać. Przyglądam się sobie z życzliwym zdumieniem i widzę, jak rodzi się we mnie straszna mroczność, czarna aksamitność podszyta niespodzianym lękiem. Nie odczuwam obezwładniającej słabości lecz chce mi się

położyć na ziemi, kontaktem na zimnej ziemi i przyłożyć policzek do wilgotnego chłodu. Słyszę zgłuszony szum, wszystko oddala się stopniowo jakby widziane przez odwrócone lornetkę, i chcę pożegnać rękę kurczaka za sobą, i chcę też powiedzieć pożegnalnie zabawnego, i chcę nie chcieć.

Na horyzoncie nowa jutrzenka nowej ery. Ludzkość powoli stapia się w jeden nowy naród, w ziemian. Łatwość komunikacji transportowej, komunikacji informacyjnej, komunikacji myśli, obyczaju i kultury, ta łatwość zmniejszyła ogromny dawniej ważności owoc. Kula ziemska stała się kopiną, na której trwamy pełni strachu wobec nieświadomej przyszłości.

Rodzi się jakaś wspólnota biologiczna, wykuwa się zalążek uniwersalnego języka, którym może wyśmienicie, jak sam profesorowie nienawidzący literatury, język obrazków, język hieroglifów plakatowych. Jednoczy się ekonomia i polityka wreszcie obszary aż stanie się ogólnoświatowym sercem naszej sfery. Zuniwersalizowała się sztuka współczesna, nadarty się w wielu miejscach granice państwowe, wreszcie więzi różnych ras i różnych narodów zawiera małżeństwa. Jutro będziemy jednym wielkim braterskim narodem.

Ale dzisiaj, jakby w przewidywaniu zguby, poznanie narzucone, pismienne, czy rozpaczliwie rozszyfrowane, eksplozje, wywołują katastrofalne reakcje. Najmniejsze grupki narodowościowe, najciemniejsze wyspki, najokrutniejsi spadkobiercy dawno wymarłych społeczeństw domagają się wszędzie wolności. Wieżowy zamek, jak stara wyliniała dwukręgowa bezkręgowiec kapitalizm pełznie wobec jakichś archipelagów raf koralowych, wobec smętnych powiatów, wobec zbiorowisk ostatnich stad ludzkich.

Wolność nagle stała się jednym z najwspanialszych zasobów naszej lekko już przechodzonej ziemi. Eksploatacja wolności przechodzi w statystykach eksploatacji zasobów gleby. Przyszedł więc dzień, kiedy wolność stała się naszą przeważną potrzebą. Wolność narodów, korporacji i wolność zwykłego anonimowego człowieka, co zmaga się z marnym życiem, za nią żeni i z kompletnym brakiem odpowiedzialności. Powszechna demokratyzacja udostępnia wszystkim ludziom wszystkie dobra tego świata. Wolność równiutko.

A wy przecież zamknęliśmy gorliwymi zamkniętymi wolności. Wiele natrudziliśmy się w ryzykownym procesie odkrywania i rozpowszechniania tej boskiej wartości. Wiek dziewiętnasty to epoka naszej wielkości i upadku. Sto kilkadziesiąt lat wyliśmy wilczym

głosem o wolności, a wy zatykaliście uszy! Sto lat biegaliśmy z bronią po świecie osłaniając walczących, a wy nas donosiciele policyjnym agentom!

To prawda, w krótkich chwilach wzniosłości podnosiliście nas na rękach jak symbole swobody, ale nazajutrz ekspulsowaliście ze swoich państw sytych i czerwonych wolność w słowie oraz piśmie! Z rzadka całowaliście nasze męczeńskie czółka, lecz częściej opluwaliście, wyszydzaliście i poniżaliście naszą walkę z przemocą, walkę, która nie znała porywania statków z niewinnymi ludźmi, nie znała kidnaperstwa, nie znała demonstracyjnych mordów dokonywanych na dzieciach i kobietach!

Teraz wolność dają jak chleb! Na wielkim bazarze Narodów Zjednoczonych przydziela się wolność każdemu kto zechce! Kolorowi i monochromatyczni, garbaci i prości, głupi i mądrzy wyniosą z Manhattanu wolność garściami, workami, kontenerami! Dajcie i nam, do cholery, powąchać wolności!

—

Obudziłem się w niebie! Jestem w samym środku miękkiego ciepła, w samym sednie łagodności, jestem dziwnie lekki, tak lekki, że chyba pozbawiony ciężaru własnego ciała! Słyszę muzykę pogodną i majestatyczną, którą w niebie Haydn kompenuje na użytek chórów archanielskich! Lekkie różowe światło przesyca parzące powietrze i to światło tak jest rajskie, choć zabarwieniem mogłoby komuś przypominać kolory przedsionka piekieł! A nade mną zawisł trójwymiarowy obraz anielicy znanej wszystkim ze starego malarstwa średniowiecznego! Widzę ciemne włosy o krok od "afro", widzę słodkie wypukłe oczy, widzę trochę odęte usta i widzę łagodność czyi obleczonej w bladą lecz zaraźliwie gorącą skórę!

— Czy chcesz żyć?

— Umiarkowanie, Iwono!

— Nie nazywaj mnie Iwoną! Jeśli wolisz, mogę być Basią!

— Dobrze, pani Iwono! Niech pani będzie Basią! Ale dlaczego Basią?

— To wszystko jedno, a Basia lepiej brzmi. Coś mi skądś przypomina. Więc chcesz żyć?

— Nie za bardzo! Już dosyć długo żyję!

— Nie przesadzaj! Nie widzę na twojej głowie ani jednego siwego włosa!

— No tak, włosy się trochę opóźniły! Ale jeśli idzie o to, co można przeżyć, wszystko zaliczyłem! Nie mam już ciekawości, moja

ciekawość wyczerpała się, a właściwie pozostała niezaspokojona i nic już jej nie zaspokoi.

– A co chciałbyś jeszcze wiedzieć?

– Ciśnie mi się na język to ostatecznie pytanie, tak okropnie banalne, tak nudne i idyotyczne przez fakt, że ciągle nęka każdego indywiduum w całej jego egzystencji, pytanie to nieprzyzwoite w swojej bezradności, pytanie wstydliwe, bo bez odpowiedzi, pytanie, którego nie zadaje ludzie orbitom. I po cichu czekam na nie. Uczestniczę stale na odpowiedź. Łudzę się, że pewnej nocy przyjdzie jakiś obcy wuj, ojciec albo matka, ktoś z przyjaciół albo pewna dziewczyna, co bez pewnej pohańbia samobójstwo, że przyjdzie do mnie upiór i da odpowiedź, na którą tyle lat czekam i chyba między nie doczekam.

– Już mi mówiłeś o tym pytaniu, a ja proponowałem, żeby pełnym rygor do poszyfrowania na długie zimowe wieczory.

– Uchylmy się, że jest pani egzotyczną dziewczyną z egzotycznej galaktyki naszej Drogi Mlecznej, albo z miliona innych egzotycznych Dróg Mlecznych, że ta obca świadomość lub nasza nadświadomość czy nadświadomość ubrane jak w standardową odzież w ziemskie, ludzkie ciało, a wybrano ten zjeżony przyodziewek z pełnym gustem i nosi go pani znakomicie, nienagannie, bez uwagi niczym powiew wiatru kosmicznego albo garść wodorostów z kanionów Marsa.

– Dobrze, uchylmy się, że jestem dla was z innego wymiaru przystrojoną dla twoich oczu i jak słyszę, trafiła mi się ta wyjątkowo zgrabna i ty nie zgadnąłeś zgrabnej świadomości.

– Z tą cielesnością było pewne ryzyko. Gdyby spostrzegła pewna się o odział dalej, straciłaby we mnie klienta.

– Chwała przezornemu na rozwagę. Czy zgodzisz się jednak na to, że wybrałam cię przed paroma tysiącami lat i czekam na tę chwilę, kiedy wasze słońce wejdzie w znak mojego koziorożca, bo wtedy wasza ziemia podobyli się w śmierć do ostatniego milimetra i wszystko z powrotem wpadnie do życia, kiedy by w tej nekrozie kosmicznej zatęsknię do nieznanej przyjemności i zatęsknisz do nieznanej przyjemności.

– Zgadzam się, chociaż to już za dużo. Zamykam oczy, słucham trochę tajemniczych kobiet, ale tylko trochę.

Nie widzę żadnej świadomości. Pamiętam różowawą ciemność. I muzykę pełną głosów dziwnych ptaków albo trichgubów. A ona pachnie ziemskimi ziołami.

Wyciągam do niej dziwnie lekkie ręce. Dziewczyna pochyla się. Czuję jej obłoczy cdech na policzkach. Widzę w jej oczach przyzwolenie, albo raczej ciekawość o wyostrzonym okrucie. Więc unoszę odrobinę swoją lekką głowę, nasze twarze są już tak blisko, że ciepło jej ust dotyka moich warg.

- No i co? - pytam.

- No i nic - odpowiada.

- Zobaczymy, czy aniołowie mają usta.

Całujemy się patrząc sobie w oczy. W jej źrenicach coś się dzieje. Jakby spadała i podniosła się zasłona migawki. Jakby przeniknął strach, ból, albo pamięć zbrodni. Usta jej smakują porzeczkową wiosenną trawą, nie, poznaję ulotną słodycz młodych wiosennej brzozy czy młodego klonu. Nagle słyszę w sobie powstający szum, też chyba szum wiosenny i wiem, że nie jestem jeszcze tak wielki, że boli się we mnie ta ogłuszająca drzazga, którą przyniosłem z dawnych lat. Odgarniam gęsty i trafiam palcami na wyraźnie przegięte żebro skóry gorącą i pulsującą materię. Oko też mi ziemianek wszystkowidzące ma stanika. Obejmuję piersi pełne życia, piersi prawdziwe, piersi w szatyńskich grów, piersi, jakie widywałem kobiety w latach mojej młodości. Piersi zwieńczone pięknymi sutkami, miodowymi kraterami oblanionej kolorowej piersi, co się mogą trafić raz w życiu i daj Boże, żeby nie za późno. A sutki smakują nie trawą, nie sokiem, ale słońcem, lipcowym upałem, dzienną godziną przedwieczorową.

- Przestańże stać warta - wreszcie dziewczyna.

- Sprawdzimy, czy aniołowie mają męskie piersi.

- Nie boisz się śmierci?

- Nie pora myśleć o śmierci.

A ta drżąca przechodni w rozwalisie, która miotały jej [illegible] na wiatrze, kiedy uczyłem się akrobatyki [illegible] Walczę z anielskimi szatami, co brzęczą [illegible] grzechem. Wyzwalam ją z przyzwoitości i ona [illegible] ciała, dojrzałe, realne jak we śnie, albo w [illegible] się stałem, sam nie wiem kiedy, zapalczywe nogi, też chyba [illegible] i młody. Pachnie lub inny męski [illegible] pośród [illegible] jaskółki, jaskółki [illegible] do lotu.

- Przekonajmy się, czy aniołowie są dziewczynami.

- Nie, nie. Tak strasznie wali mi serce.

- Dotknij się do twojego ser[illegible]

Ogarnia nas mrok, czerwona noc zamkniętych powiek. Krótkie zaciemnienie odsłaniające kontakt tętnic, chrapliwe westchnienia i jęki albo mój książkowski krzyk przerywający podniecającą frazę Hayduka. Słyszałem długo tego krzyku, który zastyga w nas nieskończoną chwilę przejmującego szczęścia, albo rozkoszy, co znaczy się być szczęściem. Chłodny pot płynie kaskadami po moim grzbiecie jak krople wiosennego deszczu.

- Powiń się, staruszku - mruczy Basia.

Odkopuje nogami resztkę naszych ubrań i leży bezwstydnie zalana, leży na wznak z rozrzuconymi ramionami, jej dłoń trafiła pod mój kark. Oddycha obficie, ze smakiem. Widzę przed sobą tragiczne wzniesienie jej piersi ze skurczonymi obficie sutkami. Pod białą skórą pulsują prawdziwie niebieskie żyłki, realne, ziemskie przewody układu krążenia. Na jej szyi lśni także różowo wilgoć potu. A mimo wszystko mienia się ona dlatego różowo, ponieważ nad nami kołysze się lampa z gołą żarówką okrytą niedbale przez kogoś czerwoną okładką jakiegoś tygodnika ilustrowanego. Te lampy obrażają się od naszego smaku i powoli zasycha, jak my wszyscy.

- Nie mów do mnie: staruszku. Sam o tym pamiętam paręset razy.

- Przecież jesteś starunkiem. Patrz, jaki masz kark za kołnierz.

- No to jestę zrezygnowany. Musiałażbyś zobaczyć mnie na boisku.

Basia, ta księgowa z anielicą, zlewa ciepło. Przez nozdrza wdycha. spody jej zębów i plombę w trzonowym. To po prostu kobieta, rzeczywista, dorosła, młoda baba. Kładę rękę na jej gorącym brzuchu, a ona nie uchyla się przed tą poufałością. Patrzy na okładkę tygodnika imitującą obraz. Światło żarówki prześwietla litery intrygującego tytułu.

- Ty się wybierz do lekarza, ja ci radzę - odzywa się leniwie.

- Czy coś było nie w porządku?

Zwraca głowę w moją stronę, całuje mnie zdawkowo w skroń.

- Jeśli chodzi o to, to w porządku. Ale przecież nasikałeś mi w oko.

- Niepotrzebnie piłem.

- W pewnym wieku trzeba pilnować serca.

- Znowu wyjeżdżasz z wiekiem?

- Nie obrażaj się, ja lubię starszych panów.

- Do diabła, to coś zdecydowanego, tak z dnia na dzień stać się starszym panem.

- A ile by masz lat?

- Co cię to obchodzi?

kilometrach. Jak wolisz.

– Wolałbym, żeby to była przełęcz górska w Tatrach dzień.

– Lubisz góry?

– Nienawidzę gór. Zasłaniają widok.

– Padło raptem do tyłu, a ten twój kolega nie pozwalał natomiast. On udaje, zgrywa się, biega za lisiądą, przeszczeł mikę za mleka. On by ci jeszcze dołożył.

– Kto? Kajtek?

– Nie, co leci jutro do Ameryki. Na tamtym świat.

– Kajtek. On ma rację. Jestem mu dłużny życie.

– Ty zawsze tak rozmawiasz z kobietami?

– Gubam przed nim do czynienia z kobietami. Owszem, uczuciowi przyjaciółkami.

– Może i my się zaprzyjaźnimy? Będziesz o dziewiętnastej przychodził pod salon, kiedy kończę pracę. W zimie pójdziemy do kina, później pokochamy się w kramie. Latem zaprowadzisz mnie nad jezioro, w lasy wiklin, gdzie śpi ptactwo. Będziesz prawdziwie opowiadał kolegom, że mamy jedną taką brunetkę, która szaleje za tobą, choć jest młodsza o trzydzieści lat. Ja ci będę odkładała delikatesowe towary z kuchni jubilerskiej. Przechodzimy tak kilka lat, aż na przeszkodzie stanie twoje małżeństwo zdrowie, albo moje pokryjomu zamążpójście.

– Po co mi to mówisz?

– Bo wydałeś mi się nudzie. Już dawno się spotrzykam z tymi delikatesami, ozdobami, zupełnie innymi. Kobiety takiego lubią.

– Nie pogę, dziecko. Mam zwyczaj ślubu. Wiesz, co to znaczy.

– Wiem, niestety. Ślub, który można rozwiązać tylko przez Pogrom.

– Zostaję tam kilka, albo plaża nad Wisłą. Jeśli, oczywiście, zechcesz.

– Pewnie nad tą propozycją, chociaż nie ma ważnej ochoty przyjaźnić.

– Nie jest ci zimno?

– Wstydzisz się, że jestem nagi?

– Jestem ciekawy. A wstydzę się, że mam biegu mniej więcej tyle, ile ty.

Na ścianie malowanej w ciemnozielone kolumny przekreślił dni świątecznego tygodnia na zapas. Chciał wrócić do domu w pierwszym dniu powszednim. Jeśli zdążyła.

Pasja jest miękkie nagie ciało w lustrze. Duże, zaokrąglone oczy spoglądają w zadymiony sufit. Całuje te wyblakłe. Chowa

Mam

ść i

jak to j

z?

le

– Wiesz co, może do ciebie zadzwonię? Dobrze?

Z tej czerwonej okładki imitującej skórę filuje cienki, postny dym. Żarówka przepala papier.

– Dobrze.

– Nie. Będziesz czekał na telefon. To ciebie zamęczy.

– Trochę zamęczy. Nawet już nie pytam, skąd mnie tak znasz.

– Wobec tego przyjdę do ciebie. Albo i nie przyjdę.

– Dobrze. Przyjdziesz, albo i nie przyjdziesz. Może ja do ciebie przyjdę albo i nie przyjdę.

– A skąd wiesz, gdzie mnie znaleźć?

– Może w salonie jubilerskim, może pod technikum, a może na ostatniej planecie naszej Drogi Mlecznej.

– Dobrze, Kenwa. Tak do ciebie mówią?

– Tak mówili w młodości, przed kilkoma epokami, nie, raczej przed erami decydującymi o ewolucji ludzkości.

– No to dym zapalić.

Szukam małynarki. Jest, leży wtłoczona w mój kożuch, który zgorszył Kazinka. Mazam kieszenie. W jednej coś szeleści zdradliwie. Pewnie gotówka. Wyciągam do połowy list w rozdartej kopercie ostępiowanej rozrzutnie przez naszą pocztę i nasz skrupulatny urząd celny. W tej kolorowej kopercie spoczywa list od Seweryna P., mego przyjaciela z lat dziecinnych. Widzieliśmy się ostatni raz przed moim domem w Kolonii Wileńskiej, a był to dzień szóstego lipca czterdziestego czwartego i obaj mieliśmy francuskie karabiny bez amunicji i obaj biegliśmy atakować niemiecki pociąg pancerny, co stanął na naszej szczycie wstrzymany powstaniem wileńskim, bo i u nas pod koniec wojny zdarzyło się powstanie, ale nikt o nim nie pamięta, ja także coraz rzadziej pamiętam. Z tym listem od Seweryna P., czyli od Sewka, chodzę już od paru tygodni i nie mogę się z nim rozstać. Stale słyszę na piersi jego zamierający puls. Stale widzę jego ostre kanty jak niejasne wyrzuty sumienia.

– Co się stało? – pyta zaniepokojona Basia. – Boli cię serce?

– Teraz już zawsze będzie boleć.

Drogi kolego z młodości, drogi przyjacielu,

spodziewam się, że mój list dotrze do Ciebie i tylko ta irracjonalna nadzieja usprawiedliwia wysiłek wielu szlachetnych ludzi, którzy uczestniczą w ekspedycji tej przesyłki. Nie znam Twego adresu, więc na kopercie napisałem tylko Twoje nazwisko oraz nazwę

lnego mogłem wybrać, jeśli nie starą liberalną Europę, nie
ją zwaniowaną ojczyznę i nie Ciebie, z którym uczyłem się p
pierwszego papierosa, z którym kochałem się w tej samej dni
czynie, z którym próbowałem walczyć o tę samą wolność, któ
się wszystkim zniewolonym na świecie.

Ucieczkowy w zasadzkę zobligowań moralnych mój bezparty
cydynator zdecydował się, nie bez trwogi, wywieźć ten list
pierwszego wolnego kraju i wrzucić go po kryjomu do pocz
skrzynki. Jeśli więc go nie rozbiorą na lotnisku, jeśli nie
szperają tego zawiłego rękopisu, otrzymasz list z tamtego ś
ta, ale z tamtego świata ziemskiego, co moim zdaniem jest po p
stru skromnym, kiepsko funkcjonującym piekłem.

Zaczarę jednak od początku. Kiedy wojna się skończyła, tr
łem na zachód. /oczywiście zachód Europy/. Próbowałem różn
sposobów życiowych, ale żadna nie zafartowała. Wobec tego zmu
szukać szczęścia na innym kontynencie jak wielu moich podobn
rozbitków. No i znalazłem się w kraju dość sympatycznym, c
wilnej i dramatycznej historii, kraju od niedawna dziesięci
lat wolnym, średnio zamożnym, ale nie biednym, zamieszkałym pr
leżkomyślnych, trochę romantycznych ludzi obdarzonych poczuci
humoru. Jak widzisz, kraj ten mógł mi odrobinę przypominać utr
ną ojczyznę.

Ledwo się ustabilizowałem, aż tu zjawia się nadchodzą
niespodzianka. Pod wpływem nadchodzącego sąsiada z północy do
kuje się zmiana nastroju. Władzę przejmuje junta podrzuconego pr
tego kategorycznego ogłada. A ta junta, przywieziona w kufra
albo raczej w taborach, ze śmiertelną powagą zabiera się do r
dzenia. Ogłasza bardzo zdecydowaną ideologię obowiązującą i n
zwychajnie radykalny program. Krótko mówiąc zniewolenia życia d
tychczasowe i przystępuje do budowy całkowicie nowej egzyste
cji. Zostaje powołana jedyna monopolistyczna partia polityczn
której wiernie nadesłany wódz, początkowo sympatyczny dla społeczeń
stwa, wkrótce niepopularny, ale z biegiem czasu jakby powo
uwięziony się, przekształcony stopniowo w rzeczywistego
propagandzie w rzecz wszechświata, ale po prostu w Boga. Oczywi
ście domyślasz się, że wprowadzenie tej nowej religii polityczn
musiało spowodować pewien wstrząs istnień ludzkich. Przy oka
dowym, bo bardzo powierzchownym zetknięciu z tą agresywną religią, choć Tobie - obywatelowi starej, łagodnej Eur
py - wyda się to dziwaczne i niezrozumiałe.

Jak ci opisać moje życie, mój los, od którego nie mogę odw

em? Ilość najlepiej będzie, jeśli powiem, że nie ma nego życia i nie ma nego losu. Moje życie jest kwiatem z jakiejś dziwnej nawigacji bez smaku i kolorów, a nawet o smaku ostrym, przykrym, który obraca się w goryczy i w kolorach, który jest maszyną bezna- dziejności. A mój los jest ostatnią kropką postawioną przez nudny na stronach sfałszowanych statystyki. Istotą moje cierpienia jest to, że ol rana do kory, a nawet i no dołu, nie mam ni się żyć, przyjąć swoim życiem i mówić o śmierci, ale śmierć własna, osobis- ta, na swoją odpowiedzialność chowaje się dziwnie trudna, trudna chyba przez jakiś idiotyczny kontrast wobec śmierci państwowej, ideologicznej, masowej śmierci ofiarowanej codziennie przez reżym.

Nasza partia, która ma długą i chlubną nazwę, jeszcze pię- knie brzmiącą w agitacyjnym języku, przypomina gigantyczny ślimak, który wszystko zamyka i wszystko wchłania, co się znajdzie w pobliżu grzbietu tego niesamowitego państwa. Mówię ja także przyrów- nać do raka, co to przenosi chorobę każdy bliższy tkanki, komór- kę organizmu narodowego, raka rozrośniętego, raka w tetal- nych przerzutach, raka w komórkowej erekcji. Może i wam w Europie udzielały się, albo udzielają wyobrażenia w funkcjonowaniu państw i w obchodzeniu państw, ale nie będziemy w stanie wyobrazić sobie koszmaru, który przypadł nam w udziale.

Obezwładnia nas narodowa miłość do późniejszego zgonu i miłość do własnej ojczyzny. Ale ta miłość do własnej ojczyzny, ten nasz patriotyzm, jest wartością nikomu dotychczas nieznaną. Jest nowym odczuciem w regionie nazad wiszącego rządu, bliższą znajomością skład- nu, a pierwszą w kolejności naszego patriotyzmu jest bliskość, zupełnie i lekko zboczona miłość do późniejszego zgonu, dopiero jakby do/atkiem, jakby słabą przyprawą, bo/ nie przyzwyczaiłeś do własnego kraju. A więc obie narodowe miłości są w ogólnym nie- chlujku zupełnie do siebie podobne, gdyż w obu kontekstach negatywnych, a dyspozycja kontekstu pozytywnym, chodzi się kurewsko smutno, nieuzasadnionego nastroju.

Za oknem bujają późne lata. Jeszcze zieleni, jeszcze ciepło, jeszcze wesoło, ale już z podpalonym, nieuchwytnym zmie- rzchu. Na korytarzu, w szpitalu reumatycznych chorób, leży od kilku dni umierający ojciec. Obezwładniony krzepliwością, upośledzo- nością krwi podpłomienia albo słowiańskie jakieś zwoje przetestowa- ło. Przed chwilą wyszedł się i kiedy wychodziłem dostałem wiatr pośród. Tamten leży w szpitalnej sali i słucha rozpaczli- wych krzyków obcego, który go mami czyść i pochrząd. Jest wszystko

zacznie wyrywać sobie igłę krepówki z żyły, zacznie demolować t skromne urządzenia, co mają go przywrócić do życia. Dopiero tera u końca swojej drogi, zdobywa się na bunt przeciw niewoli narzu conej człowiekowi przez innych ludzi.

Tak, nasza ideologia jest podobna do religii. Jest właściwi kontynuacją religii. Bo w tym nieszczęsnym kraju rządziły dusza mi ludzkimi przez wieki zdeprawowana religia i sprzedajny kościół Religia na usługach państwa, religia kierowana przez głowę państ wa. A istotą tej religii była zawsze forma, narzędzia, zmitologizowana, zabsolutyzowana forma. A w tej formie najważniejsze był słowo. A słowo nigdy nie stawało się ciałem. Słowo żyło własny nadrzędnym życiem. Życiem magicznym i abstrakcyjnym. Słowo ignorowało rzeczywistość, rozum ludzki oraz instynkty moralne. Słow stało się krwawym tyranem, słowo stało się okrutnym zabobonem bezlitosnym Bogiem.

Nasza wszechwładnicza partia zabiła skompromitowaną religię Ze świętych grzesznych zwłok zdarła jednak szatę formy i amule słowa. Teraz forma i słowo służą partii. Teraz partia bije czoło przed słowem, przed swoją służką. Ale ta służka, to słowo, ją trzyma w dziwnej niewoli partię, która nauczyła się słowa nazy wić posłuszny sobie fetysz. Już partia nagina do słowa swoją or zystanoję, los państwa i obroty gwiazd oraz galaktyk.

Wszyscy żyjemy w dzikiej trwodze przed słowem. Słowo przeraż partię i ministerstwa, słowo budzi lęki generałów i cenzorów słowo straszny w aparatach podsłuchowych i w niekontrolowanych ze stateczniu snach obywatali. A najgorsze jest słowo pisane, słow utrwalone w znakach ortograficznych lub fonetycznych na papierze na taśmie celuloidowej, albo na marmurze. „Dlatego z taką panik kreślę owe zdania ukradkiem w tym mglistym jeziorze bólu i niesz częścia, w tym przybytku sekundowej świadomości przed unicestwieniem

Jak chyba pamiętasz - w gimnazjum naszej wspólnej młodoś byłem najlepszym rysownikiem. Pamiętasz zapewne i to, że pozy łałem swoje rysunki na różne konkursy międzyszkolne i że odsyłan moje prace z obelżywymi listami grożąc powiadomieniem dyrekcj szkoły o dokonanym przeze mnie oszustwie, ponieważ jurorzy ode nieśli moje rysunki jako dzieła dojrzałego artysty i domyślał się, że je ukradłem, albo wyłudziłem tylko po to, by pod swoi nazwiskiem wystąć na konkurs i uzyskać nagrodę. Więc pamiętasz jeśli w ogóle chcesz pamiętać młodość, więc pamiętasz to moj zdolności plastyczne, które przywiozłem ze sobą ze świata i chcia łem z nich uczynić użytek. Lecz i do tej mojej spontaniczności plas

zapędza tę rozregulowaną, na, poły zatartą maszynę? Czyja wola ochroni tam przybyłych oczekujących przed patrzeniem bolącego płomienia?

Nasz rodzaj utrzymuje w agonalnym rzędzie magiczna sugestia późnego mocarstwa. Ta wielka bomba kobaltowa imperialnych aspiracji bombarduje nas w dzień i w nocy, z każdej godziny i w każdej chwili, bilionami atomów zapaści, zarazy, sprzedajności, przekupstwa, nihilizmu, prowokacji, kłamliwości, indyferentyzmu moralnego i totalnej kapitulacji. Nasz rodzaj utrzymujemy w agonalnym rzędzie my sami. Nasza osobista żądza przemocy nad bliźnim oliwi wyszczerbione tryby, popędza transmisyjne pasy, zapala na nowe paleniska. Rodzaj dał swemu gatunkowi zagłady mądrymi, pozwolił łajdakowi opokamarć uczciwych, kazał silnym tarbarować słabych.

Władza! Rozkosz władzy! Magia władzy. Opium władzy. Władać pojedyńczym człowiekiem i grupą społeczną. Władać przedmiotami i duchem nieznanego człowieka. Władać historią i futurologią. Korzyć brać i zaabsorbować się własną wszechmocą. Na każdym szczeblu. W komórce partyjnej, w kombinacie metalurgicznym, w stacji telewizyjnej albo na najwyższym kongresie partyjnym. Dla własnych rozkoszek, animozji, kompleksów uruchamiać aparat państwowy, egzekutywy partyjne, redakcje gazet, policje i wojsko. Lepić codziennie własny pomnik, budować każdej chwili piramidę rozkiełznanej pychy, wyzwać choć raz prawa natury i prawa boskie. Czy to apoteoza samodzierstwa przetrwa jeden dzień po twojej śmierci? Może przetrwa. Może pierwszy raz w dziejach ludzkości przetrwa i będzie budzić podziw oraz zamiast gniewu po wsze czasy.

Rak władzy. Rnek władzy. Otrucie władzy. Otrucie pochłaniające miliony sumień i miliony dusz.

Gęste, przedjesienne słońce ogrzewa niebieskie hasła rozpięte na ścianie szpitala. Hasła pobudzające chorych do walki. Ale chorzy o tej popołudniowej porze wegetują bezwładnie. Śpią rozmarzeni w stanach podgorączkowych, wyzbyci świadomości, nie pomni podałuchu i szpicli, godzą się przez sen antypaństwowe, jeszcze demoralizujące, złowieszcze bluźnierstwa. Partia niby akapitulowała, niby dała im spokój, ale przecież gdzieś tam żarnie swoją bydzią głowę i duma, jakby i tam próg padołu doczesności uczynić progiem prób obywatelskich oraz idealnych.

Wyjdę sobie na korytarz, pójdę aż po hol zwieńczonego dziesiątkiem świetlnych napisów drzwi sklepu operacyjnego. To nasza brama triumfalna, to nasze sanktuarium. Tam odbywa się pierwsze

lanowanie opatrzności. Ale dziś kręcą się robotnicy. Robotnicy specjalni, robotnicy-policjanci. Wynieśli już niepotrzebnych chorych z tego holu, malują ściany, wkręcają nowe żarówki, wzmacniają specjalnymi aparatami ukrytych mia i bomb zegarowych. Bo jutro przyjedzie tu szefunio dyrektoriatu partii, najważniejsza osobistość, choć anonimowa, bo znana tylko z nazwiska wymienianego codziennie kilkadziesiąt razy w gazecie i z jąkania się alyszanego w radio i telewizji. Właśnie to jąkanie się musi być zlikwidowane w tym szpitalu. Nasz nekrochirurg, także wysoko postawiony w partii, otwarty, jutro trzęsącymi się rękami klatkę piersiową kolegi z dyrektoriatu i zamarzy lament sprawdzony przez agentów bezpieczeństwa, lament, który być może przekaże podwiedni nerw i wnętrzu przywódcy poprawne wysławianie się na wiecach i mitingach. To będzie jutro, to stanie się jutro ukryta głęboką tajemnicą, a dziś buzuje ruch cywilny i policyjny, ruch jak przed premierą, ruch jak przed świętem państwowym. I ja biorę świętokradzcze udział w tym ruchu, mnie tu znają jako lekarza, jako faceta, który lubi pomagać pacjentom i personelowi, więc wkłapię sobie po kieszeniach przedziwnej przez wykrywacze min, dotykam lepkich od farb ścian, w których zastępiono przewody, instalacji podsłuchowych, więc oddychem powietrzem, w którym wirują molekuły policyjnej podejrzliwości.

A ostatnie otuchą mogą w tym wąwozie przedśmiertnej rozpaczy, ostatnim błyskiem nagłej nadziei, ostatnim łykiem życiodajnego tlenu jest pamięć o tym kraju, drogi Przyjaciele, o tym kraju, który ubrudziłem na zawsze.

Polsko, matko wszystkich skrzywdzonych i poniżanych - bądź pozdrowiona.

Orędowniczko zniewolonych i pogrzebanych za życia - bądź pozdrowiona.

Pocieszycielko strapionych i błądzących - bądź pozdrowiona.

Opiekunko tych wszystkich, którym wyrwano języki i wykupiono oczy - bądź pozdrowiona.

Wdeptano po morderczych na rozstajnych drogach świata, pohańbiona, ze niczy nie obudzę sumienia ludzkości - bądź pozdrowiona.

Jestem niewolnikiem. Oddano mnie w katorżniczą niewolę. Niewolę z ery kwasu rybonukleinowego, komputerów i współników. Dawni niewolnicy z epok jawnego niewolnictwa mieli dobre życie, im można pozazdrościć. Cóż za fenomenalne kariery! Cóż za cywilny start życiowy! Cóż za wygodna egzystencja czeka na ciężkich rzemieś-

nek! Tamci niewolnicy, których losem straszą nas szkolne podręczniki, tamci nieszczęśliwcy mogli zdobyć zaufanie swego właściciela, waskarbić sobie jego przywiązanie albo nawet miłość, mogli od niego otrzymać majątek, rękę córki lub prawdziwą wolną wolność. Dlaczego opatrzność nie mogła mnie niewolnikiem konsulów rzymskich, dlaczego wyznaczyła mi wegetację raba państwowego, raba partii, raba idiotycznych doktryn społecznych?

Jestem niewolnikiem. Jestem niewolnikiem pozbawionym własnego indywidualnego oblicza. Jestem niewolnikiem niewolniczej zbiorowości. Mój anonimowy właściciel mnie nie zna. Nigdy mnie nie wynagrodzi, nie pokocha, nie uwolni z niewoli. Jestem niewolnikiem ukrytym w przerażających i nie zawsze prawdziwych liczbach statystyk państwowych.

Pozwalają mi pracować, umiarkowanie jeść i krótko odpoczywać, żeby nabrać sił do nowej pracy, w statystykach a i w mentalności moich nieznanych właścicieli liczy się tylko moja fizyczna zdolność do pracy, bo ona służy budowie piramid wielkiej nowoczesnej pychy. Moja zdolność robocza wciąż jest codziennie mierzona, podliczana, oprocentowywana i objawiana w gazetach, w telewizji, w referatach, w wystąpieniach, w afiszach, w opakowaniach towarów, nawet na ścianach zatępów. Budzę czyjeś anonimowe zainteresowanie wyłącznie jako wół roboczy i ja sam powoli zaczynam siebie traktować jako bydlę robocze i ja sam ze zwierzęcą ospałością pracuję i z bydlęcą nachalnością żuję i z animalną regularnością dokonuję przed następnym wysiłkiem. Tak długo mawiano mi kondycję bydlęcia, że stałem się wreszcie bydlęciem. I mogę teraz tylko oczekiwać tyle, ile należy oczekiwać od bydlęcia. Jestem głuchy na słowa, choćby najpiękniejsze, nie odczuwam wyższych uczuć ani pragnień, żeby nie wiem jakie były wzniosłe i nie akceptuję żadnych marzeń, co by mogły obalić partię, rząd i państwo. Jestem bydlęciem, za chodzenia w kierunku dojścia żyć, wypróżnić się oraz kapkę wytchnąć, a jeśli nie, to wierzgnę z obu tylnych nóg i wybiję wszystkie zęby, złote, srebrne i mylenowe.

Ale teraz leżę w szpitalu. W wielkim szpitalu, który jest wariantem naprawczym i więzią. Partia tutaj nie zagląda, albo raczej zagląda niepewnie i bez zwykłej agresywności. Partia w tym gmachu o zakurzonych oknach jest trochę bezradna, chciałaby wrócić się do medycyny, lecz w ostatniej chwili zdejmuje ją strach, bo sama się tą medycyną przed chwilą leczy. Więc chwyci za mordę profesorów na krótki moment i odpuści, zagrzmi sie-

ary miłosierdzia w klasycznie wyuczonych doktryn i znienacka spe-
rację, obudzi całe operacyjne alegatami i zanim je zdążnie w
obawie przed bakterią. Częściej wkrada się to po kryjomu przy-
tąc swoich wiernych synów, którym dź genitrosci spuchła wątroba,
zamiast bielmem oczy, albo którym zalała krew.

Jutro przystąpią do operacji szpanka kyrenteriata. Ale przed-
tem ja wejdę do blaku wyznaczonego przez agentów. Będę gorliwie
pomagał w przygotowaniach. W sycznaiu autoklawów, w brzęczeniu
licznikóu, w metalicznych wentylacjach aparatów respiracyjnych,
tym wielkim zielonym mrowiem przypominającym kabinę kosmiczną,
kabinę międzygwiezdną, w której pasjami odbywa kwitnie albo wkrót-
szy lot do Pana Boga, wiosę w tej pstrokatej asepsyjnej mgle mnie
pojemniki z gazikami, będę skrapiał podłogę płynami dezynfekcyj-
nymi, będę odkręcał kran z gorącą wodą dla rąk chirurgów, a po-
tem zimną wodą i drugi w strugę wielkiego stołu, gdzie moi
przedmiotami leżą zdezynfekowane przez parownik i polewę ka-
rzędzia chirurgiczne, a potem przechodząc obok dalszej ustawienia
to przedmiotu i pierdnę z całej mocy na te świętą nieczystość,
będę skropiła na swoje apokaliptycznego odbytu potężnym strumie-
niem gonokoków, bladych krętków i złośliwych gronkowców, trzy-
miliardami bakterii i wirusów, co zgromadziły się we mnie przez
dziesiątki lat haniebnej niewoli.

Żebyś nas tylko sterroryzowali uczuciem winy, żebyś
nas tylko gnębili z wdzięcznością, żebyś nas tylko wiecznie ide-
alnymi dziury w kieszeniach i mózgach, żebyś nam tylko uczucio-
wali codziennie kłamstwem, nędzą i sprzedajnością, żebyś
tylko wynaradawiali czyniąc z nas anonimową hordę kydłatych
ych, ale oni nas nudzą, nienawidzą, wzruszają, wzlipiają,
dzą, obszczywają nudną mękę od góry do dołu. Nuda wieje z ki-
ba, z dmar i pól wiejskich, z mórz i oceanów, z gwiazd i kwa-
tów, z laboratoriów i skryptoriów, z grobów i kościelnych ławek
ym, z rozrywki i z powagi, z dziatwy szkolnej i z Bożenarii
dycznych. Nuda jest tajemniczym eliksirem naszego rodzaju. Nu-
da jest jak kochanką i matką. Nuda jest jak naturalna wersja. Nu-
da pierza z prządowych mózgów i z pindowych pysków. Nuda czarnuje
z wojska, policji i z aparatów państwowych. Nuda mgły się z
więzień i komend wojewódzkich. Nuda jest jak klasyczny przeklestwo.
Potykają się tej nudy, bóją się jej, drapią się nią i nigdy się
od niej nie uwolnią. Nuda to bezkresna topiel, w której ony to-
ną i my tonimy z nimi. Nuda to wszystko w niepojętej powszed-

Nadchodzi zmierzch. W holu kładą czerwone dywany, ktoś zawiesza na ścianie wielki obraz przedstawiający szczęśliwe życie mojej przyszłej ojczyzny. Z ukrytych głośników płynie pogodna i majestatyczna muzyka. Zbliża się noc i zbliża się dzień mojego pierwszego i ostatniego starcia z przemocą, z tyranią, z piekłem. Siostry rozwożą herbatę, nadliczbowy staruszek na korytarzu zaczyna umierać, ale nikt mu już nie wierzy, albo nie ma czasu wierzyć. Tęgi mężczyzna w przebraniu sanitariusza błądzi po salach. Tu pochyli się nad śpiącym, tam niespiesznie dłoń gorączkującemu, ówdzie zainkasuje monetę od ozdrowieńca. A ja wiem, że to kapłan, ukrywający się kapłan zwalczanej religii chodzi śród chorych niosąc zakazaną pociechę. Bo ta dawna okrutnopewna religia wskutek prześladowań wypiękniała, wyszlachetniała i stała się dziwnie ponętna. Zatem kapłan przebrany w strój sanitariusza, mimo tuszy i sprytnych oczu, ciemny się tu powagą apostoła, męczennika, prawie świętego. Nie zbliża się do mnie, tylko z daleka szepce ostrożnie, a ja w jego wzroku odczytuję jakieś transcendentalne porozumienie między nim, wysłannikiem niebios i mną, emigrantem z prakolebki ludzkości.

Drogi Przyjacielu, szczęśliwy obywatelu szczęśliwej Europy, kończę mój list i czuwam nad kolanami, aby w starożytnej mowie przodków wyszeptać słowa codziennej modlitwy, którą sam wymyśliłem, i którą - proszę - odnów za mnie na moją duszę:

Boże wolnych guzami, swobodnych wiatrów skrzesznych, niepodległego wszechświata, święty Boże wolności zmiłuj się nad nami niewolnymi, upokorzonymi, zgasłymi, co nawiślidmy na świecie między życiem i śmiercią, między niebem i piekłem. Zmiłuj się nad nami i daj nam wieczny odpoczynek od przemocy brata, od tyranii ojca, od zdrady syna.

Ktoś wali pięścią w drzwi za brzegiem umywalka pod perkalową zasłonką.

- Odezwij się! Co się stało? Dlaczego zamykasz się na klucz? - poznaję gniewny głos kierowniczki.

- Nic się nie stało. Klient odpoczywał - odzywa się Basia zbierając odzież z podłogi.

- Dlaczego drzwi są zamknięte?

- Przeciąg otwierał. Chwileczkę, klucz gdzieś wypadł na podłogę.

- Pośpiesz się, już fajrant. Zaraz plombujemy sklep.

– Już, już! Jedną chwilę cierpienia! Pomogę zebrać się klientowi.

Kierowniczka odchodzi w głąb swego królestwa wydając rozkazy jak kapitan przed opuszczeniem tonącego okrętu. Basia ubiera się błyskawicznie. Już jest w golfie i w dżinsowych spodniach. Sprawnie wciąga wysokie buty z miniaturowymi ostrogami. Usiłuję nadążyć w moich czynnościach. Ale stale coś mi wypada z ręki, albo nakłada się z odwrotnej strony. Basia ubiera się nagle i mnie ubiera szybkimi, szybkimi ruchami.

– Dobrze udaję ziemską dziewczynę? – pyta z szatrym uśmiechem.

Znowu jest szczupła, wiotka jak sierpień, jak na początku naszej znajomości.

– Tak dobrze, że mnie w ogóle zmylił aś! Teraz żałuję, że nie chodzisz do technikum i nie praktykujesz w malarni.

– To się okaże. Spóźnisz się na wigilię, biedaku.

– Moim przywilejem jest spóźnianie się na wigilię. Już wiele razy w ten wieczór odbywałem dalekie podróże, z których budziłem się w rynsztoku.

Zatrzymuje się przy drzwiach z wielkim krasnym kluczem w szczupłej, długiej dłoni jak ptasie skrzydło. Powoli odwraca się, spogląda na mnie wielkimi i wypukłymi oczami, które znam każdy kolejny wenecki malarstwa. A potem pyta cicho:

– Dziś także obudziłeś się w rynsztoku?

– Nie, Basiu. Kiedyś zdarzało mi się budzić na dnie, ale na szczęśliwym dnie, które z upodobania do damasceńskiej stylistyki nazywam rynsztokiem. Moje rynsztoki były na ogół wykwintne, ja jestem, Basiu, estetą. Wstydliwym estetą.

– Myślałam, że zapamiętasz dobrze ten wieczór wigilijny.

– Tak, Basiu. Zapamiętam jak ostatni szczęśliwy wieczór. A czy ty w ogóle wiesz, kto ja jestem?

– Jesteś niemłodym klientem, który stoi cierpliwie w ogonku po małżeńskie obrączki.

– To chyba za mało.

– Ja wiem, ile potrzeba. Kiedy późną nocą nie możesz zasnąć w swojej norze i wędrujesz myślami po świecie i rozwiązujesz realne i wymyślone dziewczyny, takie dziewczyny, które zmiótł wiatr czasu i takie, które się jeszcze nie narodziły i w ogóle się nie narodzą, u mnie zapala się czerwone światełko. Jesteś pod moją kontrolą. Jestem twoim aniołem stróżem.

Przekręca klucz w zamku, otwiera drzwi do szarego, zimnego korytarza.

– To już koniec, Basiu, miłe strzępy!

– Przecież przyjmujesz go z ulgą.

– I z udręką.

– No właśnie. To jesteś ty, Wery.

Podchodzę do niej stojącej za progiem na krawędzi naszej różowej jaskini. Przed nami otchłań niedogrzanego salonu jubilerskiego skromnej metropolii socjalistycznego państwa. Z przykrością konstatuję, że dziewczyna jest wyższa ode mnie o pół głowy. Ale teraz to już wszystko jedno.

– Za parę dni ziemia rozpocznie czteromiliardowy pierwszy obrót dokoła słońca – odzywa się głos Basia. – Życzę ci szczęśliwej podróży kosmicznej, mój ukochany astronauto.

– Skąd wiesz tak dokładnie, ilu obrót?

– Teraz uczą takich rzeczy w szkole.

– I ja ci życzę, Basiu, ale sam nie wiem, czego ci życzyć. Czy dobrych stopni, czy szybkiej miotły do dalekich podróży?

– Pa, kochany. Pa, dwunogu kręgowy.

– Pa, aniele stróżu z hangaru uspołecznionego.

Całujemy się czule jak mąż i żona w dwieruwieszu swego małżeństwa. Basia poprawia mój szalik splątany na karku. Powiekami daje mi znak, że wszystko w porządku. I znika przede mną w zatęchłą czeluść korytarza. Idzie niedbale, z opuszczonym nonszalancko lewym ramieniem, pobrzękuje miniaturowymi ostrogami. Chłodna, znudzona, obojętna wobec głupiego świata, moja dzisiejsza kontestatorka.

Kierowniczka czeka już z plombą w ręku. A tą plombą jest kapsel od butelki piwa wypełniony plasteliną z zatopionym sznurkiem. Stapirowaną głowę obwiązała jedwabną, kwiecistą chustą. Niecierpliwie macha na nas ręką.

– Prędzej, kochani, prędzej. Już zgasła pierwsza gwiazdka.

Salon jest pusty. Wygasgene świnuszka. Odblask neonu zapala się malinowo w kałuży na podłodze i mrugnąwszy krótko, gaśnie.

– Może jednak sprawdzić pogotowie? – pyta kierowniczka masując się z zamkami.

– Nie, dziękuję. Wszystko w porządku.

– A dojdzie pan o własnych siłach?

– Dojdę. Mam nogi dalekie.

– Jakby przyszły te pierścionki, to pana odeślę.

– Bóg zapłać. A gdzie Basia?

– Jaka Basia?

– Ta dziewczyna, która mną się opiekowała.

– Pewnie już daleko. One dzisiaj takie. Wesołych Świąt.

– Szczęśliwych Świąt.

Wychodzę na ulicę. A tu nieoczekiwane przedwiośnie. Pada deszcz, huczą rynsztoki spienioną wodą, dziki wiatr leci na złamanie karku w dół ku rzece. Podnoszę głowę, żeby się upewnić, że nie ma gwiazd. Jest tylko mokra czerń przyprószona od dołu niewyraźnym refleksem.

Jeździ biała fargonetka milicyjna. Tęgi kierowca w stopniu sierżanta wychyla się przez opuszczone boczne okno, przygląda mi się uważnie i powiada:

– Panie Konwicki, czas do domu. Rodzina z wigilią czeka.

– Tak, tak, już idę.

– No. Żebyśmy się więcej nie spotkali.

Aleja kompletnie pusta aż do Wisły. Tylko deszcz wypełniony wiatrem i wiosenne potoki piętrzące się bałkotliwie przy zatkanych studzienkach. Nie, jeszcze napóźnione stadko szpaków przeleciało płochliwie nad ulicą. W oknach żarzą choinkowe światełka.

Kobiecina z parasolem pcha wózek dziecinny, w którym siedzi skulony pledem inwalida bez obu nóg. Skończyła dniówkę i wraca do domu na kolację. Poznaje mnie, uchyla fatałaszkowej zasłonki.

– Wesołych Świąt – pozdrawia grzecznie.

– I panu Wesołych Świąt oraz szczęśliwego nowego roku.

– Będzie lepszy na pewno. Sam sporządziłem horoskop.

– Horoskopy zawsze dobre, tylko życie takie ciężkie.

– Życie może byłoby i lżejsze, ale nam za mało. Ciągle się starczą na nasze los.

Na rasie ten szlewizek wielkości waszej. Nie sposób wsadzić się z przeznaczeniem w takiej ciasnocie. Salutujemy siebie uniesionymi dłońmi. Patrzę chwilę za nimi, jak pogrążają się w wodnistą ciemność ulicy. Kobieta walczy z wózkiem na skrzyżowaniu, kiedy trzeba pokonać wysokie krawężniki. Szczęściem nadjeżdża patrol milicyjny. Dwóch młodych funkcjonariuszy przenosi wehikuł nad kwaśnymi wyrwami.

Skręcam w przeciwną, ale ktoś szepce na mnie. Grzesio stulony w przeciwne płótna dziecinnego wózka.

– Pan pozwoli ze mną – rzecze służbowo.

– O co chodzi?

– Zaraz się pan dowie. To niedaleko. Po drugiej stronie ulicy.

– Wskakujemy w kanciastą bryłę jeepa. Grzesio ogląda się na mnie, jakby lękał się, że raptem umknę.

– Wiele razy dzwoniłem do pana – odzywa się konfidencjonalnie.

– Nie przypominam sobie.

– No to przyślęczij.

– Po co znowu przypominać? Chcę pójść do domu i położyć się we własnym łóżku.

– Co ona w tobie widzi, jak Boga kocham?

– Mnie nic widzi. Rabowała ukradkiem.

– Ożenu by. Bóg w pyle i patrzeć aby zdrowo pachniał.

– Czego ty mi zazdrościsz, Kajtan? Chcesz, zamienimy się numerami lesami. Ja za ciebie polecę jutro do Ameryki, a ty po ośmiu latach wrócisz do Kalisza. Obejrzysz wysiedlenie rabusi, pewnie jeszcze w sądzie, spotkasz się z narzeczoną, którą się gdzieś zgubiło od dziesięciu lat. Biorą mój kapitał i odpływam do nowego świata. W chłodnawą stabilizację przed niedalekim rozpoczęciem.

– Patrzcie, kurwa, jakby własną kalaszkę czytał.

Robi się mały ruch na schodach. Z lamerykowego stopnia podniósł się anarchista. Przeciągnięty aż do żywego ciała. Na nóżce rozcięcie zdobionej pierś lśni wilgoć. Zbliża się ku nam, wyjmuje z kieszeni zardzewiałe podłużeczko.

– Zapalimy? – pyta – Dobra rzecz.

Otwiera wieczko. W środku leżą ciasko skręty własnego wyrobu. Misternie ulepione cygaretki w niebieskawej bibułce.

– Proszę – podawa mnie i Kajtanowi.

Zapalamy, a on czeka na reakcję.

– Co to jest? – mówi Tomek. – Dziwnie pachnie.

– Suwenir od Carlosa – śmieje się prawie anarchista.

– Od jakiego Carlosa? – dziwi się Tomek.

– Zabaczaj i nie pytaj. Kaj będzie pana, to wyjaśnimy.

Na schodach tworzą się czarne ogłonki papierosów. Ciepło, które okazało się niezbędne, weź szczęście to nam budowlanym. A on dziwy z zimna ciągle jeszcze z tym rzadkim uśmiechu z emblematem pracy na piersiach, z emblematem przedstawiającym literę H sfermowaną z ogłaszczych żagli. Już ich zebrani traktują jak zawszonych. Z dyskretną sympatią.

– Ach Gośka, Gośka – wszystko robotnik wszczęknięte zębem.

Może i miałby ochotę wrócić do domu, założyć ciepły sweter, ale przecież nie wypada, więc poddaje się nagrzemu jak niezbędnej rzeczy romansowi. Pali jednak papierosa do spółki.

– A ja to pana musiałem czytać – otrząsa się niespodziewanie wyłaniając się z pary pierogów. Rozpięta karakuliowa kurtka, pod którym wybrzuszy się wiązanowa sukienka.

– Dlaczego musiała mnie pani czytać, śliczności? – pytam z [illegible]

czułem dobrze znanej przykrości.

– Był pan w lekturze szkolnej, zanim pana nie wykreślili. Coś o jakiejś budowie. Prodakcyjny reportaż. Straszna nuda.

– Przepraszam. Padam do nóg i przepraszam. Ale, jak pamiętam, było to krótkie i z humorem.

– Nie takie krótkie. Straszna nuda.

– Kokietujesz, stara larwo.

– Co pan mówi?

– Mówię, że to było bardzo dawno. Lepiej się nie przyznawać. Lepiej dla pani i dla mnie.

– Ale był pan socrealistą, prawda?

– Byłem socrealistą, krwawnim.

– Pan jest cham.

– Nie jestem cham, tylko mi się w głowie kręci.

Ale oto nadpływa Kajram. Z niezastąpionym panem Duszkiem. Zaciągają się chciwie swoimi skrętami.

– Co to jest? Czym on nas poczęstował?

– To jest zapach swobody! Woń dalekiego świata! – woła student, rozwalony pod choinką.

– Bracie Konwo, on nam truje, ten terrorysta.

Wieśniaczka puszcza misterne kółka z dymu.

– Niech pan nie pali. Może pan zaczuć tutaj ten zapach swobody.

– Ale pani pali.

– Bo mnie smakuje.

– Mnie też smakuje. Trzeba się chyba położyć. Ściąć z nóg.

– Tak musi być – mruczy student. – Hosanna.

Konwa, co tak stoisz i nic nie mówisz?

– Polak jak pochłodzony, to zmartwiony – konstatuje Duszek.

– Trzeba iść do domu – powiadam.

– No to idź.

– Ale mi się nie chce. Słyszysz organy?

– Jakie organy? To harmonista. Duszek, o czym miałem pamiętać?

– O przesłaniu od kuzyna.

– Prawda. Widzisz, ten turysta radziecki coś mi zostawił na pamiątkę. Szukał po kieszeniach, martwił się, chciał zostawić coś okazałego. A zostawił to.

Kajram otwiera torebkę zwaną pederastką i wydobywa podłużny kamyk malachitowy. I ja poznaję ten zielono czarny pręcik jak zjedzony grynszpanem cetara łuska karabinowa. Widywałem je niegdyś w rodzinnych szufladach. A teraz dopadł mnie pod starość.

– No – przynagla Kajrak. – Do czego to służy?

– Do niczego. Stary zapisek rodzinny.

– Chciałem ci podać twój adres, ale on nie chciał adresu.

– Ja też nie chcę jego adresu.

– Dziwna rodzina, jak Boga kocham. Może to szkło ze złota?

– Nie. Ze skały. A takie skały są nad Bajkałem. Nad jeziorem większym od morza.

Odchodzę z trudem w głąb bramy, gdzie świeci pod matowym szkłem żarówka. Tak, ten sam stempelek, który przywiózł jakiś dziadek albo może pradziadek z zesłania. Słabo pamiętam, a co pamiętam, plącze mi się z tym, co w życiu czytałem. Był jakiś bunt zesłańców, którzy budowali drogę nad Bajkałem. Było sprzysiężenie więźniów zakończone, jak zwykle, niepowodzeniem. Był zryw nieszczęśliwy, który zostawił po sobie żyjącą dotąd legendę.

Tak, to ten stempelek, nic nie znaczący dla mego dziecińśtwa. Czarno żyłkowany zielony kamień z rewersem, na którym ktoś wygrawerował rylcem obraz orła z rozpostartymi skrzydłami, prymitywny wizerunek ptaka wolności. A ten ptak jest czarny, bo w żłobinach zwęglił się tusz sprzed stu lat, lecz na papierze zostałby biały ślad tego ptaka, co kocha wolność, co kiedyś kochał na pewno wolność.

Podchodzi chwiejnie Kajrak prowadząc Duszka.

– Miałem ci o nim powiedzieć, kiedy przyjdzie pora. On trzyma ten kantor komisowy w Hali Mirowskiej. Ale kiedyś pracował w organach.

– Mnie już zbrzydło tego słuchać – splunął pan Duszek. – Jak wypije, zaraz przypomina. Już dwadzieścia lat.

– Bo ja noszę, tu w zanadrzu, twoje rozgrzeszenie. Jeszcze, bracie Duszku, nie odpuściłem, ale może jutro odpuszczę na lewiaka.

Wytrzeszczone oczy Kajraka nagle maleją i zezują ku niedostępnemu oprawcy, albo niedostępnej ofierze.

– To ty mnie wypędzasz do tej Ameryki!

– Cśś. Przymknij dziób. Widzisz, że ten nektowiec za nami chodzi – pan Duszek pokazuje Grzesia, który akurat leży bez sił na pierwszym schodku.

– Ależ on mnie wypieścił, rany boskie, dziś już chyba nigdzie tak nie piszczą. Zaraz ci pokażę, tylko muszę się rozpiąć.

– Nie dosyć. Wystarczy. Nikt tu nie jest ciekaw – pan Duszek chwyta przyjaciela w potężne ramiona i zaciąga go z powrotem pod napinak.

– Ale jak go zwolnili z organów, przykleił się do mnie i czeka na odpuszczenie swoich grzechów.

– Ty grzeszysz, ja grzeszyłem, pan także grzeszył. Cały świat jest grzeszny.

Obaj mnie szarpią jak sędziego szukając sprawiedliwości, ja w sobie słyszę ciężkie, masywne głosy filharmonii.

– Chodźmy się przyłożyć – powiadam. – Ten enarchista zadał mi labiryntu.

– Silne papierosy pali dziś młodzież.

– Jeśli się położymy, to już nie wstaniemy – szepcze Kojrax.

– Dobrze byłoby się położyć i nie wstać – szepcze szukając nadziemskiego miejsca z nóg budowlanego i Geśki, którzy patrzą przez siebie białymi oczami, patrzą szczepiwszy się głowami, jakby widzieli pożar miasta, rozsypywanie się morza, lub sypiące się mury nieba.

Przyporęczny stół pakuje w buzowym papierze. Coś w niej błyska srebrem, jakąś odświętną drogocennością. Zdziera obwinięcie tego pakowego papieru. W środku leży wielki aparat elektryczny.

– Czyj to zakup? – pytam.

Kojrax spogląda się bezwładnie obok.

– Mój. Coś trzeba było kupić.

– Wygrał wycieczkę do Rosji – odzywa się pani z za ciężkiego kapelusza. – Jak ktoś ma szczęście, to i w dziurawej kieszeni znajdzie. Miesz pan pokwitowanie.

Kojrax grzebie w zamszowej.

– Po co mi wycieczka? Czy ja bardzo jestem? Raty bardzo, które trzeba wybrać? Zapytaj pan tego amerykańca.

Student pyta swego rodopiecznego, a Kojrax wydobył już zmięty paragon i sprawdza go pod światło.

– Patrz co za oblicze. Wyjął z samych trzewiątek i wygasł. Do takich rzeczy to nadaje się mężczyzna.

– Ty się nie martw. Może to pomyłka – radzę.

– Jaka tam pomyłka. Kiszkowidzka Izydzia to wyraźnie, wyraźnie w tabeli. Wygrana jak drut.

Student rzeczowo się przysłuchuje się do naszego zabawku.

– On mówi, że lepszy wyjazd w Rosji niż taka wycieczka w Amerykę.

– Ale czy on jest jakimś politycznym – dziwi się patrząc na Kojraxa.

– Tak. On widział Amerykę.

– Ale czy widział Rosję?

- Nie mogę gwarantować.

Harmoniata wlecze bez pośpiechu jakiś skowieczne oratorium. Budowlany zaruszył sprasowaną dłoń pod sódnicę nie starej Geśki. To schody sprawiają wrażenie, jakby prowadziły do gniazd.

Kajran składa paragon na szwero i chowa go do skórzanej teczki zwanej żartobliwie paderastką. Potem kiwa z wysiłkiem pobladłą ręką na Grzesia.

- Pozwól do mnie, chłopcze.

Ale Grzesio także ociąga. Chwiejnym krokiem podpływa do rannej lokaty.

- Bądź łaskaw wyjść na ulicę i spojrzeć, co z tym sklepem. Może od tyłu noszą towar.

- Panie Tadziu, przecież dziś wigilia - leni się młody człowiek.

- Wigilia najlepsza do nadużyć.

Więc Grzesio bez ochoty rusza w głąb szarnej bramy, gdzie kłębią się wiry wiosennego bezpogodnia.

- Ty jesteś też Tadeusz? - pytam zaskoczony.

- A tak. Ja też.

- To dziwne.

- Właściwie nie musi być dziwne. W naszych stronach co drugi to Tadeusz. Ale jest dziwne. Powinno być dziwne.

- Może być normalne. Daj te swoje bilety do Ameryki, zrobimy z nich ognie sztuczne na choinkę. Wystawczy ci szczęśliwy paragon. Przejedziesz się, popatrzysz i wrócisz, żeby rozpić ze mną półlitra moskiewskiej wódki. Po co ryzykować, czy nie lepsza nasza własna codzienna normalka?

- Słuchaj, Kenwa, co się ze mną zrobiło. Byłem kiedyś chłopcem z bajki, Jankiem Muzykantem, naiwnym czarnoksiężnika, młodym Fyrkiem. Jak to się stało, że poszedłem na dno? Jak to się pokręciło, że jestem starym, przynitowanym dziadem. Wiesz, to pewnie brak treningu. Moja świadomość, mój system wyzwalający, dotychczas mojej duszy, szczątki mego jasnowidztwa, to wszystko przestało w spotanyku. Nigdy tego nie ćwiczyłem, nie doskonaliłem, nie dopingowałem. I dlatego zastygło, a więc znarło we mnie, zanim ja umarłem. Sam siebie skazałem na zbydlęcenie. A może los mnie zbydlęcił?

- Tobie dobrze. Przed tobą wielka podróż. Albo na wschód, albo na zachód - powiadam sennie.

- Chłe w Nobie kopany - jęczy Kajran. - Nie mam siły wstać

i kapnął w ten litewski rodek.

Student zgniata swego peta na silnej lampeni ściany skwierczące szemranie cudnej muzyki. Przez, który czochra mi po żółtawej piersi zapatrzony w pohyły sufit albo w niewidzialne niebo.

- On mówi - tłumaczy półgłosem student - że przeżyły się dotychczasowe formy organizacji społeczeństw. On powiada, że każda władza podświadomie i świadomie dąży ze wszystkich sił do ustawiania sobie sprawowania władzy. A więc całem każdej władzy jest pełna i nieczym nieskrępowana totalitarna dyktatura. Jeśli nie wszędzie realizuje się ona do końca, to tylko dlatego, że stoją jej na przeszkodzie coraz wątlejące i z dnia na dzień zanikające przeszkody w postaci starych nawyków demokratycznych czy liberalnych, kiedyś gdzieniegdzie żywych i zmaterializowanych w instytucjach konstytucyjnych, parlamentarnych, czy socjalnych. Każdy prezydent demokratycznego państwa, który w ciągu dnia pięć razy wspomni jednostki, o parlamentaryzmie, o praworządności, wyrzeka się w przekleństwach nadziei, sobie najbliższego prezydenta, że każe się wybrać dożywotnio, sprawdzi cenzurę, dowolnie rozwiąże każdą partyjkę, przy pomocy dekretów; w nocy śni więc najskrytszym dniu szczęśliwym, kiedy będzie mógł rozwiązać parlament, zniszczyć wszystkim podejrzany, zastosować policję polityczną, wybudować obozy koncentracyjne i ogłosić się bogiem. Jeśli można założyć istnienie międzynarodówki proletariatu, to tym bardziej możemy być pewni, że egzystuje i prosperuje międzynarodówka prezydentów szefów junt, tyranów i dyktatorów. Jeśli mówimy o obecności Międzynarodowego Czerwonego Krzyża, to tym łatwiej mówimy się przy tem o funkcjonowaniu międzynarodowej policji politycznej, która strzeże spokoju tyranów. Niech nas nie mylą obcości, którymi obrzucają się głowy państw i przywódcy narodów, niech nas nie omamią konflikty policji, albo incydenty wojskowe. Niech nas nie oszukają kampanie ideologiczne rozgrywane na naszych oczach między blokami państw rywalizujących ze sobą. To wszystko to opium dla mas. To wielki show dla maluczkich. To widowisko światowe naturalnie, gdy chodzi o bezgraniczną rządzę władzy dyktatorów kolonizują cały świat, zamachów na naszą godność, na naszą wolność, na nasze ludzkie życie.

Z ciemności nadchodzi. Grzesiu spotyka się z kropelką zimną. Już z dalska pachnie wiatrem i wodą.

- Co ty czytasz? - pyta studenta. - Gdzie to wydrukowano?

– Rasowy kąps – śmieje się dobrodusznie pan Duszek. Grzesio go irytuje, ale szczęściej rozszyfrowuje.

– Salon zamknięty na amen – melduje przybyły. – Już go nie otworzą do sądnego dnia.

– Nie kupisz swoich obrazków – powiada panna Kajman.

– Nie kupię – wzdycham.

– Czy to jakaś rocznica?

– Nie. Nie okrągłego i znaczącego. Raz w życiu, a właściwie od końca życia, chciałem zrobić niespodziankę. Niczym nie zmęczony odmłodniałem albo wybryknąłem w podskoku krakowiaka drogowego.

Wiśniowska rozwija sobie i szczęśliwa. Po chwili nasze płótna na choince świeczki oraz pręty wystrzeliły ogni. Niespodziewanie brama uderza z hukiem w futrynę. Właśnie ma bezpowrotnie pustą i nagą ofiarę.

– A ty? – pytam studenta. – Prowadziłem go jak niewidomego, lub jak Ważnyhorę. Ale co ty, ty sam?

– Jeszcze nie wiem. Na początek nie uczyłem się. Unikałem przyswojenia wielu gówien. Powiedziałem sobie: tego i tego nie będę wkuwał, bo to śmiecie szkoły, układu, literatury państwowej, tego i tamtego nie przeczytam, bo to zajęcie wyjałowane gwałtem. Taki był mój skromny program, żeby nie połykać się przymusowej rzeźby, choćbym miał nie zdać matury i zawalić studia. Uchroniłem się, posiadam lekki, pusty żołądek, mogę trawić to wszystko, co warto trawić. Jestem czysty, może mnie pan kupić.

– Co też jest do kupienia – kwituje Kajman spoglądając na mnie profesjonalnym okiem.

– Byłem do kupienia, ale już minął czas.

– Ty nie dosmucaj nas, tylko pisz, kurwa, dla pokrzepienia serc.

Terrorysta przymierza się do wiśniowski, która zwróciła z premedytacją karkołomne futro i naczyń z puszkiem wilgotnych zapałek. Upadłe kwiecą ogień z niepełnowartościowego produktu monopolu zapałczanego. Wreszcie błysnął siarczysty płomyk i zaczyna kąsać szlachetne świeczki. Terrorysta warczy, orbitalnym obrządkiem dłoń wielką, czerwoną dłoń na biodrze wiśniowski. Ona wpraszym wzrokiem wbiła wzrok obce oczy. Terrorysta głos ów wyjaśnił:

– On mówi – tłumaczy studentka – że jemu stało stoi. W dzień i w nocy, od piętnastego roku życia.

– A cóż to nas obchodzi. Niech idzie do lekarza – wzdycha wyraźnie wiśniowska.

- Był z wielu Indusów. Żaden nie pomógł.

- Panie, takie badania, koniecznie by trzeba specjalne - tłuma-czył pan Dawek.

- On mówi, że to piękna... Choć trudne pokonać. Co bardzo mi pomaga.

- Że go nie będę leczył - przebąkiwał wieczorami, kiedy było między sobą całkowicie.

- Może pani na czczo mierzyć? - pytał niekiedy, gdy w za dużym przy-śpieszeniu.

- Że nie prawie całkowicie. Na zawsze miłością.

W tym momencie jeszcze niemal przepełniony za dwie po-tory. Z niewielkim wysiłkiem mięśnia wspomagającego i ruchami nerek. Pojawiła się przez jakiś czas wtedy mniej miliarów wpadającym pu-kowy.

- Jeden widzę - cieszył się pewnym głosem starszy z trzema uczynkami. - Może widzisz, co to za czerwonka?

- Idziemy z godziną. Na wigilię - powiedział Dawek.

- Przyjechałby, jeśli zdążysz, bo wtedy operacja - dodał Kolega.

- A do kiedy?

Mikołaj zamyślił. Płomyk świecy na stole zawsze wpadał między wspólnych. Milczał z uczuciem ulgi, a jego Kolega zaczął wtedy tłumaczyć.

- Do kogo pacjent idą na Wigilię?

Zwierzę przyszło się na dwie, bo

- Do jego wszyscy jest niedaleko.

Trzeciego wieczoru Dawek jego jeszcze przyjechał dzień.

- Pięknego z dzieci.

Gwarno machinalnie wiedza do wszyscy kiedyś spodu, ale ja-dłach przytomnieje. Wyjazd z Kalifornii wyniebiegnie koleżeńskie.

- Czekam pokoju operacji - uśmiechnął pan Dawek. - Dostaję wspaniałego skrzydła.

Stwarzy mi jakiś spiż, a Wiesław Ozimek, siadły patrzy na nas uważnymi, zdziwionymi twarzami chorego krótko. Harmonia w dziwny jakoś sposób z pełnej [illegible] Wiesław Ozimek, Czekoladowego [illegible]

- Pewnie wiesz się na dzisiaj [illegible] Przyjaciół Świąt!

- Wesołych [illegible]

Odmierzonym krokiem milicjanci ruszają w stronę bramy.

– Spisali siebie – odzywa się z satysfakcją student. – Będziemy sąsiadować w rejestrze.

– A niech spiszą, stójka powiatowa.

Terrorysta zapalił ostatniego ognia, sypią się rozgwieżdżone iskry na lastrykowe schody, które wieczorem upodabniają się do kawiarnianego parkietu. Siedzimy z Gośką zaszyci pod balustradą. Niby drzemią, ale pod nimi jednak podrzuca, że po chwilach ustają szarpią się, jakby chcieli oswobodzić się z niewidzialnych więzów. Za wielkim oknem na półpiętrze widać przez zbite szybki stare ruiny z czerwonymi ścianami. Tam również w zabitych mieszkaniach świecą się choinki.

Dopiero teraz spostrzegam, że owalna twarz studenta z mizerną brodą i wyleniałymi wąsami podobna jest do twarzy Chrystusa tak jak wszystkie twarze młodych ludzi mojej starości. Czy to oni przyjęli rysy dawno zamęczonego człowieka, czy Chrystus okrył się nowoczesnością epoki największego kryzysu, epoki, która potrzebuje Chrystusa albo tylko Mefista.

– Ty świnio! – podnosi głos Gośka. – Wyrzuciłeś panią na schodach!

Budzimy przezeń Gośkę z objęć, poprawia na sobie sweter, strzepuje niedbale z rękawa kartki zasmolonej ogniotrwałym węglem.

– Co? Co? Czego się szarpiesz?

– Ja wszystko widziałam, świntuchu. Czego się mazał? To starsza osoba. Wstyd, cholera.

– Tylko nos starszych osób – wstaje Gośka z wyższego stopnia. – Mogłabym być pańską córką. Pan zauważy, jakie mam jeszcze ciało.

– Ona ma ciało – syczy wściekle nieuświadomiona. – A ja nie mam?

Zaczyna otwierać zamek błyskawiczny w swojej nieprzemakalnej skórce na srebrnej lamy, doprowadza sprzęty do porządku.

– Nas w kopanie, ja sama. Niech tam lubieje paranoja.

– Dlaczego ja? Mam krótki oddech.

– Ale z tą gotówką to pan znalazł drogę na najlepsze.

– Serce zawaliło. Ja się boję pas świątka, proszę pani.

– Pan nas wszystkich przerazi. W przyszłym tygodniu trzeba będzie pana zapłacić za pośmiertne pieniądze.

– Dlaczego pani nie mało tele elektrycznej?

– Pan sam wie.

– Z powodu jednej klepskiej księżniczki, królowo?

– Że ten powiedział. A każdy powie jak kwiat. Kwiat nie.

– Boże, ileś taka ogromna.

– Mieszkam tu pięćdziesiąt.

– Lękam się, lepiej nie.

Kajtek otwiera oczy. Patrzy intensywnie przed siebie w to miejsce, gdzie na liściu dębu tuż w pobliżu mojej głowy gromadzi się zbiorowość mrówek. Małych, niezauważalnych mrówek faraona, które nie wiadomo skąd wyruszyły na podbój cywilizacji. Cywilizacji, co straciła wiarę sama w siebie.

– Cicho, posłuchajcie – szepcze Kajtek.

Milkniemy bez sprzeciwu. Wsłuchujemy się z dłonią na kolbie do końca otwartym zamkiem jak na kaburze pistoletu. Świerszcze, razem z pasożytami chowają się od dziennych pierwszych przebłysków.

– I co? – pytam.

Kajtek przymyka powieki, nasłuchuje.

– Dzieci śpiewają kolędy.

Rzeczywiście gdzieś słychać śmiechy, bo głosy przed nocą zawsze wydawały się nam głośniejsze.

– Kurwa, jakby mi szczęścia żal.

– Czego ci żal?

– Wszystko jedno. Straszliwie żal. Słyszałem kolędy w lasach partyzanckim, słyszałem w więzieniu, i źródła które słyszałem, ale takiej nie słyszałem.

– Może i by już wierzysz w nie?

– W jaki cud?

– W taki, co się nie może zdarzyć i nigdy się nie zdarzy.

– Z kim?

– Z nami tutaj i z nami w ogóle.

– Och, daleko.

– Co daleko?

– Ja boli.

– Taka noc.

– Noc to zasłużenie się przed światem.

– A może więcej?

Zdaje mi się, że ten śpiew spoza skądś z góry, z wysokiej głębi klatki schodowej nieznanego domu. Wśród ruiny przekraczam nogi Gośki i budynku, zmiażdżonego, który obrasta w palmach ziarna bladożółtego różańca. Wpinam się po zamordach gruzu, a może nie wszyscy się tak śpiew, co wydał się kolędą? Ale to nie jest kolęda. Za dużo w nim skargi i powszedniości.

ludzkiego płaszcza.

Nastaje ciemność. Szosa śliska. Jest zimno, ciężko, jak chińscy mur podnoszą się na niewidzialne wzgórze. I wkrótce jest widzę balansuje na tym wyobrażonym wzgórzu, widzę rozpędzające się ludzkie nogi pomiędzy piersie wielkich głazów.

Palce moje odnajdują drewnianą fortynę z plątaniną skojów żelaznych. Spotykam i klamkę, ogromną, nieżyjącą, przeżywaną ciepłem ręki, która ją niedawno obejmowała. Otwieram drzwi, które przed nocnymi jeszcze bytu czarnią ślepoty.

I oto jestem na progu kaplicy wypełnionej mirażem światłem lamp elektrycznych jak żywioły konwalii. Przede mną w ławkach siedzą kobiety w różnobarwnych szalotkach. Gdzieniegdzie widzę nędzne odzienia takie zupełnie. Na i ówdzie nad ławą wiersze głowice kul inwalidzkich. A pod ołtarzem stoją dwie białe dziewczynki z gipsowymi świecami w dłoniach. Patrzą na młodego dominikanina, który intonuje wersety litanii. Obok nich stara zakonnica czyta chude ręce na czółkowej fisharmonii. Różańce litanijnemu odzywki wiernych.

Widzę przygotowany dzbanek ze święconą wodą. Widzę pyszki z olejami świętymi. Te dziewczynki przyjmują chrzest z rąk młodego księdza, swego duszpasterza, którego nazywają ojcem.

Po mojej lewej stronie stoi konfesjonał z czarnego drzewa. Z przepołu drzwiczek zwisa kwiecie fioletowej stuły. A w głębi mojego ekranu, ciemnieje twarz mężczyzny w okularach, albo może w okularach. Maniowata i przepalita twarz człowieka, który czeka na drugiego człowieka.

Jestem pewien, że on patrzy na moje ręce. Patrzy i myśli o mnie. Myśli może jak kapłan, a może jak zwykły człowiek zmęczony całodziennym wysiłkiem.

Nagle odwracam się, podchodzę do konfesjonału i klękam na wytartym schodku. Przede mną wzorzysta drewniana krata. Czuję jej obecność. On słucha mnie, ja słucham jego. Nie wiem jak zaczął.

Skończyła się litania. Wtedy mój wzrok wędruje za siwą głową jak ogrodowy ślimak. Budzi mnie ksiądz na intencję modlitwy.

- Proszę księdza - szepczę - dawno nie byłem u spowiedzi. Kilkadziesiąt lat.

Milczymy przez chwilę.

- Słucham. Mów - szepcze drugi człowiek za kratą.

- Przez te lata grzeszyłem jak wszyscy. Kłamałem, byłem za-

się, krzepił zdrowie jak nowonarodzony, nastawał na przyszłość. Milczenie, niemota degenerują, duszą, zabijają. Dawniej zniewolony, kiedy odzyskał wolność, mógł bez przeszkód włączyć się do wielkiej rodziny wolnych narodów. Dziś, przypadkiem uwolniony, nie będzie już zdolny do życia. Sam zginie ze swoich, którzy zgromadzili w sobie podczas czarnej nocy niewyczerpane pokłady.

Świat przeżywa wielki kryzys. Kryzys filozofii, etyki, ekonomii, kultury, środowiska, zanieczyszczenia zbiorowego i indywidualnego. Wyobraźcie sobie, jak ten kryzys wygląda w kraju, którego sytuacja jest kryzysowa, a więc w państwie, które egzystuje w jaskini przeźroczystej niewoli. Jeśli na świecie zginęły jakiekolwiek kryteria człowieczeństwa, to u więźniów nikt już nawet nie pamięta, że kiedyś były. Jeśli w wolnych krajach zachwiała się moralność, to u nabów dawno unicestwiła ją na proszek. Jeśli gdzieniegdzie sztuka skarlała, to u niewolników przeobraziła się w wosk. A ta wosz - dodam od siebie - lubi przybierać pozy nudne, gesty kontestacyjne, miny uniwersalne. Pamiętajcie o tym.

Zaraz, ale ja chciałem o czym innym. Przecież miałem co innego na myśli. Znowu zgubiłem wątek jak zawsze gubiłem. Lecz tekst gubię celowo. Pewnie myślałem o przymusie dokonywania wyborów. O tym przeklętym haleluszu moralnym, któremu podlegają całe generacje i każdy pojedynczy. Bogu ducha winien, wszamuje zjadliwe chleba. W zniewolonym świecie trwają permanentnie wymuszony zachowań wobec władzy, wobec jej przymurków, kaprysów i chimer. Codziennie trzeba dokonywać wachlarzy sumienia, codziennie należy rodzić się moralnie od nowa, codziennie pod grozą utraty szczęśliwej głowy przychodzi wybierać między niebem i piekłem. To epizody Doliny Józefata, gdzie każdej chwili sądzi nas w trybie doraźnym Sąd Ostateczny. Nie, to dwa trybunały, trybunał pychy i przemocy ludzkiej oraz trybunał sumienia człowieczego w stanie zapalnym, to te dwa trybunały diabła i Pana Boga osądzają nas na krótszy bieżność aż do następnej rozprawy.

Ale ja chciałem podnieść inny problem. Uciekł mi się najważniejszego nie umiem objąć. Pamiętam jakieś chwile z dzieciństwa, może zimowe, a może wiosenne, momenty tragiczniejsze w moim głupim życiu, albo w losie moich bliskich. Widzę twarz babki, twarz dobrej kobiety, na której przebiegają jakieś tektoniczne, konwulsyjne albo może nojemniczne przeskurczenia. Jak twarz ta kurczy się, mnie się dziwnie, brzydzi nowymi zmarszczkami, jak to u starych bywa, ale te same, tak dobrze znane na pamięć, jak te lustra ma-

że się nieoczekiwanie [illegible] rozpaczy, [illegible], [illegible] bólu, [illegible] łzy [illegible] się po tym [illegible], kiedy, a ja krztuszę się ze śmiechu, chowam się pod stół i [illegible], rzucam przed siebie i [illegible] ze śmiechu.

A dziś ja [illegible] twarzą moją, [illegible] [illegible] przede mną weselnie stworzenie boskie. [illegible] [illegible], bo [illegible] niewiele, i śmieje się [illegible], że z [illegible] moich oczu płyną bezwstydne łzy, i [illegible] pokrzeczną mizeracją mojej doli [illegible] na stronie.

Już wiem. To wszystko nie [illegible] [illegible] błazeństwie. W [illegible] [illegible] błazenadę. A ja w tym [illegible] naszą [illegible]. Ja [illegible] pokrewieństwo, [illegible] [illegible] w dwóch postaciach. [illegible] tragizm [illegible] barwami, [illegible], [illegible] się [illegible]. [illegible] w gardle, nasze błazeństwo gryzie [illegible] [illegible] błazeństwo [illegible] na własnej szyi.

Stójmy, przypomniałem sobie, że [illegible]. [illegible] sobie wcześnie [illegible], którą trzymam w [illegible]. [illegible] biegnę do was i nie [illegible]. [illegible] się [illegible]. W swojej [illegible] podróży [illegible] tego roku trzecia planeta układu słonecznego [illegible] opóźnienia o jedno nieskończenie [illegible]. [illegible] to jest [illegible] wyrwany z [illegible] czasu.

Co to znaczy dla ludzi? Co to znaczy dla mnie?

Ktoś mnie klepie po policzku. Czuję [illegible], miękkie palce [illegible] mi [illegible], [illegible].

- Śpi pan na cudzym [illegible]?

- A co się stało?

- Ja pytam, co się stało. [illegible] pan na pół godziny. [illegible] słabo?

- To ty, Basiu?

- Nie, Julia.

- Jaka Julia?

- Ta sama, co przedtem.

Podnoszę się ze [illegible] i [illegible] przed sobą w [illegible] ten [illegible] [illegible] w cylindrze [illegible].

– Głowa mnie boli – powiedział. – Nie powinienem był za dużo francuskich papierosów.

– Znam, to to z nadmiaru jabłkowego?

Byłem na pewno gorszą plotkarką w czasach zimnej wojny. Teraz dobrany mężczyzna otrzymuje w rysach przejrzewającej twarzy twardej jak skała polskiej biografki. Wiele mężczyzn spotkałem od takich kobiet.

– Nasi już się nie mają i nie będzie – wtrąciłem melancholijnie.

– Pan mi wyglądał na kochliwego.

– To tylko pozory, pani Julio skrzywdzone przez lektury szkolne.

– Uważaj pan. Wiele kobiecych dziewczyn przeklinało w duchu ten paluch zakalec.

– Co to jest, że wszyscy czytają moje kiepskie wiersze, a nikt nie szyje tych łapserdaków?

– Sporo ludzi mnie lubi pani, a i kobiety wspominają mnie, a nie lepiej.

– To pani nie ma z nich kobiet?

– Słyszy się to i owo. Swego czasu kimkolwiek nie był w Warszawie dwudziestolecia.

– Wyobrażam, że już ludzie zapomnieli.

– Lubią tak, ale kobiety nie. Skarżą się, że z panem nie sposób nudzić.

– Ja się otwarłem, proszę pani.

Znowu odzywa się daleki chór, jakby z wewnętrznego kanału albo z głębi lasu.

– Kolędy śpiewają – powiedziałem ze zdziwieniem.

– Przecież to wigilia.

– Racja, to Boże Narodzenie.

Schodzę w dół, gdzie przy zepsutej windzie z czerwonym prawym oczkiem tuż w letargu kolejka do zamkniętego sklepu z lekarskiego. Świąteczni wypalili się już na potrawy, a na kaca bielejącą długie lny smutnych parzyste.

– Gdzie by [illegible], panie K. – pytam sąsiada.

– Chodziłem po apteczki.

– I co, [illegible]?

– Trudno powiedzieć.

– [illegible]

koki chłopaka.

– To nie rdza – wrzasnęła zapłakana – to krew.

– Czyja krew?

– Grzesia albo studenta. Bili się, kiedy odeszłam.

– A o co?

– O nic. Wzięli się i pobili.

Grzesio leży obok na trzecim materacu. Przytyka chusteczkę do nosa i patrzy wytrzeszczonymi oczami w stronę wielopiętrowej latki zachodowej. Studenta rozmowie oczepiam z anarchistą. Na nim nie widać śladów walki. Na takich zwyczajnych szczegółach nie opiera się kazuistyka życia.

– Dokąd idziemy?

– Spojrzę, czy warto czekać.

– A na co ty czekasz?

– Na tawar. Przywiozą radzieckie chrupki.

– Ach tak, tak – kiwa głową Kajrak. – Widzisz, by mnie lepsza pamięć.

W wielkiej misce skrzypi lód pod nogami. Zjadliwy wiatr tnie mię od ściany do ściany. Zerwał już ogłoszenia komitetów wyborczych, ewidencyjnych, lokatorskich i rozliczonych. Całe życie publiczne Kamienicy Warszawskiej pozlewało się na ziemi.

Odpychamy ciężkie skrzydła bramy. Z kolczastym wzgórzem przeczesuje się i zdziera w oszklony szałas, w którym spuszczony kapelusz przykryty zwiędłym plastykiem. Po warszawski Wilanów zerkanują swoje wyroby w wejścia do naszej kryjówki. Widzę za szkłem, że w tej szklanej klatce oświetlonej i ogrzanej gdzie tanie, że w tym zakurzonym przestworzu mikroczarnom miota się wściekłe muchy. Chcą wydostać się na wolność i nie wie, że na zewnątrz czeka ją śmierć.

Coś się stało w atmosferze. Tak przeczystego powietrza nie widziałem dawno, chyba od dzieciństwa, od olśniewających zimowych lasy na Wileńszczyźnie. Dzisiaj pustki i przeraźliwy mróz, który dławi jak świerszcz. W stodziankach niemytych szyb jeszcze na odwilży. Na rondzie stoi ciemnobrunatne wielopiętrowe chałupisko. Matowy odcień większości kolorowych żaluzji. Ale na tle blokowisk i czerwono szarawy cegieł spięcia elektrycznego. Jest ciepło w tej mętnej ciszy, którą opatulone nasze świat, świat przyczajający, wszechmiliardowe pierwsze skrzydła wokół gniazd kwanej słodyczy.

Widzę swoje odbicie w konwulsyjnej spuszczonych kolczastych

krawieckiej. Podrapałem się w mięśniach spodni z grilla, barania kotlinka mi się trochę rozedrą. Zatoka rozumie, nakłem świadomości [illegible] czy świadomość istnienia we mnie

- Zaraz, jak to było z tą spodniczką? Wypowiedziałem się, czy tylko chciałem się wypowiedzieć? Uczyniłem znaczne wysiłki, sprawdzania rzeczywistego, wyspowiadania się poetyckiej samokrytyki?

Między mnowym ale i opiewanie górą Zakaz Kultury [illegible] szosy jak światło lądującego samolotu.

- Ale nikt mnie nie rozgrzeszył, nikt nie zadał pokuty. Nie pamiętam, żeby w czasie konfesjonału ktoś zakonnika wyszeptał te słowa z dawnych lat "ego te absolvo", żeby ten ktoś lekko napukał w delikatną konfesjonału, w żelazny krat pastelki, żeby ten ktoś wyciągnął rękę drewnianą tajną dziurkowej ściany za kratką naszej winy, za zasłoną, który można posłać w przestrzeń niegwiezdną jako kod ludzkiego istnienia i ludzkiej męki.

To nie jest światło lądującego samolotu w spóźnionym rejsie. Ono tkwi nad aleją, skroś zmiesza połączenie. Oświetla kasztanowe dachem asekuracyjnych kamienic i po chwili wraca na poprzednie miejsce, by znów uskrzydlić w nich palące. To światło przypomina mi trzeszczą jak mamoła gwiazdę zwróconą ku mnie ostrą krawędzią. A z tej rozjaśnionej krawędzi wznosi się w górę ciemny kształt światła jak żagielek. I ten żagiel kosmiczny chwieje się w lekkim w prawo kierunku obniżkowej świecki. Więc zapewne rzekł mi się, że to ogień rakietowego silnika, który napędza nieznany, kosmiczny obiekt latający.

Ostrożnie, bez pośpiechu, oglądam niebo. Jest wiele gwiazd. Skrzą się jak w dawnych wieczorach. Dziś już tak nie rozkochują się gwiazdy. Dlatego odczuwam jakiś dziwaczny niepokój w tej przestrzeni nad przyczajonym miastem. Wędrująca jest cudowna. I ta noc cudowna mogła zrodzić kosmodromowy obiekt latający, który nie wierzę, ale który unosi się nad aleją i patrzy na [illegible] wyzwolenie miasta podniebnymi nerwami.

Zwracam się, do swojej kompanii.

- Chodźcie, nad nim patrzę.

- Co chcesz powiedzieć - pyta Kajtek.

- Warto zobaczyć, daję słowo.

- Może gwiazda [illegible]?

- Może gwiazda, a może sonda kosmiczna.

Wychodzą za mną na [illegible] aleję. Idziemy w trzech [illegible] pojęcia cyrkla wozu milicyjnego. Twoje milczenie i [illegible]

– Tak, to gwiazda zaranna, czyli jutrzenka, a mówiąc po prostu nazwa sąsiadka Wenus, – powiada grzecznym głosem Kajtan.

– Ale ostro świeci – dziwi się Grzesio z chusteczką przy nosie. – Nigdy nie widziałem takiej gwiazdy.

– Patrzcie, skoczyła w lewo! – woła Gabka.

– O, a teraz poszła na dół.

– Właśnie se, zawołam znajomych – decyduje student. – On nazbierał dwa kosze szczawiu.

Przyprowadza grubego sumiastego, który opuścił nie z dobrych, ale za znanych względów.

– On mówi, że to Wenus – tłumaczy student. – O takiej porze roku Wenus pokazuje się w tej części nieba i szybko wędruje nisko nad północnym horyzontem w stronę wschodu.

Milczymy zawiązani. Po chwili otwarte okna, w mieszkaniu nad wynajętym salonem fryzjerskim, łudząco śpiewają koledzy. Gabka spalała się firanka od świeczki, wypił za szkło chłodnika, który wywa pomocy. Ale my patrzymy uparcie na tę znaczącą jaskrawego światła z purpurowym półcieniem.

Pewnego dnia zwinął żonę i przyleciał do nas jak kometka. Od razu do stołu.

– On mówi, że to jednak nie Wenus.

– Może sama komisarka, amerykański balon? – pytam niepewnie.

– Nieznane akurat amerykańskie? – rzecze pani w za dużej peliserze.

– Ale jaki?

– To w ogóle jest nie – odpowiada gazeciarz. – Po co mi zamroczasie głowę.

– On mówi – mrugnął student.

– On on mówi? – domyśla się Kajtan.

– Mówi, że nie wie, dlaczego wygląda na niezidentyfikowany obiekt latający.

Obok mnie stoi Julia – wiedźma. Oczy z chłodu albo pewnej podniecającej. Patrzę w te dalekie odległe oczy, że ciocia:

– Pan na mnie czeka?

– I panią na mnie zaprasza?

– Nie pan se, zaproszam do mnie na wigilię.

– To znamy dokąd?

– Na moją farmę, bo ja prowadzę farmę i tam mieszkam. Między Radością i Miłością.

– Bardzo dobry adres.

mne obojewe i antalskie tyrady. Czy ja się przebieram? Chciałbym, ale jak? Z kim? Dokąd? Na jasne powiem pani w tajemnicy, że, jak się zdaje, mężczyzn w naszym rejonie na pęczątka zaczęwa stało się to wódz do używania rano w pewnej knajpie. Kto wie, czy nie pod wpływem przykrości. To zdaniem bezpośrednio nadużywania alkoholu. Więc popełniłem samobójstwo i powinienem żyć, choć mi życie wystawia bardzo rachunek. Trzeba jednak wrócić i zacząć od nowa, ale jak to zrobić, jeśli jestem martwy.

– Czy jest sens bić głową w mur?

– A jeżeli jest?

Przejeżdża obleśnawa bakaśnika śmietnikowa opanuj w żółtym kombinezonie. Stoję tuż obok nas przodem w wysokim śmietnym krawężniku.

– Jest gabloła. Bierzymy? – pyta Waldo.

Zanim zdążyłem odpowiedzieć, otwierają się drzwi samochodu. Najpierw wysiada z trudem dziewczyna w szlafroku, na którym narzuciła zimowy płaszcz, obuta w jakieś bambosy, - ale na drugiego znowu makijażem na twarzy. Za nią wydobywa się ze śmieciarskiego wnętrza facet z beretkiem na rękach. Poczęstuje widać, że opalił się w Zakopanem na murzyna, ale to jest wiedno. Murzyn młody energiczny Murzyn, ojciec niemowlęcia.

– Chłopcy, pomóżcie kobiecie grzeby – powiada do nas i znika bez obawy do wnętrza domu, w którym kobiety.

Więc chwytam z Kajtkiem skłębiony wózek dziecinny, paliwo i kupę plastykowych torebek. Widać, że ten szczęśliwy ojciec wyniósł z położnicę.

Idziemy za młodymi rodzicami w głąb bramy, potem przez podwórze do tej ruiny, która przed wojną była solidną oficyną czynszowej kamienicy. Po drewnianych, zachwianych ruinach wspinamy się na pierwsze piętro, do pierwszych drzwi, choć z rozmysłu widzi jest to chyba trzecie piętro, bo dwa poprzednie zawalone na głucho.

A tu dzika dziewczynka. Jakby korytarz domu na balkonem nazwano, jakieś dwa na dwa metry balkon, który stały się pojemnym mieszkaniem. Mury z cegły dziurawe z resztkami tynku, w piekarni wapiennego piaskowca. Przekleństwo bank z niemowlęciem w środku. Ogrzewają kominy po kaflowych.

– Obalimy gdzie tyżeszki – pyta z uśmiechem.

– Śpiewamy się na wigilię – powiadam.

Oh błyska bulkiem, [illegible] jak podłoga

– Migiljo macie u nas, Viesie, co to podobno za skurczenie?

– Mowa – mekę. – Kto jak kto, ale ja wiem.

– Wiesiek, Zocha, zwij gosci.

– Ja tak wiem, co to podobno za dziwkami – odezwał się Kajtek.

– Widzisz, Zocha, drugi raz gdyś mi to łamiglowka, chłopaku.

Otwiera drzwi i widzimy duży pokój nieźle/nowo urządzony, pufy, dywany, pealerki. Jest i nawet zamknięta na klucz szafka z płytkami i nikla starocfeniczych adapterów oraz magnetofonów. W Murzyna to ale oni oczarowa. Potwory albo handlarza walizkami z Pragi.

– Ladne mamy u nich. No dobra, rzućmy grosy w kąt.

– Gwiazda hollywoodzka dwiesci. Może to dla naszego syna?

– To już nie dla niego. On wpadnie się przed wyjazdem. Otwarty, śmiało.

– Zdziwek – powiedziała natrętnie Zocha.

– No kochana, trzeba wypić po kieliszku.

– Zdziwek, pewnie się dziwią.

Murzyn trzepi rzepą. Żeby pokryć zmieszanie, koszyne przewijają dziecko. Wówczas podnosi krzyk. My na palcach, kontrolowani lewym okiem znamienitej Zochy, wpadamy się do kuchni.

– Ale będzie dobry – szepnął Kajtek. – Już poznał, co to ręka kobiecych dziewczyn.

Jedno dostrzegamy wiszące po kuchni pyż śmietany. W tych drzwiach balkonowych nie ma szyb. Ktoś je kiedyś wybił i tak zostały z gołych zdjęcia na balkon, z którego zostały tylko betonowe szyny. I tej wojennej pamięci także ukradł kolejny polski ludzion dobrej woli.

– Widzisz, ile gwiazd – pytam Kajtka.

– Cię się szczerzą. Dawno nie widziałem takiego nieba.

– Jak myślisz, ktoś nas podglądał z latającego talerza?

– Kto wie. Może jeszcze z gazetach napiszą.

– Najpewniej się napiszą. Tylko my tam niczego nie widzieliśmy. I nie mamy.

Przychodzę do balkonu, otwieram te drzwi bez szyb. Pode mną dwa piętra pustki i na dole beton ciemno przykryty szklanymi kawałkami. Wokół wieżowce obleczone w rusztowania. Ciemny kąt przechodzącym strzałkę sobie wiedzieli. Nikogo pływającego. Dziwnie ogarnia kobiety wstydliwość. Dziś niczego się nie boję. Wiem, że mam przyjaciół kosmicznych.

– Stanowcie sobie gwiazd – powiedział Kajtek. – Gdzieś tam są wszyscy. Wiem i mam, a oko jest tak teraz, widzę wiem

ziemi. Chyba w tej próżni zimno! Wiecznie mróz. To trzeba zniesć- ono! Nie lubię chłodu, i ciemności.

- Na pewno nie jest zimno! Mogę ci dać słowo! Temperatura idealna! Niezmienialna. Nie przeziębiłeś się, to fakt.

Nad dachem drewnianej kamienicy błyszczało jak w lustrze. Pałac tramwajów, chyba ostatniego tramwaju, gibnął się na złączu trakcji i wyprzął niebieskimi piorunami.

Robię krok do przodu, staję na śliskiej rynnie, za jak szklany pałac sterczy nad podwórzem. Odwracam się do Kajtana. Pod krótkim kożuchu wpełza kędzierzawy chłód.

- Kajtan, ja ci jestem coś winien?

- Co ty mi jesteś winien? Pieniądze, wódkę, dobre słowo?

- Jak to, nie pamiętam? Jestem ci winien swoje życie. Mówiłeś już to parokrotnie. Chodziłeś za mną z tym przekleństwem.

- Daj spokój! Wszystko się obróciło dawno. Może lepiej nie przypominać! Czy ja wiem, kto za nas teraz chodzi.

- Nie Kajtan, podobno nic nie ginie, ani kamień. Otaczamy się w domach jak ćmoki w żywicy. Chodź tutaj, podejdź do krawędzi i pchnij mnie lekko! Widzisz, ja ledwo stoję, wyważony tułów a stanie się sprawiedliwość.

- Po co? Przecież już raz dziś kombinowałeś. Jutro, pojutrze też się może zdarzyć! Bóg wie lepiej, kiedy pora.

- To tylko nerwy! Nerwy serca! Nerwy serca! Durny nerwy! A ja chodzę bez rozgrzeszenia! Jeśli teraz połączę swój los z losem, jeśli dokonam błyskawicznego aktu skruchy, jak szybkiego jak nagłe wspomnienie przykrości doznanej od ciebie, od przyjaciół, czy od losu, jeśli spiesznie się rozliczę z pięćdziesięcioma chwilą życia, a by mnie pochwalił wykonujące sprawiedliwy wyrok, który noszę na karku, to łaską w dół, już nie wyskoczę przeklęty będę zbawiony! Popatrz Kajtan, rzadko się zdarza, żeby sprzeda- krwawą powinność i uszczęśliwić drugiego człowieka.

Kajtan czyni krok do przodu, ale staje jeszcze przed drzwiami. Chwyta się rękami futryny drzwi, jakby tymi uprzęchniałymi dłońmi chciał się ode mnie odgrodzić.

- Nie braciszku, ja cię teraz nie popchnę. Kiedyś to je łatwo- go, a teraz co innego! Jak chcesz, sam skocz! Wystawiony z dwóch poduszek stopy, zawisnąć w powietrzu - przyjemnie uczy powiedzieć do więzienia?

- Kajtan szuka papierosa. Potem go wypalał w rzadkiej

niczaru papierosowego wygląda młodo, jak kiedyś pewnie wyglądał, gdy był Jankiem Muzykantem albo lordem Byronem.

– Wiesz co, Tadźka? Tak naprawdę, to ja za tobą nie wędrowałem z wyłokiem. Ty sam na siebie wydałeś wyrok. W każdym twoim kawałku ktoś się boi i przed kimś ucieka. Jako czytelnik ważny posłużyłem się twoim motywem, żeby nawetować intrygę w ogonku. Ty zadekretowałeś wynik i ty go wykonaj.

– Tadźka, przecież ty uciekasz. Jutro wsiądziesz do samolotu i przeniesiesz się na tamten świat, który nie jest tamtym światem.

– Ja uciekam?

– No tak, po prostu nawiewasz, jak całe życie nawiewałeś. Ostrzem dalej od epicentrum. A może od nie wykonania tego zapomnianego wyroku zawisa cała konstrukcja? Może ona stoi jedną nogą na tym nieszczęsnym?

Kejran zaciąga się papierosem. Błyska w jego ustach kłamany srebrny ząb, ząb pospolitości.

– Nie skusisz mnie, Tadzia – czuję w jego słowach uśmiech.

– Ale jestem jedynym świadkiem twojej ucieczki. Lepiej pozbyć się świadka.

– Może uciekne, a może nie. Chcesz, razem bo wsiadamy w tę otchłań nieznanego.

I pokazuje mi przez otwór po szybie swoją torebkę zwaną podręczną.

– Potem zbiegniesz i odszukasz. To jak, skakawiesz mnie?

– Uch, fałszywy jesteś, kręcisz, kręcisz i nie się nie wykręca. A można prościej, po ludzku.

– W jaki sposób po ludzku?

– Sam musisz odnaleźć sposób.

– No dobrze. Już strasznie późno. Co ja pamiętam z domu?

Wchodzę na kortytarz. Dziecko płacze za murem. Pewnie ten nowo narodzony mulat. Zatęchłymi po schodach trzymając się ścian chyłkiem jak ścienne latryny. Oto i podwórze, nad którym zawisła ta stara rudera niczym czarne wieko. Ktoś nadchodzi wolno od bramy. Wielki, zwalisty mężczyzna w mokrej kurtce. To pan Duszek.

– Polak jak widzi balkon, to chce skoczyć – rzecze cynicznym basem.

– Zwijamy majdan – mówi Kejran. – Co za cholera skamieła, żeby zmarnować cały dzień. Gdzie mój samowar?

– Stoi na schodach, jak stał.

– A oni?

– Czekają.

– Na co czekają?

– Na was. Chcą życzyć wesołych świąt.

Wchodzimy do bramy, w której zaciął wiatr. Oni stoją na podeście schodów jak zlodowaciałe chochoły.

– Może papierosa? – anarchista otwiera blaszane pudełko.

– Idź do diabła. Pani Julie, znajdzie się strzemienny? Nasza wieśniaczka sięga do tobołka.

– Może najpierw opłatek?

– Zaczynamy łamać się białym symbolem chleba, który trzaska nieprzyjemnie.

– Szczęśliwej drogi, Tadzika, jeśli nazywasz się Tadzika.

– A ty, Tadzika, wiesz, żeby krzepił serca, kapowu?

Student znowu tłumaczy oświadczenie anarchisty, który wpycha między rude wąsy całą połowę opłatka.

– On mówi, że będzie tu razem z nami czekał.

– Tu, w tej sieni?

– Nie, w ogóle.

– A na co chce czekać?

– Na to, na co czekają wszyscy ludzie.

Grzesio rozbija zgrabiałe ręce. Pod jego nogą zaskrzypiał czarny gil akrzeptu.

– Wytrwały donosowa – rzecze pobłażliwie pan Duszek. – Chyba się z nim przełamię opłatkiem. Chodźno tutaj, smrodeńko.

– A pani co tu jeszcze robi? – pyta tę w za dużym krzyedzieńku.

– Jestem wdową. Nie ma do kogo wracać.

– To podzielmy się opłatkiem, jeśli pani nie uważa religijny zabobon.

– Ach, raz do roku można. W taki wieczór. Pan mnie nie lubi, bo ja jestem obiektywna.

– Dziś nie będziemy wypominać. Od jutra zaczniemy.

– Co od jutra zaczniemy? – pyta budowlany objęty ciasno z Gesią.

– Coś trzeba zacząć.

– Gwiazdy nad nami wychodzą z orbit. Mróz ścisnął miasto, które sennym mruramdum nuci ciągle jeszcze kolędy. Pokój ludziom dobrej woli.

Zbliża się student. Bierze mnie za ramię i odciąga w bok. Par-

wzrok mi w oczy natężonym wzrokiem.

- Zbieramy pieniądz. Zrobi pan zrzutkę?

- Naco?

- Na ludzi.

- Na jakich ludzi?

On przysuwa usta do mojego ucha. Czuję na policzku mizerne ciepło jego oddechu.

- Na tych, co walczą o wolność.

Chwyta mnie nagły dreszcz. Mam plecy całe mokre. Przeziębiłem się na święta. Straszna nagła tych gazetowych słów. Pod gwiaździstym niebem rozróżniam przejmujące do szpiku kości, nie, do ostatniego włókna serca.

- Za waszą i naszą - powtarzam zdrętwiałymi ustami.

On nic nie mówi. Stoi i czeka. Jak wyrzut sumienia.

- Mam tu forsę. Na obrączki - szepczę grzebiąc w zamadrzu.

- Po co komu obrączki? To symbol kajdanów.

Odnajduję kieszeń, ale kieszeń jest pusta. Wywracam zachłannie wszystkie strony.

- Nie ma pieniędzy. Zgubiłam, albo ktoś nabrał. Nie ma nawet na bramę. Na bramę do więzienia codziennego.

- To przepraszam.

- Czekaj, mam tu bibelot z domu rodzinnego - wyciągam tę malachitową piszczałkę i chcę mu podać, lecz on cofa rękę przed nakazem chcąc akaty. Myśli, że szydzę z niego, że kpię z jego misji.

- Weź, to także pieniądz. Można dobrze sprzedać w antykwariacie nabożeństwa przez sentymentalnym cudzoziemców.

T

Tak mogło być: Traugutt bez pośpiechu zstępował z azurowych schodków wagonu. Nie rozglądając się, wprawnym okiem konspiratora zdołał spostrzec, że peron jest prawie pusty. Koło parowozu stał naczelnik stacji i o coś pytał maszynistę. Nadzwiślański budynek dworcowego, obok mosiężnego dzwonu, kołysał się samotnie wielki, brodaty powiesz. Wkrótce pociąg szedł niespiesznie patrol żandarmerii: młody, elegancki oficer w błękitnym mundurze i dwóch pedeńcerów. Widzieli już Trauguttа. I on ich widział, chociaż zajęty był porównywaniem swego starego repetiera z zegarem stacyjnym.

Postawił walizkę na żwirze peronu, rozejrzał się niedbale za pasażerami. Stało ich kilku za zielonym płotkiem, który oddzielał teren dworcowy od ulicy obsadzonej młodymi lipami. Ale żaden z nich nie kwapił się z pomocą samotnemu podróżnemu. Oni też czekali.

Dopiero teraz Trangutt dostrzegł trzy ciemne tłoczy skradające przez wiatr pod tymi szczytami. To były zamiecie. Trzy zamiecie jak trzy krzyże.

- No to dojechaliśmy - rzekł dorożkarz.

Trangutt ocknął się z nagłej zapaści.

- Ile bierzesz?

- Co łaska, szanowny panie.

Wchodząc do recepcji zobaczył jeszcze, że dorożkarz nie odjeżdża, że patrzy za nim, jakby na coś czekając. Później zbliżył się do pojazdu człowiek w kaszkiecie, rozmawiali chwilę o czymś, wreszcie tam w kaszkiecie wskoczył na stopień dorożki, która zniknęła kłusem z powrotem na dworzec.

- Szpieg, czy bojownik? - spytał Trangutt sam siebie.

W hotelowym westybulu kręcili się oficerowie w polowych mundurach. Jedni wbiegali po schodach do numerów, albo zbiegali gotowi do wyjścia, inni przysiadali w skórzanych wytartych fotelach jakby na dobrą wróżbę przed dalszą podróżą. Niewyraźni, łysy jegomość z bródką spojrzał pytająco na Tranguttа.

- Potrzebuję każdego pokoju na jedną noc.

Łysy brodacz uśmiechnął się wyrozumiale.

- Panowie oficerowie rezerwowali najlepsze numery. Też na jedną noc?

Trangutt zaszeleścił papierowym rublem mieniącym się jak tęcza.

- Nie zrobisz mi kłopotu, zaufaj. Jestem tu już umówiony, sam rozumiesz, że to delikatna sprawa.

- Ja wszystko rozumiem - rzekł recepcjonista chowając rublka w rękawie. - Może znajdę coś odpowiedniego dla pana dziedzica. Poproszę tylko o paszport, bo paszport to najważniejsza rzecz w dzisiejszych czasach - i mrugnął dwuznacznie ale zarazem wesoło do klienta.

Rozsperał w kącikach wąsiska wysoko krzywiące brwi z jakimś zdziwieniem, znowu się uśmiechnął jeszcze dwuznaczniej, strzepnął palcami gorliwie i podał wreszcie klucz obciążony dębową gruszką.

- Zameldować damę, czy od razu wpuścić - spytał przyciszonym głosem.

- Pomyślaj od razu, bo szkoda czasu.

- Otóż - zarechotał brodacz. - Dziś takie czasy, że każdej chwili szkoda. Wiecznie, weź bagaż pana dziedzica.

- Silny pachołek w milczeniu przyjrzał się niechętnym rzeczom

Trangutt, wziął natychmiast i bez słowa innych schodami na piętro.

Milcząc otworzył drzwi numeru, milcząco wziął naczynie i milcząco chciał odejść. Ale Trangutt skinieniem głowy zatrzymał go na progu.

– Dobry macie egzemplarz?

Milczący wzruszył ramionami.

– Dobry. Taki sam jak wszędzie.

– Coś ty taki niechętny?

– A skąd tu brać chęci? Człowiek sam powinien rozumieć.

– Co rozumieć, kochanie?

– Co należy, a co nie należy.

Trangutt namyślał się przez chwilę z płaszczem w ręku. Spojrzał na ścianę, otrzymał raptem wiatr, nagle drzwi trzasnęły głośno i zamknęło do okna.

– No dobrze. Każ wstawić butelkę szampana na lód, jeśli macie lód.

– Mamy. Dlaczego nie – burknął Milczący i wyszedł zamykając za sobą drzwi odrobinę za głośno.

Trangutt podszedł do wielkiego lustra stojącego w [illegible] ramie, oczyścił [illegible] zabrudzone wiejskie odbicie: [illegible] chudego mężczyznę z [illegible] okularami. Westchnął [illegible] z [illegible] przygładził [illegible] włosy przy [illegible] skroniach. [illegible] otworzył okno, zabrzęczały [illegible] zza [illegible] szyby i [illegible] boju, ktoś chodził [illegible] wielkimi krokami po skrzypiącej podłodze.

Trangutt zbliżył się do okna, odsunął firankę, lepka firanka i wdrapał się znowu jak wtedy w dorożce. Ponad ciemnością, gdzie drzewem zobaczył tę perspektywę ulicy, smugę rzeki i blade haki [illegible].

Trangutt zasunął szczelnie firankę i wyjrzał na korytarz.

– Milczący!

– Czego? – odezwał się zakatarzony głos z dołu.

– Dajcie światło!

W sąsiednim pokoju rozmawiało kilku mężczyzn. Trangutt [illegible] chwilę [illegible] słuchał, zanim poznał Rosjan. Mimowolnie podszedł do okna i jeszcze raz odsunął cuchnącą firankę. [illegible] na ulicy. Drzewa były niemożliwie pokłute [illegible] przez [illegible] [illegible] na południu jak olbrzymie drapieżne ptaki. Ale [illegible] [illegible] [illegible] już ciemność. Skwer rozwidlał się w mroku i widać było tylko [illegible] z [illegible] kwietniu przedwczesnej jesieni.

Strzępy chmur wisiały nisko nad wysoko zwieszonymi, na których szamotały się niepewne płomyki. Postawił jeden na stole, a drugi na obwiedzionej ołówkiem podłodze kuferka. Wyszedł jeszcze i zaraz wszedł niosąc mokre wiaderko, z którego sterczała zwyjęta zielonkawej butelki.

– Co masz tam kolacji? – spytał Trauguttt.

– A co pan życzy? Może być kotlety sielęce.

– Mech będą.

Vincenty stał przy drzwiach wzdychając przeciągle.

– Chcesz iść rzec?

– Nie. Nie.

Tamten raz westchnął i wyszedł z pokoju, a płomyki zamigotały się szarpnięte niewidzialnym przeciągiem. Trauguttt wyjął zegarek, spojrzał na cyferblat, potem chciał kluczykiem nakręcić mechanizm, ale się okazało, że jest nakręcony do oporu. Więc schował zegarek i podszedł do okna. Otworzył je, wyjął flakon z miedzianym korkiem wmiętym, nalał do dłoni trochę przejrzystej zawartości, natarł szyję, skronie, ręce. Chciał podejść do lustra, lecz zrezygnował machnąwszy dłonią, a przy okazji powąchał tę silnie pachnącą rękę. Obok sąsiedzi zaczęli szczękać talerzami, bo tam szykowała się kolacja.

Potem siadł na łóżku przykrytym wyliniałą kapą i czekał. Przeciągał rozwlekłe sekundy i minuty. Za ścianą brzęknęły struny gitary. Jakaś muchа, co nie zdążyła umrzeć przy pierwszym przymrozku, marudziła pod sufitem ze szczerbatymi stiukami gipsowymi. Trauguttt wstawał, jakby chciał gdzieś śpiesznie pójść, ale znowu siadał na łóżku zaciskając kościste ręce. Czas marudził.

Wreszcie usłyszał ciche pukanie. Skoczył do drzwi, otworzył jednym szarpnięciem gwałtownym. Stała w mroku, ale poznał ją zaraz te zielonkawe błyszczące jak u kota oczy i zadarty nosek.

Wciągnął ją do pokoju, zatrzasnął drzwi. Padli sobie w objęcia i tak objęci długo zbierali myśli.

– No, co, Kościuszkowa? Jak życie, jak wszystko?

Wyśliznęła się z jego ramion, poprawiła sierść wełnę. Uśmiechnęła się niepewnie, ze wstydem.

– To może siadajmy – rzekł Trauguttt powstrzymując drżenie rąk. – Na tym krzesełku będzie ci wygodniej. Ale na łóżku.

– Nie, tu będzie dobrze – siadła szybko na wyplatanym krzesełku, [illegible] futrzanej muffce.

– Sam nie wiem, od [illegible]

– W domu po dawnemu. Dzieci rosną. Martwimy się o siebie. Tak dawno nie byłe wiadomości.

– Teraz wszystko będzie dobrze.

– Jak dobrze? Dlaczego nie wracasz do domu?

– Wojna, Tonin. Nie mogę wracać.

Patrzyli na siebie chciwie, jakby pierwszy raz się widzieli. Ona patrzyła na jego pierwsze siwe włosy i na okulary, w których płonęły dwie maluteńkie świeczki, na jego przejmującą pospolitość, on przyglądał się młodej twarzy zarumienionej od chłodu, jej zadartemu, jak u lalki, nosku i pełnym ustom, które były jej ozdobą w szarudzie.

Otworzyły się drzwi, wszedł Wincenty niosąc kolację. Postawił jedzenie na stole, spojrzał karcąco w stronę Toni i cicho zamykając drzwi odrobinę za głośno.

– Może wypijemy najpierw szampana? – spytał Tremayne.

– Jak chcesz – szepnęła.

Strzelił korek i zbiegiem okoliczności na świat wydostał dźwięk wielu mężczyzn.

– Jesteś bezpieczny?

– Tak jak wszyscy – pełniół kieliszek. – Wiesz na co piję?

– Wiem.

Umoczali się skrępowaniem ust łączonych jakąś wspólnotą tego hotelu, tych krzyków na ulicy i tego szampana. Gdzieś w mieście huknął oddalony strzał pochłonięty natychmiast przez mroźny okowy miasta.

Tremayne wstał, podszedł do kobiety. Objął ją, wstała, powiązana wełniana chustka znów skryła jej twarz.

– No co, Tonin? No co?

– Żenuje mnie ten hotel.

– Mnie też. Ale co robić. Może zdejmiesz płaszcz?

Wstała posłusznie, odpięła ciepły płaszczyk pachnący wrzosem. W jej dłoniach łysnęło coś głęboką czerwienią. Spostrzegła jego wzrok.

– Daj rękę – rzekła.

Sypnęła garstką małych, ciepłych kasztanów.

– Z Ostrowia – dodała. – Dokąd jedziemy?

– Do Warszawy. Może jesteś głodna? Kotlety wystygną.

– Nie chce mi się jeść.

– Mnie też się. Chodź, siądziemy na łóżku. Trzeba mówić szeptem.

Ulokowali się na wysokim posłaniu opierając plecy o wielkie poduchy owinięte żelazkiem. Za ścianą ktoś brał na gitarze głębokie, melancholijne akordy.

– Po co jedziesz do Warszawy?

– Obejmuję kierownictwo Rządu Narodowego.

– Dlaczego właśnie ty?

– Dlaczego właśnie ja? Może taka jest wola Opatrzności.

Płomyki świec kołysały się ciężko w mroku jak nagrobkowe znicze. Hotel żył wiecznym, pijanym życiem. Ktoś przebiegał korytarzem, ktoś inny krzyczał z dołu, ktoś niecierpliwy łomotał drzwiami. Śród tych hałasów odzywał się czasem złowieszczy, pełen tragicznej determinacji głos wiatru złej jesieni.

– Mówią, że powstanie umiera – szepnęła.

– Sytuacja jest ciężka. Ale Polska przecież nie umrze.

– Czy był sens powstawać przeciw takiej sile?

– I ty to mówisz, Kościuszkówna?

– Właśnie ja to mówię.

– Nie wiem, czy był sens. Wiem, że był mus.

– Zdradzieccy wodzowie, głupi politycy, niechętne sobie warstwy narodu, a wszędzie armia szpiegów. Czasem nachodzi mnie straszna myśl, że powstanie trwa jeszcze tylko dlatego, gdyż podtrzymują je prowokatorzy ochrany.

Traugutt milczał. Słyszeli własne oddechy i słyszeli gwar w numerze sąsiadów. Jeszcze raz odezwała się gitara. Przyśpieszonym rytmem skwapliwego akompaniamentu wybiła głos człowieczy. Wreszcie pokazał się niedmiały, gardłowy tenor:

– Proszczaj, niemytaja Rassija,
Straha rabow, strana gaspod,
I wy, mundiry gałubyje,
I ty, pasłuszanyj im narod...

Traugutt poszukał małej, gorącej dłoni kobiety.

– Tak, istnieje moc podejrzeń, że do ruchu patriotycznego przeniknęło wielu ajentów i prowokatorów. Być może zatarła się granica między czynem spontanicznym a sprowokowanym, między postępkiem szlachetnym a nikczemnym. Wiec skrył się w ciemną podłą nikczemność, więc usprawiedliwić zgubną bezczynność hasłami rezerwy?

– Naród musi przetrwać.

– A któż odróżni trwanie od agonii?

– Ja wiem, ja wiem, kochany. Ale serce krwawi, gdy widzę codziennie kibitki wywożące niedolę na Sybir, gdy patrzę na

szybienice z zamordowanymi nieszczęśnikami.

– Nie ma chyba innej drogi, Tenin. Nie ma innej drogi, jeśli nie chcemy zniknąć, skazać i umrzeć we wzgardzie ludzi Ludów.

Za ścianą kilka głosów podjęło śmiałą, drugą strofkę pieśni:

– Być może za obrębem Kaukazu
Ukrajnę ał tvaleh pasrej
Ał ich wsiewidzącemu słońcu,
Ał ich wsiesłyszącemu uszej.

Tenia słuchała ze zmarszczonym czołem pod wiązką jasnych włosów. Zaciągnęła drobne palce na dłoni męża.

– Oni śpiewają zabronione wiersze? – szepnęła.

– Im wszystko wolno. Dziś śpiewają, jutro kują w czasie.

– Nie jesteś zmęczony? Masz daleką podróż za sobą.

– Teraz nie mogę być zmęczonym. Straszna odpowiedzialność spada na mój grzbiet.

– Czuję, to dreszcz?

– To z chłodu. Zapomniałem kazać napalić w piecu.

– Nakryjemy się pierzyną. Ale zgoń przedtem ze szyi.

Zdmuchnął oba płomyki i trzęsącymi się rękami zaczął zdejmować odzież przy wypłatanym krzesełku. Kątem oka widział ciemną Tenię, która mocowała się z ubraniu. Słyszał szelest bielizny. Z ciemni wyciągnęło się powoli krągłe ciało.

Rosa przebiegł po ledwo widzialnej ziemi do wysokiego łóżka. Tenia odchyliwszy róg wilgotnej pierzyny. Nakryli się z głowami, i własnym oddechem jęli ogrzewać kryjówkę.

– Pamiętasz mnie jeszcze, Tenin?

– A ty mnie pamiętasz?

– Stale pamiętam. Każdą noc. I każdy dzień.

– Zapomniałeś zdjąć okulary.

– Zapomniałem.

Wysunął się z gorącego gniazda i omackiem położył szkła na podłodze.

– Strasznie się najadłam wstydu wchodząc sama do hotelu.

– Ja też się wstydzę przyjmując w naszym wieku damę.

Położył nieśmiało rękę na jej piersi okrytej ciepłą kołdrą. Słuchała z napięciem tego poufałego gestu. Smukłymi palcami rozplątał kędzierzawy kosmyk włosów koło gorącego ucha. Ale w tym momencie ktoś zastukał do drzwi.

– Nie zamknąłeś? – szepnęła z trwogą.

– Nie zamknąłem.

Wyskoczył z łóżka, narzucił płaszcz na ramiona i otworzył drzwi. W korytarzu stał Wincenty z latarką w ręce.

– Panie Czarnecki, przyjechano ostrzec. Na policji zatrzymali pański paszport – młody starzec dawno nas poprzedniej wrogości.

– Sprawdzają pilnie, ale mój dokument dobry, kapitański. Jutro odjadę.

– Jakby pan chciał wyjechać po kryjomu, to mogę pomóc.

– Dziękuję za dobrą wolę. Nie muszę uciekać. Nie potrzebuję uciekać.

– Jak pan uważa. Ale w razie czego, jestem na dole.

Starzec wpatrywał się pilnie w oczy Traugutta, chcąc widocznie odczytać prawdę. Z sąsiedniego pokoju ktoś wyszedł i zleciał na żeb na szyję po schodach.

– No to spokojnej nocy.

– Bóg zapłać – szepnął Traugutt przekręcając klucz w zamku.

Wrócił na łóżko, Tonia czekała wyprostowana, napięta, z rękami skrzyżowanymi na piersiach.

– Obawa pośpieszenia ludzkiego. Miałaby to obrócić się w niwecz... – szepnął i nie czekając na odpowiedź, nie zdejmując okularów, ale okulary leżały na ziemi odbijając słabe siwy prostokąt okna.

Wtedy ona zwróciła się w jego stronę, zapłonęła chowając twarz w zgięciu barku. Chciał ją objąć, lecz w tej ciasnocie rozgrzanej kryjówki zaplątała się koszula i pościel nagle w dłoniach młoda pulsująca ciała. Ogarnęła go szybko i słodka panika, zaczął śpiesznie całować rozedrganymi wargami gorącą skórę, mieszkość napiętych mięśni, wilgoć potu wciskającego włosami. Ona dotknęła go wielkimi ramionami za szyję, mrużyła powieki, łapiąc ciężko i oczekała wstrzymanego oddechu. A on z jakimś dziwnym, rozpaczliwym lękiem, co zdać się mógł brutalnością, wdarł się w nią na oślep i rozdzierając się już wcześniej w sobie straszną dudniącą krwi i ledwo zdążył się w tę spazmatyczną, palącą gorączkę, gdy targnęło nim nagle wielkie szczęście, jakiego dotychczas nigdy nie zaznał.

Znowu słyszał bicie brzęczenia tej upartej muchy pod sufitem. Tonia leżała bez ruchu z dawnym rozmarzeniem. Patrzyła na sufit szeroko otwartymi oczami, w których szamotały się pomniejszone cienie krzyż w wietrznej klicy.

– Dawno nie miałem kobiety – szepnął wreszcie z rozpaczą.

– Dawno nie miałeś mnie, generale – i roześmiała się zwraca-

głowę w jego stronę?

Zaczął całować ją w gorące, wilgotne usta uwalniany zupełnie z pożądania, a ona to czuła, oddawała pocałunki z wyraźną powściągliwością.

- Wybacz - chciał szepnąć, ale mu nie pozwoliła zakrywając usta dłonią.

- Cała noc przed nami.

- Tak, cała noc.

- A potem odjedziesz do Warszawy.

- Tak, Tonia, odjadę.

- Ale dlaczego ty, właśnie ty?

- To mój obowiązek - chciał dodać męski, ale zrezygnował.

Za ścianą podniósł się dziki, zwierzęcy wrzask i ktoś ranny w przysiudy, aż odezwała się monotonnym dźwiękiem bambusowa ...anka.

- Czy wiesz, że jedziesz na pewną śmierć? - rzekła raptem Lonia.

- Pragnę uniknąć przedwczesnej śmierci jak każdy człowiek - szepnął po namyśle.

- Jeśli wytrwasz na posterunku do końca, znajdziesz śmierć.

- Ktoś musi umierać...

- ... Żeby inni mogli żyć - dokończyła wyręczając Tonia.

- Kim ja jestem, Tonia? Anonimowym człowiekiem. Ani piękny, ani szczególnie zdolnym, ani znaczącym dla ogółu. Jestem zwykłą cząstką tego narodu. I samemu mnie niczego nie szkoda.

W sąsiedztwie strzelanie rozbijane szkła. Ktoś wył do niewidocznego księżyca.

- Nie dadzą nam żyć.

- Tonia, jakim prawem miałbym strzec swego życia? Czyż ono różni się czymś jak wszystkie inne?

- A ja? A twoje dziecko?

- Nie wiem, czy dałem ci szczęście. Czy w ogóle coś ci dałem. Samopoczucie oszusta.

Nagle ona go pocałowała. Widział przed sobą jej delikatny, nagi twarz, jak twarz rzymskiej madonny.

- Głupi jesteś, generale.

Za ścianą łamano meble. Ktoś walił głową w stół przy akompaniamencie chrapliwych śmiechów. Trzaskott w milczeniu wstał z łóżka i zaczął nakładać płaszcz na bieliznę.

- Daj spokój. Lepiej nie zwracać na siebie uwagi - odezwała

się Tonia.

– Nie wytrzymam do rana. Oni dopiero zaczynają.

Wyszedł na korytarz i zastukał do najbliższych drzwi. Nikt nie otwierał, bo też i nikt nie usłyszał tego pukania w pijanym wrzasku. Nacisnął klamkę, drzwi ustąpiły pokazując wielki apartament wypełniony porozpinanymi oficerami wszelkich rodzajów broni. Spostrzegł też od razu ten błękitny, "galowy" mundur oficera Semionowiu, oficera, który legitymował go na dworcu. Nie od razu zauważyli przybysza. Milkli kolejno zwracając oczy na otwarte drzwi. Wreszcie wszystko się ciche i tylko w kącie kapała monotonnie zimna woda.

– Przepraszam panów, ale moja żona czuje się niezdrowa. Chciałbym prosić o spokój, bo nie może zasnąć.

Od stołu podniósł się młody kapitan i Traugutt ze zgrozą poznał na nim saperski mundur z czerwonymi wyłogami, w którym sam nie tak dawno służył.

– To my pana przepraszamy, panie... – rzekł kłaniając się sam kapitan.

– Czarnecki – skłonił się Traugutt.

– Mamy nauczkę, panie Czarnecki, przeproszę małżonkę i pana na ten nieporządek, prawda – zbliżał się nagle w swojej postawie nadadiutant. – Niech nas usprawiedliwi prawda, okoliczność, że to nasz karnawał, pożegnalny wieczór, prawda. Jutro znowu w polu, panie Czarnecki, i jutro, prawda, o tej godzinie pokoju w nas może nie być, prawda.

– Rozumiem, wszakże...

– To ja rozumiem, panie Czarnecki, my oficerowie jesteśmy wielkoduszni...

– Alosza, daj spokój – odezwał się Semionow głęboko w dnie wysokiego kieliszka.

– Cóż, ma – kapitan skinął w stronę gościa – życzymy dobrej nocy nadal Czarneckiej, prawda.

Traugutt wrócił do swego pokoju. Kobiety patrzyły pytającymi niepokojem:

– Oni też boją się śmierci.

Wsunął się pod pierzynę ogrzaną ciałem Toni.

– Czy policja wyda ci jutro paszport?

– Myślisz, że oni mnie wypuszczą? Że schwytają mnie jutro i ześlą na Syberię nigdy powiedzieć nie mieliśmy albo za rok. Nie, oddadzą jutro paszport i pojadę do Warszawy objąć dyktaturę kleistniejącego państwa.

– Mówisz to z goryczą?

– Mówię tak jak jest. Jak wypsiło żyć.

W sąsiednim numerze ucichło. Od czasu do czasu skrzypiała tylko podłoga, albo ktoś odezwał się głośniejszym słowem. Wiatr grał, górą obijając się o stare, nieszczelne dachy.

– A u nas na Litwie pewnie już zima. Ty widzisz, jakie tu pogody. Popada deszcz, przeleci wiatr, ot i wszystko. Tonia, śpisz?

Ale spostrzegł, że patrzy znowu w sufit nieruchomym wzrokiem. Przygarnął ją raptem do siebie.

– Tak cię kocham, Tonia. Tyle ci zawdzięczam.

– Co ci możesz zawdzięczać?

Więc wyszukał skraj koszuli, objął dłońmi młode biodra jak snop świeżego żyta, zaczął całować gorliwie pulsującą śpiesznie szyję, szyję wiotką, pachnącą zapomnianym domem, dalekim latem, utraconą bezpiecznością. Zdało mu się, że wraca to samo co przedtem pożądanie, zagarnął ją pod siebie, a ona poddawała się ze wstydliwą biernością, ale pełna wyczekującego oczekiwania, z małej mocy jej pragnął, budził w sobie tę tkliwą siłę, zdusił piersi rozstrzępionymi palcami, aż wyknęła bezradnie, i przygniótł ją sobą i tak zamarł, bo owe płytkie pożądanie roztopiło się już w ogromnej ociężałości, w tępej rezygnacji. Leżał na niej i zbierał z rozpaczą rozpierzchnięte myśli. Za oknem słychać było szczupłe klaskanie kopyt na kamiennym bruku. Patrol koszaków przeleciał z ciemności w ciemność.

– Zdrętwiała mi ręka – przekarżyła się Tonia.

Rozumiał, że pragnie spowszednieć tę sytuację. Z wdzięcznością pocałował ją jeszcze raz i upadł na wielką poduszkę obok.

– Zła pora na spotkanie – szepnęła. – Ale może wszystko miało tak wyglądać na Litwie.

– Tonia, chciałbym wrócić, ale mogę i nie wrócić.

Wtedy ona zasłoniła się szczupłymi palcami. Leżała długo w tej pozycji i Traugutt pomyślał, że chyba płacze. Ale kędzierzawy kosmyk nad gorącym uchem drżał lekko dostrzegalnym spazmem jak szczygla piórko.

– Kościuszkowo, ty płaczesz? – spytał ze współczuciem.

– A nie, nie – szepnęła chowając twarz w poduszkę. – Baby muszą czasem pobeczeć.

Na ulicy ktoś rozdarł się raptem wielkim krzykiem:

– Karauł! Karauł!

Odezwały się gwizdki policyjne, jacyś ludzie przebiegali tam i z powrotem wzdłuż budynku hotelowego. Tania zasłoniła okrywając się kocem pierzyny.

- Słyszysz?

- Tak, trwa jeszcze wojna.

- Tak, ścigają jakiegoś człowieka. Mieszanego.

- Mieszani ludzie wywalczali nowszą wolność. Dla pamięci, dla ofiary zachowywane nazwiska bitewnych bohaterów, a w każdym pozostawał własnymi rękami z każdej piędzi, w każdej złej czy dobrej chwili, w każdym momencie obrotu ziemi anonimowy człowiek.

- Patrz, dnieje - powiedziała ciebie.

Okno rozjaśniało się z wolna i widać nielicznych, jakby w oczekiwaniu, na dzień, na jeszcze jeden krótki, jeszcze jeden dzień tego człowiegiego roku.

- Trzeba wstać i ruszyć na przeciw śmierci - wrapnął do siebie Trzeciak.

Ona chciała zapytać, co mąż mówi, ale w raptownym, pełnym zgrozy przeczuciu wzdrygnęła się i zasłoniła z dłonią nieśmiało wyciągniętą ku twarzy, na której odciskały się ślady drucianych okularów: tak mogło być.

Idziemy chodnikiem pokrytym odłamkami szkła. To szkło chrzęści jak grudniowy lód. Słuchamy ciszy umarłego miasta. Nad pustką ruin wielki niezwykle czytelny księżyc. Widać na nim góry i doliny, rumowiska skał i kaniony nieistniejących rzek. Widać też ścieżki wydeptane przez astronautów i zaznaczone na wapieniu ich ekstrementy.

Dźwigam na plecach ciężki tobół z zgrzebnej płachcia. Chuchnę trochę Julia, i teraz jest ona zawsze stałą bakę, której zabito synów. Za nami wlecze się reszta uchodźców. Kajran niesie zdobyczny samowar. Znalazł go w rozbitym mieszkaniu kolekcjonera, albo na brzegu osuwającej trupami rzeki. Idzie pan Duszek chuchając w zgrabiałe dłonie. Przed nim już tylko kawałek życia. Nie będzie musiał wybierać. Gosia i Wiadzia trzymają się za ręce. Pogubili swoje rodziny. Zaczną od nowa. Od ruiny w spalonym domu. Pani w za dużej palcie nie zginie, bo pod tą pałią jest woreczek z biżuterią. Student kaszle: ze mnóstwa jątrzy postrzelone płuco. Student widział ślepego znachora, któremu w obozie wydłubano oczy. Na końcu, jak widmo majaczy Grzesio ze szramą na szyi. Są wszyscy.

– A nie mówiłam? – jęczy pani w za dużej palisie. – Ja nawsze przestrzegałam.

– Zaczniemy od nowa – powiadam.

– My umiemy rozpoczynać – dodaje Kajran. – Pan Bóg nas tego nauczył.

– A co z naszymi grzechami? – dogania idących Duszek. – Co z tą czarną chmurą grzechów, panie K.?

– Spalił je piorun. Zmiotła w ogniu. Został tylko popiół. Popiół jak zmierzch wiosenny. Posypiemy sobie nim głowy.

Oto salon jubilerski. Czarne osmalone jamy wystaw. Ślepy nabój. Pod murem błyszczą rozsypane uralskie samowidły. Jak żużel uranowej rudy.

– A od czego ja mam zacząć? – pyta płaczliwie Grzesio.

W poprzek ulicy leży wagon tramwajowy. W kawałku szyby migotnym w lustrze zmieścił się cały księżyc. Martwy portret martwego satelity.

– A ja? – powtarza Grzesio.

– Zaczniemy od przebaczenia – mówi Kajran. – Ja przebaczam tobie, za którym chodziłem z wyrzutem śmiertnej kilka najlepszych lat młodości.

Przetrącony pień hotelu, co niegdyś sięgał chmur. Wychłostany świetlnymi kulami kawał muru strzaskań i roztrzaskana lampa z wiecznym ogniem przed murem – pomnikiem. Ale czyjaś ręka już wmieszała żółwiątko na choinkowej świeczce. Ta czerwona, lekko żywa kropla ogrzewa zmartwychwstającą pamięć.

– Słyszysz? – powtarza Kajran. – Przebaczam i proszę o przebaczenie.

– Słyszę – odpowiadam. – I ja was proszę wszystkich o przebaczenie.

– Dokąd teraz pójdziemy? – pyta ta w palisie.

– Do swego życia.

– Od początku.

– Jeszcze raz.

Do nieba wspina się zgaszka pochodnia Pałacu Kultury. Spękany jak wypalony pień starego dębu. Nafaszerowany wielk wybuchami, co miały go zniszczyć. Biała nadal pamięta jeszcze przewietrzu. A wyżej podziurawiona, wlecha niebieskimi i srebrny tajemniczego światła, które ani świeci, ani grzeje.

– Zasiejemy inną trawę.

– Posadzimy inne drzewa.

– Wybaczcie, panie, takie same miałem.

– Wesołych świąt, Robinsonowie.

– Wesołych świąt, wołał Robinsonowie.

– Wesołych świąt wolności.

– Wesołych świąt innej takiej samej wolności.

Odchodzą na wszystkie strony świata z tego skrzyżowania szerokich ulic, które było i jest pępkiem świata, naszego świata. Odkażają w czarnych piekielnych ciężarach śmierci, co będzie początkiem nowego życia.

– No i jak? – pyta Julia. – Nie ciężko panu z moim Sebkiem?

Poprawia makijaż w świetle tego wynaturzonego księżyca zerkając do lusterka podręcznego. To twarz trzydziestoletniej dziewczyny pod czterdziestkę z obliczem nadętym i charakterem furmanki. Chociaż na randce wypręstewała się, odpręża twarz rzadkimi dociągłymi zmówkami. Z pogodnego nieba lecą wolno pojedyńcze kosmate płatki śniegu lub sadzy.

– Proszę spojrzeć. Miasto wygląda jak widziane.

– To dlatego, że ciche – szepcze Julia. – I światła straszne. Futurystyczne dla lunatyków.

– Dla pani i dla mnie.

– Dla wszystkich.

– Już nie na tej gwiazdy albo niezidentyfikowanego obiektu latającego.

– Tak, oddaleni.

– W jakim ogniwie czasu nas zobaczyli?

– I czy w ogóle dostrzegli. A jeśli dostrzegli, to czy zrozumieli?

– Ale wiemy zadniej, że ktoś nas widział stamtąd.

Na Pałacu Kultury błyskają czerwone latarnie pozycyjne. W kilku oknach jasno. Pewno strażnicy czuwają nad kubeczkiem zimnej herbaty, lub odmawiają pacierz. Przez tramwaj toczy się z turkotem chłopskiego wozu z pokładu na półkach.

– Chodźmy pod hotel – mówi Julia. – Tam łatwiej złapać taksówkę.

Przekraczamy jeziorko ślizgające się po lodzie, który trzaska pod naszymi stopami jak szkło okienne. W elektrycznym hotelu jakby pusto. Na dachu kapela się i gaśnie w nieotrzymanym sygnale wiadomości.

– No to co, pojedzie pan ze mną do Radości? – pyta Julia.

– Przecież pani wie, że nigdzie nie pojadę, bo dla mnie już

Nie warto nigdzie jechać.

– Szybko pan wpadł! To co pana kosztuje?

– Oszczędna kartka papieru i bezsenność.

– Szkoda.

– Pani Julio, ja się zmęczyłem udawaniem. Udawaniem mężczyzny, literata, kochanka. Milczeniem uczuć, zamiłowań, namiętności. Bóg mnie stworzył mniej albo bardziej na swój podobieństwo. Jestem w zmowie z takimi jak ja. Oni na mnie czekają, bo mnie potrzebują.

– Ale pana przecież nęka ta jedna obsesja, o której pan ciągle myśli.

– Tak, boli i sam się sobie dziwię. Ona mnie trzyma przykutego do ziemi. Chcę się zerwać do lotu w przestworza, które przygarnęły zew swoją ojczyznę i nie mogę, bo jestem, kurwa, przykuty.

– Nie, to nie. Tam coś jedzie.

– To chyba pogotowie ratunkowe.

– W sam raz dla mnie.

Julia schodzi na jezdnię i zagradza drogę karetce pędzącej ku nam. Wóz zatrzymuje się, gasi syrenę. Wychyla się ktoś z sąsiedniego szpitala.

– Co jest, kolumna?

– Podwiózł pan do Radości?

– Dobrze, nie pamiętam.

– Będzie dobry bałaganu.

– No tak, ale ja się śpieszę.

– Wsiadę i potrafię doczekać.

Kierowca wraca się, spogląda na kogoś skrytego w głębi karetki.

– Nie można postawić dziewczyny na nogach – powiada z wewnątrz. – Załóżmy trochę drogi. Siadaj pani, ale z tyłu, tam jest wygodniej.

Otwieram tylne drzwi karetki i kładę tobół obok noszy, na których leży owinięta jak warzywo dorodna chorąża. Pomagam wsiąść Julii.

– Na tym zobaczenia w jakiejś kolejce, bo kolejek będzie jeszcze więcej na świecie – powiada wieśniaczka z Radości.

– Żegnaj Julio i wesołych świąt.

– Tak, kurwa, może by nam było dobrze razem?

– Jest dobrze, kurwa, a może będzie lepiej.

– Wesołych świąt, panie Konwicki.

Zaburczewszy oponą na lodzie salonkowym od nosa, karetka rusza gwałtownie i mknie w stronę Pragi wyjąc wilczym głosem. A tu w kręgu reflektorów pełzają martwego światła księżycowego i przepastne cienie jak pogorzeliska. Wchodzę, bo to reszta sam nie wiem po co. Chociaż właściwie domyślam się, dlaczego wstępuję na to miskie wzniesienie, od którego mierzymy naszą odległość od naszego świata.

– Basiu. – Krzyczę ni z tego ni z owego, zaskoczony swoim krzykiem.

Ale miasto nie oddaje echa. Miasto pożera wszelkie echa.

– Iwona.

Straszna, wiejska cisza. Śnieg, lód, gwiazdy.

– Basiu.

Jakieś nowe światło uderza mnie w twarz. Ze niewidoczna ciężarówka zapaliła reflektory. Spod brezentowej budy wychyla się milicjant.

– Zamknij dziób, bo zejdę do ciebie.

Nie chcę fatygować milicjanta, więc oddalam się na wkos przez jezdnię w cienie zrywska domów towarowych. A przecież miałem jakąś idiotyczną nadzieję, że z którejś kamienicy wybiegnie dziewczyna okryta w pośpiechu płaszczem, albo ciepłym szlafrokiem, co pachnie lawendą, rumiankiem, a najlepiej macierzanką. Dlaczego miewam jeszcze takie nadzieje i będę je żywił aż do nieznanego końca? Infantylizm to nasza szkodliwa opoka. Jesteśmy jeszcze młodym gatunkiem.

Po drugiej stronie wre gorączkowy ruch skryty w gęstym mroku. W kokonie ciemności wznosi się spora gromada ludzi wznosząc jakąś olbrzymią budowlę z rur. A pod tą budowlą leżą gotowe do zawieszenia gigantyczne białe romby z rozczłonkowanym napisem: "Dni Moskwy w Warszawie". Więc i Moskwa wybiera się do nas w gości?

Śpieszę do tych ludzi napotkanych na śnieżnej pustyni. Zaczynają sprawdzać swoje rury i jakby dla rozgrzewki, dla treningu, sypią iskrami na wszystkie strony, regulują aparaty przypominające miotacze ognia. Wybieram najstarszego, takiego, co ma żywe, łypie na mnie okiem i podkręca palnik. Wielka struga czerwono błękitnego ognia kraje lód jak masło. A ja przecież jestem ciepłejszy od lodu.

Podchodzę, uchylam czapki-uszanki, którą dostałem po

sawagrze.

- Najmocniej pana przepraszam.

Majster zezuje niezufnie.

- Czego?

- Czy mógłby pan łaskawie pierdolnąć we mnie z tego kałemiotu?

- O co chodzi? Nie rozumiem.

- Chodzi o to, żeby pan sikmął tym świątecznym płomykiem i utlenił mnie na zawsze.

- A idźże ty bydlaku. Napił się pod opłatek i szczęścia szuka.

- Nie, to nie. Obejdzie się. Wesołych świąt.

- Paszoł, łachadejda.

On ma rację. Słuszność nieuniszczalnego instynktu. Trzeba żyć. Jest sens w bezsensie.

Wzdłuż domów towarowych idzie tyraliera podchmielonych tyrytów. Wracają do hotelu ze świątecznej kolacji. Ujęli się pod ręce i falują na boki jak przy tyrolskim walcu. "Heilige Nacht, stille Nacht".

- Oni też mają apetyt na nas. Czekają w kolejce.

Zatrzymali się przed wystawą wypełnioną tłumem martwych plastykowych dziewcząt i chłopców zmierzchomiałych w nagrobnych pozach aniołów. Ktoś zaczyna jedzwać. Ruszają w niedaleką drogę do gościnnego hotelu, który wybudowano na miejscu strzelań.

- Zaraz, dokąd ja wracam? Czy do Kolonii Wileńskiej, czy do domu, w którym umrę, czy może do tej doliny, co wymyśliła jako suwerenny i niepodległy azyl w codzienności?

Chwytają mnie dreszcze. Czuję znowu pot na grzbiecie. Strasznie dużo gwiazd, obojętnych, nikomu nie potrzebnych. Strasznie dużo nieba przyzwyczajonego do naszego widoku. Strasznie dużo Boga. Wielkiego Sędziego, który czeka na sąd.

Wtedy powiadam:

- Polak jak wpadnie w szał, to biada ślepej, gwiaździej, sprzedajnej Europie.

A przede mną rozległy masyw przyczajonego miasta. Milczącej wrogowni. Pieczar ze śpiącymi rycerzami. W górze łuna czerwona jak oddech miasta. Ta czerwień wiruje po niewidzialnej spirali i wkłada się w nieczytelne zjawy podobne odbiciu tęsknot spokojnego, spokojnego oceanu czasu. I ja nie wiem, czy to kształt olb-

rzymiej gwiazdy, czy obraz płaczącej kobiety, czy czwarta czeluść piekieł.

NOTA O AUTORZE

Tadeusz Konwicki urodził się w roku 1926, podczas wojny był żołnierzem Armii Krajowej na Wileńszczyźnie, następnie przeniósł się na obszary Polski. Debiutował w roku 1950 prozą reportażową "Przy budowie", później wydał m. in. powieści "Rojsty" /1956/, "Dziura w niebie" /1959/, "Sennik współczesny" /1963/, "Władza ciemności" /1967/, "Zwierzoczłekokupiór" /1969/, "Nie albo nie" /1971/, "Kronika wypadków miłosnych" /1974/, "Kalendarz i klepsydra" /1976/. Jest również scenarzystą i reżyserem filmowym, nakręcił: "Ostatni dzień lata", "Zadusznki", "Salto", "Jak daleko stąd, jak blisko". Laureat nagród krajowych i zagranicznych.

Stwierdziwszy, że niedokończone wydanie przez którekolwiek z oficjalnych wydawnictw krajowych najnowszej książki pt. "Kompleks polski" jest praktycznie niemożliwe, Konwicki zdecydował się na ogłoszenie jej w "Kapieli".

W "Zapisie nr 1" /styczeń 1977/ i "Zapisie nr 2" /kwiecień 1977/:

Jerzy Andrzejewski: "Nawiedziny" /opowiadanie/
" " : "Msza za poetę" /opowiadanie/
" " : "Pamięci Pawła Jasienicy" /fragment "Miazgi"/
Stanisław Barańczak: "Dlaczego "Zapis"?"
" " : "List otwarty do pisarza Romana Bratnego"
" " : "Nowe wiersze"
Jacek Bocheński: "Prospekt" /fragment powieści/
" " : "Wiara i kalkulacja"
Kazimierz Brandys: "Niewspółczesność" /fragmenty/
Tomasz Burek: "O "alfabecie wspomnień" i szansach autobiografii"
Andrzej Drawicz: "List do Włodzimierza Bogomołowa"
" " : "Próba pamięci"
Jacek Dybowski: Wiersze
Teresa Fiedowska: Wiersze
Jacek Kaczmarski: "Owsewski i Tocqueville"
" : "Obecność wartości w nauce"
Jan Komolka: "Ucieczka do nieba" /fragment powieści/
Ryszard Krynicki: Wiersze
Jan Kucharzewski: "Nie nowego pod słońcem" /o cenzurze w Rosji za Mikołaja I/
Halina Mikołajska: "Dziennik", listy
Adam Michnik: "Czekać w tym mieście"
" : "Do przemądrzałych"
" : "Do Krzysztofa Kamila"
Marek Nowakowski: Opowiadania
Kazimierz Orłoś: "Drzewo Pana Jezusa"
" " : "Ostatnie polowanie na grubego zwierza"
Jan Pietrzak: "Listy do Ireny Kreńskiej"
Barbara Sadowska: Wiersze
Leszek Słonimski: "Skonfiskowane felietony"
Barbara Toruńczyk: "Poezja i wojna"
Wiktor Woroszylski: "Literatura" /fragment powieści/
" " : "Jastrzębie" /poemat/
Adam Zagajewski: Wiersze
Czytelnicy o Zapisie nr 1
Kronika: "Z ogólnych zasad działania cenzury"
"Z działalności cenzury w ostatnim okresie"
" Ograniczenia wolności słowa w zakresie literatury pol-

gijnej"
"Zakaz pracy dla reżysera teatralnego"
Noty o autorach

W PRZYGOTOWANIU: "Z A P I S nr 4"

D L A C Z E G O "Z A P I S"

/Z artykułu wstępnego Stanisława Barańczaka w "Zapisie nr 1"/

"ZAPIS" nie jest /.../ fanaberią kilkanastu literatów, którzy równie dobrze mogliby publikować swoje utwory w sposób "normalny". /.../ Publikujemy "ZAPIS" tylko dlatego, że oficjalne możliwości druku zawartych w nim materiałów zostały nam odjęte.

Czym wobec tego jest "ZAPIS"? Sens tego tytułu jest dwuznaczny, ale jednoznaczny. Znaczenie pierwsze kojarzy się już w związku z "samizdatowym" charakterem publikacji. Jest to po prostu prezentacja utworów, na których ciąży z a p i s, jak popularnie określa się zakaz druku. /.../ Znaczenie drugie wiąże się z faktem, że mimo wszelkich różnic gatunków, światopoglądów i poetyk zebrane tu utwory wzięły się ze wspólnego źródła: z przekonania, że nie tylko prawem, ale i obowiązkiem jest z a p i s y w a n i e, utrwalanie słowie wszystkiego, co ma dla niego wartość prawdy - prawdy zarówno w sensie poznawczym, jak psychologicznym czy artystycznym. Tej prawdy - być może błędnej, mylnej, źle rozpoznanej - nie wolno ukrywać, tłumić w sobie, poddawać autocenzurze, zmiękczać, przesłaniać aluzjami, godzić się na okrojenia i okaleczenia. /.../ Po trzecie wreszcie, "ZAPIS" chce być - pośrednio - również zapisem sytuacji. Mamy nadzieję, że już na podstawie tej pierwszej, wyrywkowej i niezupełnej prezentacji "zakazanych" tekstów, czytelnik zorientuje się choćby pobieżnie w charakterze ograniczeń, w jakich zmuszona jest rozwijać się nasza literatura.

BIBLIOTEKA UNIWERSYTECKA KUL

NIEZALEŻNA OFICYNA WYDAWNICZA dąży do tego, aby wolne słowo nie stawało przed barierą państwowego monopolu wydawniczo-informacyjnego.

NIEZALEŻNA OFICYNA WYDAWNICZA nie reprezentuje żadnego kierunku politycznego, chce służyć różnorodnym inicjatywom twórczym.

NIEZALEŻNA OFICYNA WYDAWNICZA spełni swoje zadania jeśli społeczeństwo udzieli jej swego poparcia. Jej powodzenie zależy od dostarczanych nam tekstów, pomocy w kolportażu, zdobywaniu materiałów i sprzętu poligraficznego, pomocy finansowej. Od nas samych zależy los wolnego słowa w Polsce.

Biblioteka Uniwersytecka KUL
1000654924